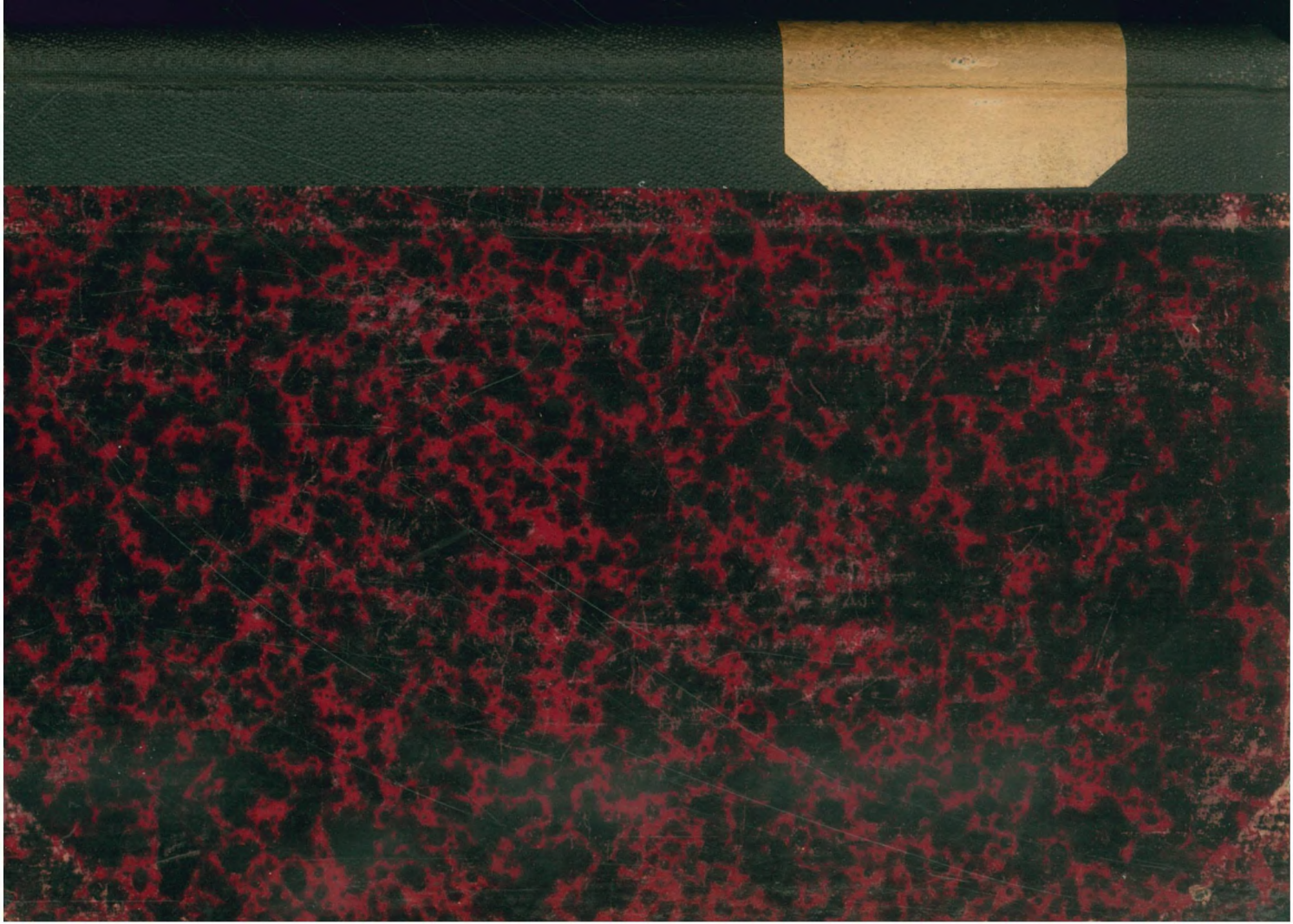

Liczba inwentarza 8097/3
Szafa 45
Półka C
Miejsce 4

15 i 36

DRAMATA i KOMEDYE

ADAMA BEŁCIKOWSKIEGO.

TOM III.

KRÓL MIECZYSŁAW II. — FOCYUSZ.

KRAKÓW.
NAKŁADEM AUTORA.

DRUKARNIA UNIWERSYTETU JAGIELL.,
pod zarządem A. M. Kosterkiewicza.
1898.

ADAM BEŁCIKOWSKI.

DRAMATA I KOMEDYE.

TOM III.

809 7/3

KRÓL MIECZYSŁAW II.

FOCYUSZ.

BIBLJOTEKA
Państwowej Szkoły Przemysłowej
w Krakowie.

KRAKÓW.
Nakładem autora.

DRUKARNIA UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
pod zarządem A. M. Kosterkiewicza.

1898.

47403/2

BIBLIOTHECA JAGELLONICA

66.072

KRÓL MIECZYSŁAW II.

DRAMAT W 5 AKTACH.

Uwieńczony pierwszą nagrodą na konkursie krakowskim roku 1875.

Pamięci ojca mego

JANA,

w dziewiątą rocznicę jego śmierci, dnia 26 lipca 1875 r., pracę tę poświęcam.

Wyłączono z zasobu
dubletów [illegible] Jagiell

Autor.

OSOBY:

Król Mieczysław II.
Królowa Ryksa.
Dobrówka, kochanka króla.
Bezbraim, brat króla.
Hipolit, arcybiskup gnieźnieński.
Zbysław, kasztelan.
Mojmir, wojewoda.
Stojgniew, hetman.
Niemsta, **Hugo**, **Paczołt** } Lechici.
Masław, dworzanin króla.
Brzetysław, książę czeski.
Książę lutycki.
Dytmar, margrabia wschodni, **Graf Otto** } wodzowie cesarscy.
Graf Gero, poseł cesarski.
Sygfryd, wygnany margrabia wschodni.
Ulrych, poseł czeski i faworyt Brzetysława.
Igor, poseł ruski.
Biskup Luizon.
Krystyn, młody żołnierz.
Kaźmirz, syn króla Mieczysława.
Dozorca więzienia.
Marszałek pałacowy.
Dwaj lekarze.
Stary sługa Bezbraima.
Damy królowej, Posłańcy, Żołnierze, Szlachta, Kmiecie, Dworzanie, Orszak królewski.

KRÓL MIECZYSŁAW II.

AKT PIERWSZY.

Gniezno. Sala koronacyjna na zamku królewskim. Wchodzą: Król, Arcybiskup Hipolit, Stojgniew, Ulrych poseł czeski, Igor poseł ruski, Bezbraim, kilku Biskupów, Wojewodów, Kasztelanów i Rycerzy, wreszcie Żołnierze w zbrojach, z rozwiniętemi chorągwiami. Za wejściem Króla słychać trąby i kotły.

SCENA 1.

Król (*w koronie, w purpurowym płaszczu, wchodzi na najwyższy stopień tronu, wyjmuje miecz i tnąc nim na cztery strony powietrze, mówi*):
Gdzie Dniestr rozbija o skały swe wody,
Gdzie Odra nurty swe spokojne toczy,
Gdzie Bałtyk bursztyn na brzegi wyrzuca,
I gdzie Karpaty jak mury nas strzegą,
Na wszystkie strony świata miecz swój wznoszę
Na znak, że bronić gotówem tych granic
I tego państwa, które niegdyś ręka
Mojego ojca wysoko podniosła
I uczyniła potężnem królestwem,
Równem każdemu, ile ich na ziemi;
Na znak, że wszędzie, gdzie wielki mój przodek
Nogę postawił i oręż swój zatknął,
Sięga ma władza, jako spadkobiercy
Jego praw wszystkich i jego potęgi. (*Siada*).

Stojgniew (*stojąc przy tronie*).
Niech wszystka ziemia nasza, i co na niej
Wszelakich stanów przebywa mieszkańców,
Od wielmożnego począwszy bojara,
Do pokornego na swej roli kmiecia,
Słucha i wie to, żo dziś ten Mieczysław,
Syn Bolesława niezgasłej pamięci,
Od swego ojca na tron przeznaczony,
Rok poświęciwszy cały na żałobę,
I opłakanie niewróconej straty,
Jaką śmierć dla nas tego króla była,
Dziś, mówię, idąc za jego przykładem,
Włożył na głowę tę samą koronę,
Przez której wdzianie niegdyś jego ojciec
Uczynił siebie królem i udzielnym
A niezawisłym panem wszech tych krain,
Co je odzierżył lub sam podbił bronią.

Obecni. Niech żyje król nasz! Cześć Mieczysławowi!

Król. Tak jak mój ojciec, zdołam sobie zdobyć
Poszanowanie u obcych mocarzy,
A od was, których Bóg dał mi w poddaństwo,
Tej samej żądam czci i posłuszeństwa,
Jakieście jemu byli oddać skorzy. —
Cieszy me serce, iż was tutaj widzę,
Posłańcze Rusi i ty Czechów pośle,
Zwłaszcza, że oczy me nie spotykają
Także posłańca z Niemiec od cesarza.
Cóż wam panowie wasi rzec kazali?

Ulrych. Złożyć życzenia tobie, wielki królu,
W dniu uroczystym dla ciebie i ludu.
Oby Najwyższy z darów swych skarbnicy
Nie przestał nigdy dla ciebie szafować,
Dał ci potęgę chwałę i wiek długi!

Igor. Też same słowa musiałbym powtórzyć,
Bo wiedz, że takie były polecenia
Mojego pana, księcia Jarosława,
Który w Kijowie chwalebnie panuje.

Król. Złóżcie me dzięki nawzajem swym panom.
(*Do Ulrycha*) A nie zapomnij księcia Brzetysława
O tem uprzedzić, że pilnie strzedz będę,
Aby daninę, jaką płacić winien,
Wiernie i w porę do mych skarbów składał;
I niech pamięta, aby me załogi,
Które od czasów mego poprzednika
Po czeskich miastach leżą, wszelki spokój
I zawsze miały przystojną wygodę.
(*Do Igora*) A ty przypomnij swojemu książęciu,
Ze są mojemi wszystkie te zdobycze,
Które poczynił mój ojciec — więc niech się
Nie waży granic od wschodu naruszyć
I o Czerwińskie grody się nie kusi.
Takie me słowa. A który z tych książąt
Chciałby wbrew działać, to na imię Boga,
Ten miecz przekona go o mej słuszności!

Ulrych. Drogi nam pokój z tobą, wielki królu,
I nie pragniemy na twój gniew zasłużyć,
Choćby nam pewnie nie brakło przyjaciół
I sprzymierzeńców w waśni przeciw tobie.

Król. W tych sprzymierzeńców nie bądźcie tak dufni!
Wprzód ja dosięgnę, nim cesarz pomoże.

Igor. Od naszej strony wolna w Polskę droga,
Ani jej góry ni rzeki nie strzegą,
Ale traktaty szanować umiemy
I przysiężoną dochowamy wierność.

Król. Dobrze zrobicie! Bo gdzie niema góry,
Tam jakbym wałem me ciało położył,
A gdzie rzek niema, tam krwi waszej strugi
Rozgraniczyłyby nasze dzielnice!

Arcybiskup Hipolit. Bóg wszechmogący niech od nas od-
[wraca
Podobne wojny, gdzie z obojej strony
Krew chrześcijańska laćby się musiała!
Czyż mało dotąd nieprzyjaciół krzyża,
Zawsze gotowych na naszą zagładę,
O których raczej myśleć tobie, królu?

Czyż ta korona, którą masz na głowie,
Korona godłem krzyża uwieńczona,
Nie ten na ciebie wkłada obowiązek,
Byś wszystkie siły obrócił na pogan
I przed Chrystusem uklęknąć im kazał?
Wstyd, hańba dla nas, boleść dla serc naszych,
Że w twojem państwie jeszcze do tej chwili
Tylu wyznawców fałszywej nauki,
Tyle po siołach bóżnic i bałwanów,
Po lasach tylu kapłanów Beliala!
Przeciw tym obróć swój gniew i swój oręż,
Wypleń przemocą ten chwast zaraźliwy
I kościołowi przyspórz wiernych synów
Z tych dusz, skazanych dziś na potępienie!
To twoje prawo i twój obowiązek,
Kiedy chcesz tem być, czem się dziś nazwałeś:
Być chrześcijańskim królem, pomazańcem
I sługą Boga!

Król. Dość, arcybiskupie!
Broniła ciebie powaga kapłańska,
Lecz dłużej możeby bronić nie mogła.
Com dotąd czynił, zawsze czynić będę;
Jestem zarówno królem prawych chrześcijan,
Jako i pogan; i jedni i drudzy
Są jednakowo mymi poddanymi,
I jedno mają prawo do obrony
I mej opieki. Wojny bratobójczej
Wzniecać nie będę, ani prześladować
Tych, co inaczej ode mnie się modlą;
Niech Bóg ich sądzi, ja karać nie będę.
Gdybym posłuchać chciał waszej namowy,
Całe me państwo na dwieby połowy
Wnet się rozpadło, i ci co postrachem,
Dopóki zgodni, są ludów sąsiednich,
Po obu stronach Odryby stanęli
Wrogami sobie z mieczem i pożogą:
Tu chrześcijanie, a tam dawna wiara.
Radośćbym sprawił mym nieprzyjaciołom

Zaprawdę wielką! Niemcyby w niebiosy
Okrzyk podnieśli, gdyby ich wieść doszła,
Że czego oni dokonać nie mogli,
To ja sam czynię i niszczę to państwo.

Arcybiskup Hipolit. Lecz pozwól, królu...

Król. Dosyć, powiedziałem.
Przebaczam tobie kapłańską gorliwość,
Lecz ty mi zostaw mój rozum królewski.
(*Wstaje i schodzi ze stopni tronu; idąc koło Bezbraima, zatrzymuje się i patrząc na niego mówi*)
Cóż, Bezbraimie? czemuś tak ponury?
Czemu spuszczony w ziemię wzrok nie dzieli
Naszej radości?

Bezbraim. Radość nie dla wszystkich.

Król. To co mnie cieszy, dla ciebie więc smutkiem?

Bezbraim. I to być może — ale szczęście zmienne...

Król. Gniewa cię, że go napróżno wyglądasz?...

Bezbraim. O nie. Cierpliwy jestem, umiem znosić,
Co Bóg i losy na mnie zesyłają;
Moja mię wiara naucza pokory
I cierpliwości.

Król (*d. s.*). Chytry i podstępny!
Nienawiść kryje, a spokój udaje,
Lecz nie oszuka mię tą larwą fałszu.
(*Król wychodzi, za nim wszyscy, z wyjątkiem Bezbraima, Arcybiskupa Hipolita, Ulrycha i Igora*).

SCENA 2.

Bezbraim, Arcybiskup Hipolit, Ulrych i Igor.

Bezbraim (*zbliża się do Arcybiskupa pogrążonego w myślach*).
O święty mężu, całuję twe ręce
Na znak wdzięczności mojej nieskończonej,
Żeś miał odwagę uzurpatorowi
Rzec słowa prawdy — ty jeden śród zgrai
Nędznych służalców.

Arcybiskup Hipolit. Spełniłem powinność,
Jaka ciężyła na moim urzędzie;

Wielki czy mały, wszyscy jednakowi
Dla sługi Boga, a kto w jego imię
Głos swój podnosi, tego nie zastraszy
Żadna potęga. Niemało przykładów
Świat już oglądał, jak ciężko karaną
Bywała duma podobna tej, którą
Tu widzieliśmy, i jak w prochu legła
U stóp kościoła.

Bezbraim. Niechaj twoje słowa
Prorocze będą! (*Do Posłów*). Przybliżcie się do nas,
Niech was ode mnie ta myśl nie odpędza,
Żem bratem króla. Prawo nas natury
Zrobiło braćmi, lecz on stargał węzły
Krwi i braterstwa, kiedy mię pokrzywdził,
Gdy mi koronę wydarł, która z prawa
Starszeństwa do mnie, a nie doń należy.

Ulrych (*do Arcybiskupa*). Czy mamy wierzyć ?..

Arcybiskup Hipolit. Co mówi, jest prawdą;
Znam jego duszę i dla chrześcijaństwa
Wielką gorliwość.

Bezbraim. Nie tajcie przede mną.
Jakie prawdziwe myśli waszych panów,
Jak ja przed wami otwieram me serce.
Nie sądźcie, żebym wierzył, iż miodowe
Słowa, któremi dzisiaj jego ucho
Usypialiście, są prawdy obrazem —
Może złudziły jego, mnie nie mogły.

Ulrych. Odgadłeś, książę. Czechy ujarzmione
Przez Bolesława, żądzą zemsty dyszą,
I patrzą chwili, aby zrzucić z karku
Ten niewolniczy łańcuch, co je ciśnie.

Igor. Ruś ciężko znosi swe upokorzenie,
I pomna strat tych, które miecz jej zadał
Przeszłego króla. A ten, co dziś zasiadł
Na jego tronie, nadzieję w niej budzi,
Że będzie mogła klęsk swych powetować;
Bo chociaż jest on synem lwa srogiego,
I choć lwią postać na siebie przybiera,
Zdaje się nie mieć w sobie lwich przymiotów.

Bezbraim. Jak z mowy waszej z radością poznaję,
W jedno ogniwo wspólny cel nas łączy:
Czechy chcą pomścić na nim swoją hańbę,
Ruś chce odzyskać stracone krainy,
Kościół chce skarać w nim zniewagę wiary,
A ja odebrać chcę tron i koronę.
Dalej, uderzmy, niby cztery gromy,
W tego nędznika!... Tak, mówcie swym panom,
Jakiem uczuciem tchnę dla Mieczysława,
Że sprzymierzeńca mają zawsze we mnie,
Ilekroć jemu źle czynić zamyślą,
Czy wojnę wydać, czy zdradą usidlić.
Niech mi ufają, bo ja niemniej od nich
Mam krzywd i uraz do pomszczenia na nim.
Sił mi brakuje, by stawić mu czoło,
Lecz kiedy oni swą potęgę ruszą,
Znajdę sposoby w skrytej nienawiści
Szkodzić mu równie, jak oni swą bronią.
(*Słychać głos trąby*).
To znak jest, którym na ucztę zaprasza
Zaborca cudzych dóbr i sławy. Pójdźmy!

Arcybiskup Hipolit. Książę na uczcie będziesz?

Bezbraim. Nieinaczej.
Choć mię to jadło i napój truć będą,
Muszę do czasu cierpliwie je łykać.
Tymczasem pójdźcie ze mną, póki pora,
O naszych wspólnych pomówić zamysłach.
(*Wychodzą*).

Zmiana dekoracyi. Inna sala na zamku.

SCENA 3.

Król. Marszałek pałacowy, i Orszak królewski (wchodzą).

Król. Idź, mój marszałku, i każ przez heroldów
Na wszystkie rogi stolicy ogłosić,
Że każdy szlachcic, rycerz, czy podlega
Naszemu berłu, czyli też obcemu,

W progi wejść może królewskiego zamku
I usiąść z nami przy biesiadnym stole,
Tak dziś, jak jutro, jak i dnia trzeciego;
A zaś dla gminu będą zastawione
Pod gołem niebem stoły pełne mięsa,
Miodu i wina: niech wszyscy się cieszą.
(*Marszałek wychodzi*).
Precz od nas troska niech dzisiaj odejdzie,
I te co głowie zwykły ciężyć myśli,
Tem cięższe, jeśli korona je kryje.

SCENA 4.

Król. Orszak. Dobrówka z dwiema Dziewicami.

Dobrówka (*rzucając się do kolan Króla*).
Królu i panie, jeśli mam uwierzyć,
Jak mi to nieraz twe słowa mówiły,
Że w twojem sercu miłość dla mnie płonie,
Że czułość dla mnie w twoich piersiach mieszka,
Nad dolą moją dzisiaj się ulituj
I krzywdę, którą poniosłam, wynagródź;
U twoich kolan z płaczem o to żebrzę!
Niech ludzie wiedzą, że jestem kochaną
Przez tego, który tem królestwem włada,
Niech mię bezkarnie nie dają w pogardę!

Król. Skądże te żale, cóż się znowu stało?
Powiedz, Dobrówko!

Dobrówka. Ach, i gdzież się udam?
Kto mą obroną będzie, jeśli nie ty?
Pociesz mię, utul, i ból mój ułagódź,
Który mi ciężka zadała zniewaga!

Król. Kto się ośmielił? Powiedz jego imię,
A jak zasłużył, wnet będzie ukaran. (*Podnosząc ją*).
Powstań, Dobrówko, i w prochu podłogi
Swych szat świątecznych nie kalaj, jak gdyby
To była suknia nędznej pokutnicy.

O, wstrzymaj łzy swe, niech w tym dniu rado-
[snym,
Gdy wszystko do nas szczęściem się uśmiecha,
Na tem obliczu, co dla mnie tak drogiem,
Nie widzę świadków twojego zmartwienia.

Dobrówka. Szłam w towarzystwie tych oto służebnic,
Bym u twych kolan, kiedy dzisiaj wszyscy
Hołd ci składają, i ja najwierniejsza,
Najpokorniejsza twoja służebnica,
Mogła się zniżyć i z uczuć mej duszy,
Na jaką stać mię, złożyć ci daninę.
Szłam pełna szczęścia i dumnej rozkoszy,
(Bo się nie mogę taić, żem ją czuła),
Gdy na krużganku spotykam królową
Z dziewic orszakiem. Ustąpiłam z drogi,
Lecz ona, z ręką groźnie podniesioną,
Zbliża się do mnie i z szyderstwem rzecze:
„Czy ta opaska złota na twych włosach
Ma podrzeźnieniem być mojej korony?
Jedna jest tylko królowa w tym kraju,
Drugą nie będzie nigdy nałożnica!...“
Wstyd mi hamuje w drżących ustach słowa...
To powiedziawszy, zrywa mi opaskę
Z głowy i rzuca na ziemię pod nogi.

Król. Znowu więc wybuch kobiecej zawiści!
Nigdyż nie będę miał z wami spokoju
I wasze swary muszą mi zamącać
Najpogodniejsze dni mego żywota?

Dobrówka. Takież współczucie znalazłam u ciebie,
Politowania takiego doznałam?...
Zamiast mą krzywdę widzieć nagrodzoną,
Ja znieważona, słyszę twe wyrzuty!
Niewięcej dla mnie była srogą Ryksa
Jako ty, królu!... Jakżem się zawiodła,
Kiedym u ciebie szukała pociechy!

Król. Uspokój swoją drażliwość kobiecą
I wierz w niezmienne moje przywiązanie.
Boleję nad tem, że we łzach cię widzę,

I byłbym oddał brylant najpiękniejszy
Z mojej korony, byleś ty powodu
Nie była miała do skargi i żalu.

Dobrówka. Więc daj mi tego oczywisty dowód,
Pokaż, że mówiąc to, nie kłamiesz wcale;
Niechaj się stanie mojej czci zadosyć;
Uczyń, by nigdy podobna zniewaga
Nie mogła dotknąć już mojego czoła.
O, nie odejdę prędzej od twych kolan,
Aż ukaraną będzie ta zuchwała!
(*Wchodzi Ryksa i kilka Kobiet z jej dworu*).

SCENA 5.

Król, jego Orszak. Dobrówka i jej dwie Służebnice, Ryksa i kilka Kobiet z jej dworu.

Ryksa (*zostając w głębi*).
Ha, oto u nóg królewskich się tarza
Ta niewolnica, ta pyszna poganka,
I na rozkosze swej zdrożnej miłości,
Na swe wszeteczne zaklina pieszczoty,
Aby mię skarał, żem miała odwagę
Jej niebosiężną zuchwałość ukrócić!
Dobrze więc, jestem, przyszłam tutaj sama;
Nie czuję trwogi. Mów, królu, ja słucham.

Król. Rykso, czy to jest sposób, by zachować
Spokój w mym domu? Cóż ci zawiniła,
Że jej sromotną zadajesz obelgę?
Wiesz, że Dobrówka droga memu sercu,
Co jej uczynisz, jakbyś mnie zrobiła,
I w niej szanować mnie samego winnaś.

Ryksa. Twego chmurnego nie zlęknę się czoła,
I wiem co mogę, a co nie uczynić;
Tej rozkosznicy bezwstydnej nie myślę
Więcej szanować, niż ona się sama
Uszanowała, gdy weszła w twe progi,
Aby je skalać bezbożną swywolą.
Com dziś zrobiła, to zawsze powtórzę,

Ilekroć zechce dumą mnie obrażać,
Lub świętym prawom małżonki ubliżać.

Dobrówka. Czy słyszysz, królu?.. W twojej obecności
Znów świeża hańba na mą głowę spada!
Czy ścierpisz, aby ta pyszna kobieta,
Która niewieścich nie ma w sercu uczuć,
I mnie i tobie razem urągała?
O, ja nieszczęsna! takąż mam nagrodę
Za moją miłość, gdy ten co rozkosze
Wszystkie jej czerpał, dzisiaj jest nieczuły
Na me cierpienia!

Ryksa. Śpiewami Syreny
Miękcz jego serce, rozpływaj się we łzach!
Wie świat od dawna, że podobne prośby,
Podobnych jak ty kobiet, na podobnych
Do niego mężów najlepiej działają.

Dobrówka. O bogi! czemuż tego dnia dożyłam?
Milcz, ty kobieto nieludzka, przez którą
Nie mówi zazdrość, ani zawiedzione
W swoich nadziejach uczucie, lecz duma,
Dbała jedynie o próżne zaszczyty,
I dzika srogość na słabości innych!
Milcz!

Ryksa. Martwe gromy z twych oczu padają!
Źle taisz wściekłość pod pokrywą uczuć,
Nie mogąc zemstą dosiądz wysokości,
Na której stoję. Mówię ci raz jeszcze:
Bądź pokorniejsza, i nie zapominaj,
Że tą, co nosi koronę, ja jestem;
Inaczej zawsze spotka cię toż samo,
Co dziś spotkało.

Król. Dość tego, królowo!
By się nie stało, czem się jej odgrażasz,
Zapobiedz temu zdoła moja władza.
Wiedzcie więc wszyscy, że od tej godziny
Macie Dobrówkę tak samo uważać,
Jak gdyby równą była mojej żonie,
Ten sam mieć dla niej szacunek i względy.

A to jednako wszystkich się dotyczy,
Tak ciebie jako i innych, królowo;
Więc strzeż się przeciw woli mej wykroczyć.

Dobrówka. Dzięki ci, królu!

Ryksa. Dopełniłeś miary
Swej bezbożności, łamiąc grzeszną ręką
Najświętsze prawa od Boga nadane.
Chociaż chrzest obmył po wierzchu twe ciało,
Pogańska dusza pozostała w tobie
I żyjesz, jakby Perun był twym bogiem,
We wszeteczeństwie, dogadzając wszystkim
Zwierzęcym chuciom. Znać w każdym twym czynie,
Żeś w barbarzyńskich ugrzęznął zwyczajach
I w dzikiej ludu swojego naturze.
Pocom ja, córka cesarskiego rodu,
Weszła w te związki, gdzie co chwila muszę
Widzieć obrazę Boga i kościoła
I hańbę wiary?... O, porzuć swe błędy,
Powróć do Boga, zaniechaj zdrożności!
To jako dobrze życząca ci radzę,
Nie chcąc na twoją patrzeć kiedyś karę.

Król. Jak powiedziałem, tak będzie, więc przestań
Pysznemi słowy próżno gniew mój jątrzyć.

Ryksa. Bóg cię przekona, jak źle postępujesz!
(*Odchodzi ze swym dworem*).

Król. A ty Dobrówko, wróć teraz do siebie,
Zrób piękną kosę z rozpuszczonych włosów
I złotą przywdziej na głowę opaskę,
By przy mym boku usiąść poza stołem.

Dobrówka. Dzięki raz jeszcze, mój szlachetny panie!
(*Odchodzi ze Służebnicami, wchodzi Stojgniew*).

SCENA 6.

Król, Orszak, Stojgniew.

Król. Co znów nowego, Stojgniewie? — z twej twarzy
Widzę, że z wieścią idziesz i niemiłą.

Stojgniew. Panie, kazałem pojmać Bezbraima.
Król. Ha! co mi mówisz?
Stojgniew. Jeden z sług twych wiernych
Podsłuchał, kiedy miał zmowę z posłami
Czeskim i ruskim. Znając twe rozkazy,
By Bezbraima zawsze mieć na oku,
I gdy się uda schwytać na uczynku,
Sądziłem, że to jest dobra sposobność;
A teraz czekam, co każesz z nim zrobić.
Król. Och, ten Bezbraim!... Zdawna przeczuwałem,
Jak dla mnie wrogiem jest nieubłaganym,
Myślałem nieraz, by wygnać go z kraju,
I wstrzymywała mię tylko nadzieja,
Że on uczucia swoje ułagodzi,
Uznając we mnie i króla i brata.
Darmo! nie można chować zdrajcy w domu;
Zdrożnemby było i przeciwko sobie
I przeciw państwu, gdybym pobłażliwie
Patrzył na jego pokątne knowania
I niechęć ku mnie siać jemu pozwolił
Na własnej ziemi. Sprowadź go przede mnie!
(*Stojgniew wychodzi i wraca zaraz, za nim wchodzi Bezbraim, otoczony Żołnierzami*).

SCENA 7.

Król. Bezbraim. Stojgniew. Orszak królewski. Żołnierze.

Bezbraim. Pytam się, za com został uwięziony?...
Król. Za to, że jesteś mej władzy oporny,
Za to, żeś zdrajca!
Bezbraim. Cóż więc uczyniłem,
Coby mię o tę oskarżało winę?
Król. Niejeden miałem już wyraźny dowód
Twej nienawiści. Dobrze mi wiadomo,
Jak podżegałeś przeciw mnie umysły
Obietnicami zwodniczemi nagród,
Jak nieprawdziwem rzeczy przedstawieniem
(Gdyby łaskawszą była dla cię przyszłość)

Z moich poddanych robiłeś mi wrogów,
A dla swej sprawy nieszczęsnych stronników.
Dziś cię schwytano na zbrodniczej zmowie
Z ludźmi obcymi.

Bezbraim. Jeżeli to tylko
I nic już więcej przeciw mnie nie świadczy,
O moją całość czuję się spokojnym.
Bo cóż to znaczy: »podżegać umysły«,
Albo »stronników dla swej sprawy jednać?«
To są wyrazy puste, bez znaczenia,
Które o każdym powiedzieć się dadzą,
Kto tylko z ludźmi kiedykolwiek gadał
O sprawach państwa, rządzie, lub o królu,
I choć najmniejsze ma jakieś znaczenie.
Tęż samą wartość ma i nowa skarga,
Jakobym z posły obcymi się zmawiał.

Stojgniew. Daremnie przeczysz, dobrze cię słyszano,
Jak wywnętrzałeś z duszy swej nienawiść
Przeciw królowi, jako podmawiałeś
Do wojny z nami, przyrzekając pomoc
I wystawiając liczbę swych stronników,
Których masz w kraju.

Bezbraim. Z tobą ja nie mówię,
Nędzny służalcze! Milcz, gdy wyżsi mówią!
(*Do Króla*). A ty się nie daj uwodzić oszczercom,
Ani nie słuchaj płatnych zauszników,
Którzy na zgubę moją ciebie kuszą.

Król. Nie w ich, lecz w twoich ustach kłamstwo widzę,
I za te winy, których całą szpetność
I całą wielkość ty sam znasz najlepiej,
Moim wyrokiem pójdziesz na wygnanie!
Nim słońce zajdzie, masz miasto opuścić
I nie zatrzymać się nigdzie po drodze,
Dopóki granic moich państw nie miniesz.

Bezbraim. Iść na wygnanie, porzucić ojczyznę,
Kolebkę swoją, ziemię swoich ojców?
Któż to wydaje na mnie taki wyrok?

Król. Ja, król tej ziemi, który sam ma prawo
Stanowić o tem, kto ma na niej mieszkać.
Bezbraim. Nie jesteś królem, zaprzeczam ci tego
Tu, wobec wszystkich, którzy nas słuchają!
Gdyby ta ziemia miała króla, nie ty
Byłbyś jej królem, lecz ja, pierworodny
Syn Bolesława.
Król. Mnie jednak, nie tobie
Ojciec przeznaczył po sobie swe państwo.
Na polu bitew, pod jego rozkazy
Walcząc, zdobyłem sobie jego serce.
Bezbraim. Lecz ojciec nie mógł zniszczyć tego prawa,
Jakie mi dała natura. Gdy zgrzeszył
Postanowieniem przeciwnem, to grzechem
I niczem więcej była jego wola.
Grzechowi i tyś winien swój początek,
Kiedy Bolesław odepchnął mą matkę,
Pobożną, zacną, królewskiego rodu,
By usidlony wdziękami poddanki,
Kobiety z gminu, szukać w jej objęciach
Rozkoszy ciała i ciebie z niej spłodzić.
Jakaż różnica między pochodzeniem
Twojem a mojem!... Toż na takiej roli
Nie mogło zrodzić się szlachetne ziarno!...
Król. Spadła ci maska! Dopiero gdyś zwykłą
Porzucił chytrość, mogę się dowiedzieć,
Coś myślał zawsze!
Bezbraim. Część ludu ku sobie
Zręcznie uwiodłeś i schwyciłeś władzę,
Lecz ona nie ma fundamentu prawa.
Na głowę dzisiaj włożyłeś koronę
Bez pozwolenia i woli cesarza.
Taka korona to tylko igraszka,
Jaką się bawią nierozsądne dzieci,
Bo wszelka, jaka na ziemi jest władza,
Wszelka królewskość ma jedyne źródło
Tylko w cesarskim, świętym majestacie;
A czego świecki namiestnik Chrystusa

Nie stwierdzi wolą swą i nie uświęci,
To albo cieniem jest, albo występkiem.

Król. Przykład mi tego dał wielki mój ojciec,
Który być nie chciał sługą równych sobie;
Tak dobry cesarz w Niemczech, jak ja tutaj.
Mój naród słusznem był wiedzion poczuciem,
Gdy za mną poszedł. Gdyby ciebie wybrał,
Ty po koronę posłałbyś do Niemiec
I od cesarza kupił ją za haracz,
Za hołd poddańczy...

Bezbraim. Dlatego korona
Na mojej dobrze siedziałaby głowie,
A z twojej spadnie...

Król. Milcz, zuchwały zdrajco!
Bo wprzód twa głowa spaść może, nim na nią
Koronę królów przymierzyćbyś zdołał!...
Precz mi z przed oczu!

Bezbraim. Idę, bo naprzeciw
Twojej przemocy nie mam równej siły
I los mi każe poddać się gwałtowi.
Lecz jeszcze ujrzysz mię kiedyś przed sobą;
Znajdę ja takich, co pomoc mi dadzą,
Którzy się ujmą za mą wielką krzywdę,
Dla których strasznym ty wcale nie będziesz.

Król. Idź, by zasłużyć sobie na haniebne
Nazwisko zdrajcy i brata i kraju!
Ja gardzę tobą i swej nikczemności
Zawdzięczasz życie, któreś za zuchwałość
Stracić powinien!

Bezbraim. W Bogu mam mściciela!
(*Wychodzi, za nim Żołnierze*).

SCENA 8.

Król, Stojgniew, Orszak królewski.

Stojgniew. Panie, przezorność starych ludzi wadą,
Albo przymiotem — nie wiem, jak mam sądzić,

Lecz kiedym stary, przezornym być muszę,
Choćbyś to nazwał trwożną ostrożnością.

Król. Do czego zmierzasz?...

Stojgniew. Lepiej Bezbraima
Nie było puszczać i takim sposobem
Nie dać możności, aby tobie szkodził;
On z obcych krajów przyniesie ci wojnę.

Król. Niechaj na wszystkie cztery wiatry żebrze
Litości ludzkiej, niech mych wszystkich wrogów
Przeciw mnie burzy i do wojny skłania:
Ja szydzę z jego zuchwałych pogróżek,
Ani się Rusi, ni Czech nie obawiam,
Ani potęgi cesarskiej!

Stojgniew. Królowie
Winni waleczność jednoczyć z rozsądkiem.
Tak robił wielki twój ojciec i nigdy
Zbytecznie szczęściu nie ufał...

Król. Daj pokój
Radom i trwogom, które mogą wzbudzić
Gniew tylko we mnie nie w porę.
(*Słychać głos trąby po trzykroć*) Słyszycie?
Oto nas hasło zaprasza do uczty!
Niechaj przepadną Bezbraim i zdrajcy,
My z dobrą myślą użyjmy wesela! (*Wychodzą*).

Zmiana dekoracyi. Dziedziniec przed domem Bezbraima. Po jednej stronie baszty i mury. Wieczór.

SCENA 9.

Bezbraim, jego stary Sługa i Giermek, który niesie tarczę, miecz i szyszak, wychodzą z domu.

Bezbraim. Bywaj zdrów, stary! Patrz, jakich się losów
Twój pan doczekał! W królewskiej kolebce
Zrodzon, do berła wychowany, dzisiaj
Nędznym zostaje włóczęgą bez dachu,
Głowy niewolno mu złożyć na ziemi,
Której jest panem. A to wszystko sprawa
Tego tyrana!

Sługa. O Chryste, mój Chryste!
Ukarzże jego ciężko i niedługo!

Bezbraim (*d. s*). Jednak gdy myślę nad mojem wygnaniem,
Nie wiem, czy więcej dobrego, czy złego
Sprawił mi wyrok mego prześladowcy,
Który obudził mię z odrętwiałości
I pchnął do czynu. Bo i cóżbym zyskał,
Karmiąc nienawiść swoją potajemnie
Jego widokiem i próżnemi słowy
Czyniąc przed ludźmi ulgę memu sercu?
Dzisiaj dopiero jestem jemu groźny.
(*Do Sługi*). A czy o wszystkiem dobrze pamiętałeś?

Sługa. Pieniądze, złoto i drogie kamienie
W tym oto worku skrzętnie pozbierałem,
Bo to towarzysz drogi jest najlepszy.
Konie i ludzie dobrze uzbrojeni
I jak potrzeba opatrzeni w podróż,
Czekają ciebie za murem.

Bezbraim. Raz jeszcze
Bywaj mi zdrowy i w swoich modlitwach
Pamiętaj o mnie.

Sługa. O, powracaj do nas,
Aby twa ręka zamknęła te oczy,
Które widziały niegdyś twe dzieciństwo,
Panie mój drogi!

Bezbraim. Słyszysz, ktoś nadchodzi.

SCENA 10.

Bezbraim. Sługa. Giermek. (*Wchodzą*) *Zbysław kasztelan. Mojmir wojewoda. Arcybiskup Hipolit. Hudo. Niemsta i dwóch innych stronników Bezbraima.*

Bługa. Kto idzie?

Sezbraim. Mówcie, coście wy za jedni?
W zmroku wieczornym poznać was nie mogę.

Zbysław. Jam Zbysław.

Mojmie. Mojmir.
Hudo. I Hudo.
Bezbraim (*ściska ich za rękę*). Witajcie.
Mili druhowie!
Arcybiskup Hipolit. I mnie dłoń swą podaj.
Cieniami nocy zakryci przyszliśmy
Żegnać się z tobą.
Bezbraim (*zwracając się w stronę zamku królewskiego*).
O, ciesz się, tyranie,
Ciesz się z dowodu świeżego twej mocy,
Kiedy przyjaciel żegnać przyjaciela
Boi się jawnie przed grozą twej zemsty!
O, jakżeż wielkie me upokorzenie,
Jak nędzna dola, gdy mi zabronione
To, w czem niewolnik nawet ma swą wolę!
Zbysław. Jak ty, my również czujemy ten ucisk
Królewskiej ręki, która nam wydziera
Nasze swobody i z wolnej drużyny
Chce nas przemienić w rzeszę niewolników.
My chcemy tem być, czem po innych krajach
Wszędzie jest szlachta, chcemy mieć te prawa,
Które w sąsiednich Niemczech mają grafy
I baronowie, i jak się tam zowią.
Póki lew stary żył, potrzeba było
Milczeć i znosić, ale temu lwiątku
Przytniem pazury, nim dobrze urosną.
Bezbraim. Swięte są twoje słowa, kasztelanie.
Mojmir. W tobie nadzieję całą pokładamy,
Pomścij Lechitów i bądź naszym królem!
Bezbraim. O, nic mi więcej na sercu nie leży,
Jak sprawiedliwość i słuszny porządek
W tem nieszczęśliwem królestwie przywrócić;
I jeśli kiedy Bóg tryumf mi zdarzy,
Będzie to tryumf naszej wspólnej sprawy.
Zbysław. Na naszą pomoc zawsze możesz liczyć,
Gdy zaczniesz mieczem twoich praw dochodzić.
Ja mam pod strażą dwa grody graniczne...

Mojmir. Tysiąc żołnierzy jest pod mym rozkazem...
Hudo. Pięćset pod moim.
Niemsta. Trzysta pod mą władzą,
Co, niechaj skinę, i w piekło polecą.
Inny stronnik Bezbraima.
Kiedy zawołam, wszystek gmin z mych włości
Pójdzie z toporem, gdzie go poprowadzisz.
Bezbraim. Dzięki wam, bracia! Przyjdzie czas, że może
Dowodów waszej zażądam przyjaźni.
Arcybiskup Hipolit.
Amen! Niech cesarz z twoich ust się dowie,
Że tu ramienia jego wzywa kościół
Niebezpieczeństwem zagrożony wielce;
Że nie o same tylko świeckie sprawy,
Lecz i o wiarę w tem królestwie chodzi.
To polecenie daję ci z biskupiem
Błogosławieństwem.
Bezbraim (*klękając przed nim*). Ono mi pomocą
Będzie w mych trudach i najlepszą tarczą
W niebezpieczeństwach. (*Powstaje*).
Ha, już czas uchodzić!
Godzina dla mnie wyznaczona mija...
I kroki moje może już w tej chwili
Liczą z daleka królewscy siepacze.
Bywajcie zdrowi! we wspólnym ucisku
Nic wam zostawić nie mam, prócz nadziei.
(*Wychodzą*).

AKT DRUGI.

Gniezno. Sala na zamku królewskim.

SCENA 1.

Dwaj Posłańcy (wchodzą, później) Masław.

I Posłaniec. Czy król już świadom naszego przybycia?
2 Posłaniec. Żądałem, by mu o tem powiedziano.
Tu nas ma słuchać i wnet tu przybędzie.
Masław (*wchodzi, niosąc wielką misę zwierzyny; zobaczywszy Posłańców, zatrzymuje się*).
Witam, panowie. Jak po was poznaję,
Jesteście gońcy wysłani do króla.
I Posłaniec. Zgadłeś, mój bracie.
Masław To nie było trudne,
Lecz i trudniejszej rzeczy się domyślam,
Choć i ta łatwa dla bystrego oka,
Bo wypisana na waszych obliczach,
Że niepocieszne przynosicie wieści.
2 Posłaniec. Prawda. Nie zmylił cię twój węch dworaczy.
Masław. Więc i dworaczą chciejcie przyjąć radę:
Co prędzej sobie wracajcie do domu,
A nam nie psujcie tutaj uczt wesołych,
Łowów i igrzysk. Bawimy się dobrze,
Od koronacyi królewskiej począwszy,
A teraz znowu mamy tu u siebie
Księcia Lutyków, który wyśmienitym
Jest towarzyszem i bardzo do serca
Przypadł królowi. Więc kłopotne wieści,
Jak łatwo zgadnąć, nie w smak jemu pójdą.

2 Posłaniec. Dzięki za radę, choć nieużyteczną,
Bo z czem przyszliśmy, powiedzieć musimy,
Masław. Bardzo żałuję was i mego pana.
Powinnibyście choć na to uważać,
Że to miodowe są właśnie miesiące
Jego królestwa. Wszak każdemu wolno
Tem się nacieszyć, co nowego dostał:
Cieszy się dziecko, gdy mu lalkę sprawią,
I mąż się cieszy swoją młodą żoną,
A tylkoż królom byłoby wzbronione
Nową koroną trochę się nacieszyć?
Jeszcze raz radzę: idzcie sobie z Bogiem
I nas przy dobrej pozostawcie myśli.
I Posłaniec. Zabawny z ciebie towarzysz, mój bracie...
A jak się zowiesz?
Masław. Do usług waszmości,
Masław. Jak widzisz, niosę teraz misę,
Ale i szablę udźwigam w potrzebie.
Złota ni roli ojciec nie zostawił,
A żyć potrzeba, więc u dworu wiszę,
Chociażbym wolał, klnę się na patrona,
Być wojewodą albo kasztelanem.
2 Posłaniec. Wierzymy waści, nawet bez zaklęcia.
Masław. Żegnam waćpanów. Gdyby nie ta misa,
Co mi ostyga, chętniebym gawędził.
(Wychodzi innemi drzwiami).
I Posłaniec. To krotochwilny jakiś junak!
2 Posłaniec. Widać,
Że dworską pieczeń nie napróżno wącha.
Baczność, król idzie! nabierzmy odwagi.

SCENA 2.

(Wchodzą) Król. Stojgniew, Książę Lutycki i kilku Rycerzy polskich i lutyckich. Dwaj Posłańcy.

Król. Ważne być muszą wasze wiadomości,
Gdy wezwaliście mnie do nich z pośrodka

Moich przyjaciół i wesołych gości.
Mówcie więc krótko i zwięzłemi słowy.

I Posłaniec. Przybywam z Moraw; twój, królu, namiestnik
Wysłał mię gońcem, a wieści przynoszę,
Które zakrwawią twe królewskie serce.
Czeski Brzetysław, uniesiony dumą,
I zapomniawszy winnego poddaństwa
I swych traktatów, zewsząd powypędzał
Załogi polskie, jakie miał w swym kraju,
A oprócz tego, nie czując w nas siły,
Napadł Morawy i całe zagrabił.

Król. Ha, wiarołomca, będzie skaran za to!
A ty, czy także masz podobne wieści?

2 Posłaniec. Niestety, panie! Druga strona państwa
Niemniejsze straty i szkody poniosła.
W Czerwińskie grody wpadł kijowski książę,
Ogołocone znalazłszy te ściany,
I Ruś, co twoją była do niedawna,
Nie jest już twoją!

Król. Będzie nią napowrót!
Niespodziewanie padły w nas te gromy,
Lecz nie powalą nas do stóp nieszczęścia.
Same się karzą zuchwałości czyny,
Co wyżej mierzą, niż sięgnąć zdołają.
Wnet ci odstępcy na sobie doświadczą,
Że dosyć chcieć mi, aby w proch ich zetrzeć.

Stojgniew. Oto owoc Bezbraima zdrady!
Trudno spólnictwa jego nie dopatrzyć
W tym równoczesnym z obu stron napadzie.
Z trucizną w sercu stąd go puściliśmy,
A on jad rozsiał z siebie na wsze strony.
Nie chciałeś wierzyć, miłościwy królu,
Mojej przestrodze. Gdyśmy byli pewni,
Że mamy wrogów, baczyć należało,
Aby nic złego zrobić nam nie mogli.

Król. Żal poniewczasie słabych dusz udziałem.
Ilem zawinił, o tyle i więcej
Będę się starał winę mą naprawić.

Wielu mam wrogów, lecz mam i przyjaciół,
Swiadkiem jest tego ten Lutyków książę,
Który odnawia z nami dawny sojusz
I rękę zgody szlachetnie podaje.

Książę lutycki. Wielki mój królu, sprawy naszych ludów
Są spólne, spólni są nasi wrogowie;
Dla dobra twoich, jak i moich krain,
Ścisła nas przyjaźń wiązać z sobą winna.

I Posłaniec. Jakąż odpowiedź zaniesiem w swe strony?

Król. Powiedzcie panom, którzy was przysłali,
Że wnet me wojska na granicach staną,
Z któremi zemszczę się na przeciwnikach
I zetrę hańbę z polskiego imienia.

(*Posłańcy, oddawszy pokłon, odchodzą. Słychać głos trąb. Wchodzi Dworzanin królewski*)

Dworzanin. Cesarski poseł przyjechał na zamek
I żąda, aby go wpuścić przed króla.

Król. Wpuścić go. (*Dworzanin wychodzi*).
Usiądź tu przy mnie, mój książę.
Naprzód przeczuwam, że to co usłyszę,
Będzie, jak wszystkie cesarskie poselstwa,
Pełne przechwałek, pełne próżnej buty —
Lecz posłuchamy. (*Siadają*).

SCENA 3.

Król. Książę lutycki. Stojgniew. Rycerze polscy i lutyccy. (*Wchodzi*) *Graf Gero z kilku Rycerzami niemieckimi.*

Graf Gero. Graf Gero się zowię,
Cesarską wolą jestem tu przysłany,
By tobie, księciu polskiemu, obwieścić...

Król. Pośle, czy nie wiesz, jaki jest mój tytuł,
I czy do Niemiec jeszcze wieść nie doszła,
Żem wdział koronę?

Graf Gero Słyszeliśmy dobrze
O tym nieprawnym czynie, który wzbudził
Gniew w naszym panu i dlatego właśnie,

Jako naczelny władzca chrześcijaństwa,
W którego mocy jest królów wywyższać
I strącać z tronu, to przeze mnie pierwsze
Śle ci żądanie, abyś tę koronę,
Bez jego wziętą zezwolenia, złożył.
A potem, abyś na jego zdał wyrok
Rozstrzygnąć spory między Bezbraimem
A tobą, książę. Gdy będziesz powolnym,
On, nagradzając pokorę, uczyni
Między was obu równy podział kraju;
Gdy zaś odważysz się go nie posłuchać,
Wojska, co stoją już u twoich granic,
Wkroczą natychmiast, a za swe zuchwalstwo
Ukaran, łaski u niego nie znajdziesz.
Mów, teraz książę, co z dwojga wybierasz?

Król. To com powinien. Jak widać, twój cesarz
Prędko zapomniał, że z podobną mową
Przed królów polskich posyłać nie wolno.
Gdyby w łagodny sposób był objawił,
Jak dobry sąsiad, mnie swoje życzenia,
Byłbym, choć sprawa to nędznego zdrajcy,
Przez wzgląd na jego powagę przebaczył
Bezbraimowi i pozwolił wrócić,
Jeśliby przyrzekł stanowczą poprawę.
Lecz kiedy grozi i wdziera się w prawa,
Jakie samemu mnie tylko należą,
Daj mu odpowiedź, że koronę wziętą
Samemu chyba tylko oddam Bogu
I że wyroku jego nie przyjmuję,
Sam sobie będąc i panem i sędzią.

Gero. A więc chcesz wojny?...

Król. Wojny, a nie hańby!

Gero. Będziesz miał obie!

(*Wychodzi z Rycerzami niemieckimi*).

SCENA 4.

Król. Stojgniew. Książę lutycki. Rycerze polscy i lutyccy.

Król (*wstając prędko*). Hej, w pole. Stojgniewie!
Przywdziejmy zbroje i całym zapędem
Uderzmy w pysznych Niemców! Niech Ruś czeka,
Niechaj czekają Czechy na nasz odwet,
Całą potęgę zwróćmy na cesarza,
Uderzmy naprzód w największego wroga;
Gdy jego zwalczym, wnet inne narody
Do stóp nam padną, jak młode gałęzie,
Co ze pniem równo walą się na ziemię.

Stojgniew. Oto odżyła w nim krew Bolesława —
Dzięki Ci, Boże! — Panie, w takich słowach
Widzę, żeś królem!

Król. Idź i każ ogłosić,
Z całego kraju niechaj zbrojni spieszą
Pod mą chorągiew. Nie stracę godziny:
Przywdziewam zbroję i dążę na kresy!

Stojgniew. Idę, i wkrótce sam miecz przypasawszy,
Z wojskiem stolicy stanę przy twym boku.
Dalej, Lechici! do konia i zbroi!
(*Wychodzi z Rycerzami polskimi*).

SCENA 5.

Król. Książę lutycki. Rycerze lutyccy.

Książę lutycki. Królu, niech przyjaźń nasza się przemieni
W stałe przymierze. Ze wszystkich twych wrogów
Nad Niemców gorszych niema także dla nas,
Więc złączmy nasze oręże w tej sprawie.

Król. Z wdzięcznością, książę, przyjmuję ten sojusz;
W niebezpieczeństwie przyjaźń składa próbę
Prawdziwej mocy.

Książę lutycki. Więc żegnaj, bo nie chcę
Dać się zawstydzić tobie i pospieszam

Do swego ludu, by go pod broń zwołać.

Król. Na krwawem polu zatem do widzenia!
(*Ściska go*).

Książę lutycki. Bogów opiece polecam twą sprawę.
Hej, towarzysze, wy za mną! Śmierć Niemcom!
(*Wychodzi ze swymi Rycerzami*).

Król (*sam*). Pancerz i miecz mój!.. prędzej — póki plama
Hańby nie przyschnie na mej skroni — prędzej!
(*Wychodzi*).

SCENA 6.

Ryksa wchodzi z synem Kaźmirzem, ubranym w zakonne sukienki — (później) Król.

Ryksa. W nowyż więc obłęd popadł jego umysł?
I wszystkie jego czyny niemiłymi
Muszą być Bogu? — O synu, bodajbyś
Ty wynagrodził matce jej cierpienia
I w ślady ojca kiedyś nie wstępował,
Gdy cię Opatrzność powoła do tronu!

Król (*wraca w pancerzu i hełmie — d. s.*).
Moja Ruś, moje Morawy stracone!
Zroniłem drogie dwie perły z korony —
Jak starożytna egipska królowa,
Tak ja stopiłem je w puharach wina.
Czas lekkomyślność wynagrodzić czynem
I zatamować prąd zgubnej powodzi,
Co na me państwo ze wszech stron się wali.
Bez ciężkich trudów wielkość nie przychodzi
Sama i darmo — i niedość jej chęci,
Pracą i potem każe się zdobywać;
A obca sława nie doda nam blasku,
Gdy własne czyny cieniom nas nie wydrą.
Dalej na wroga! w pole, w burzę bitwy!
Zapomnieć uciech spokojnych pałacu!
Tam miejsce króla... Niechaj świat nie powie,
Że syn był ojca swojego niegodny,
Że co on nabył, to ja utraciłem!

Ryksa (*zbliża się z synem do niego*).
Muszę więc wierzyć, gdy na własne oczy
Widzę cię w zbroi, w krwawych myślach wojny
Zatopionego. Prawdą jest, że idziesz
Na bój z cesarzem i jego posłańca
Z niesławą od swych odprawiłeś progów.

Król. Tak jest, niewiasto; dziś raz pierwszy czuję
Błogie uczucie tej królewskiej dumy,
Które powiada: idź, dla sławy ludu
I swojej działać!

Ryksa. Dopóki czas jeszcze,
Cofnij występne to postanowienie,
Za chwilę błędu przebłagaj cesarza
I nie poczynaj dzieła, które będzie
Zgubą dla ciebie i występkiem wobec
Chrześcijańskiego Boga. Tobież walczyć
Z cesarską mocą?... gdzie siły po temu,
I skąd masz prawo na niego broń wznosić,
Wiedząc, że taki czyn podobny zbrodni?

Król. Zamilcz, niewiasto! — zbrodnią te wyrazy
W ustach królewskiej żony...

Ryksa. O, na Boga!...

Król. Milcz, powiedziałem. Pożegnaj mię raczej
Życzeniem szczęścia i zwycięstw nadzieją.

Ryksa. Nie mogę szczęścia życzyć orężowi,
Który obraca się przeciw mej wierze
I temu, który tej wiary obrońcą
I moim krewnym!...

Król. Złorzecz więc, gdy wolisz!
To nie powstrzyma mię od mych przedsięwzięć.
(*Do syna*). Pójdź tu, mój chłopcze. Ojciec na bój idzie,
Może tam zginie, może już nie ujrzy
Twych lic rumianych... (*Sadza go na kolanach*).
Dlaczego te suknie
Na sobie nosisz?

Kaźmirz. Matka mi je wdziała.

Król. To nie dla syna królewskiego szata,
Nie w mniszym stroju będziesz się rzemiosła
Rycerzy uczył i ziemi swej bronił.
Kiedy powrócę, powitaj mię z łukiem,
Lub z mieczem w ręku. Będziesz ty pamiętał
Twojego ojca, gdyby już nie wrócił?...
Pomścisz śmierć jego?.. kochasz ty mnie, chłopcze?

Kaźmirz. Codziennie modlę się za duszę ojca,
By Bóg się raczył nad nim ulitować
I z ciężkich jego grzechów go oczyścił.

Król (*odsuwając go*).
Idź, chłopcze — matki powtarzasz nauki.
Złą jesteś matką i królową, Rykso,
Tak jak nie byłaś nigdy dobrą żoną;
Ty nie kochałaś nigdy nic: ni kraju,
Ni mnie, ni nawet tego jedynaka!

Ryksa. Nie miałam za co kochać ani ciebie,
Ni twego ludu — a gdyby to dziecko
Podobnem kiedyś miało być do ciebie,
Albo do kogoś z twojego narodu,
Serce matczyne równiebym zamknęła
Dla niego także... Lecz w Bogu nadzieja,
Że go wychowam na chrześcijanina,
Boć w jego żyłach nietylko sarmacka,
Dzika krew płynie, lecz i moja także.
Bóg z tobą! pomnij, żem z duszy pragnęła,
Co można, ująć tobie z win ciężaru,
Że ty, samochcąc, wpadasz w przepaść błędów.
(*Bierze Kaźmirza za rękę i wychodzi z nim*).

SCENA 7.

Król (*wchodzą*) *Stojgniew i Rycerze* (*uzbrojeni*).

Stojgniew. Rozkazy twoje, królu, wypełnione,
Zapał wojenny wre w murach stolicy,
A gońcy na wsze rozniosą go strony;
My tu, do boju już gotowi, stajem.

Król. Miecz mój i puklerz! (*Giermek podaje mu*).
Ja na waszem czele
I razem z wami w złej czy w dobrej doli!
(*Idzie ku drzwiom z Rycerzami, wbiega Dobrówka*).

SCENA 8.

Król. Stojgniew. Rycerze. Dobrówka.

Dobrówka. Stój, chwilę jednę zatrzymaj się, królu!
Czym już niegodna twego pożegnania?
Na krwawe boje odchodzisz ode mnie,
Nie dawszy nawet ręki uściśnienia?
Król. Żegnaj, Dobrówko, dziewo moja luba!
Miłość silniejsza wyrywa mię z twoich
Rozkosznych objęć. Bądź zdrowa i módl się
Do swoich bogów za moją pomyślność!
Dobrówka. Królu, sam jeden nie pójdziesz na wojnę,
Daj miecz mi, zbroję, a ja razem z tobą
W piekło, nietylko przeciw Niemcom pójdę,
By od twych piersi odganiać pociski.
Król. Dobrze, ma luba, stanie się jak żądasz.
Rycerska dziewa jeszcze nam przybywa
Do żołnierskiego szeregu. Hej, dalej,
Dzielni Lechici, za mną, w imię Boga!
(*Wyjmuje miecz i wznosi w górę; wszyscy wychodzą za nim*).
Zmiana. Pole wśród lasu. W głębi niemieckie czaty.

SCENA 9.

Bezbraim i Dytmar (*wchodzą w zbrojach*).

Dytmar. Cóż, Bezbraimie? kiedyś w Merseburgu
Pomocy błagał u cesarskich kolan,
Dużośmy różnych słyszeli przechwałek,
Że dość, byś wstąpił z cesarskimi hufcy
Na ziemię polską, a zwycięstwo samo
Przyjdzie nam w ręce, że Mieczysław w strachu
O litość błagać będzie i o życie.

Bezbraim. Nie sądź tak ostro, margrabio Dytmarze;
Dobrzem wam pole zwycięstw przygotował.
Jak przyrzekałem, Czesi i Rusini
Na dane hasło wtargnęli do Polski
I klęsk niemałych stali się przyczyną;
Nie moja wina, że cesarskie wojska
W pochodzie swoim tak się opóźniły,
Że nas Mieczysław uprzedził w napadzie.
Dytmar. Hańba z tej wojny będzie naszym plonem!
Tam cesarz próżno Budziszyn oblega,
Nędznej mieściny nie może wziąć całą
Swoją potęgą... Tu my, zawiedzeni
Pomiędzy bagna i leśne gęstwiny
Przez twych zdradzieckich przewodników chytrość.
Bezbraim. Tych zdrajców wszakże powiesić kazałem.
Dytmar. I cóż nam z tego?... Siedzimy jak w matni,
I gdy Mieczysław zwietrzy naszą knieję,
Wszystkich wybije nas, jak dzikie kaczki.
Bezbraim. Miejmy cierpliwość, margrafie Dytmarze;
Hańbą jest także wątpić w świętą sprawę.
Cóż tam?

SCENA 10.

Dytmar. Bezbraim (wchodzą) Żołnierz niemiecki (za nim) Goniec.

Żołnierz. Człowieka czaty przystawiły,
Który powiada, że gońcem jest z Polski,
Do Bezbraima księcia tu przysłanym.
Goniec. Kasztelan Zbysław tutaj mnie wyprawił,
Abym ci przyniósł, książę, wieść pomyślną,
Że w całym kraju wzburzenie umysłów
Wielkie powstało, gdy król zagranicę
Wyszedł z wojskami, że wszyscy nie tają
Swojej niechęci do niego i żalu,
I że tej chwili tylko oczekują,
Abyś pokazał się na ziemi polskiej,
A powitają cię królem i panem.

Bezbraim. Słyszysz, margrafie?... nie nam to rozpaczać!
Powróć do pana, złóż mu dzięki moje
I powiedz, że się niedługo wypełnią
Życzenia wiernych mych w kraju przyjaciół.
Goniec. Cześć tobie, książę! (*Wychodzi z Żołnierzem*).
Bezbraim. Podług wiadomości,
Którą dopiero co usłyszeliśmy,
Trzeba nam zmienić plany naszych działań.
Dytmar. Cóż myślisz, książę?
Bezbraim. Wojska, które mamy
Wspólnie pod swymi teraz rozkazami,
Trzeba rozdzielić. Ty z jedną ich częścią
Będziesz opędzał się Mieczysławowi,
Kiedy ja z drugą przedrę się do Polski
Tajnymi szlaki i odwrót mu przetnę.
Dytmar. Gotów to jestem zrobić, lecz na twoją
Odpowiedzialność.
Bezbraim. Więc nie traćmy czasu. (*Wychodzą*).

Zmiana. Inne pole.

SCENA 11.

(*Słychać trąby i wrzawę bitwy za sceną. Wchodzi Sygfryd z Towarzyszami; wszyscy ubrani bardzo nędznie, w rękach mają topory i maczugi*).

Sygfryd. Opuśćmy nasze kryjówki i nory,
My pozbawieni praw, mienia i dachu!
Nasza nienawiść może się pokazać
Na światło dzienne, gdy na wrogów naszych
Przyszły dnie klęski, nieszczęścia i trwogi!
I my, tak długo nędzni i samotni,
Znajdziem przyjaciół wreszcie i mścicieli!
Słyszycie!... szczęk się orężów rozlega
I zgrzyt toporów bijących o zbroje —
To król Mieczysław naciera na Niemców!
Boże! zwycięstwo daj jego mieczowi!
(*Przez scenę uciekają Żołnierze niemieccy*).
I Żołnierz. Lachy mordują!

2 Żołnierz. Uciekaj, kto żyje! (*Przechodzą*).
Sygfryd. O, niech jednego z was nie pozostanie,
Narzędzia katów moich i tyranów!
Idźmy naprzeciw zwycięskiego króla.
(*Wychodzi z Towarzyszami*).

SCENA 12.

Bezbraim i Dytmar (wchodzą z wydobytymi mieczami i zostają w głębi).

Dytmar. Haniebna klęska!... chyba samo piekło
Po stronie wrogów przeciw nam walczyło!
Bezbraim. Nie trać odwagi, nie wszystko stracone.
Twoja część poszła w rozsypkę, lecz moja
Nienaruszona. Uciekaj ze swymi
I Mieczysława za sobą pociągnij.
Ja z mymi zdołam się wymknąć bez straty.
(*Wychodzą*).

SCENA 13.

Wchodzi Masław prowadząc rannego Krystyna.

Masław. Pójdź, biedny chłopcze, tu będziesz mógł spocząć,
Od zgiełku bitwy zdala i bezpiecznie.
Krystyn. Dzięki ci składam, szlachetny człowieku!
Niezawsze można widzieć poświęcenie
Podobne twemu. Narażałeś życie,
Kiedyś się rzucał między mnie a Niemca,
Który już podniósł swą zabójczą dzidę,
By zwalonemu pod końskie kopyta
Ostatni zadać cios. Jeśli mi niebo
Życia pozwoli, nie zapomnę nigdy,
Ilem ci winien.
Masław. Daj już temu pokój:
Długie mówienie może ci zaszkodzić
Nadzwyczajnego nic nie uczyniłem.
Patrzę, że takie delikatne chłopię,

Od matki swojej pewnie wychuchane,
Na ziemi leży, we krwi się nurzając —
Ot, żal mi ciebie, chłopcze, się zrobiło
I na tem koniec. Cóż, jakże się czujesz?

Krystyn. Źle, mój obrońco. Siły mnie odchodzą,
I omdlewają wszystkie moje członki,
Niedługo już mi życia na tym świecie.
O, żal to wielki tak młodo umierać!...
Już nie zobaczę cię, nasz stary dworze,
Ni biednej matki, która się ze łzami
Ze mną żegnała, ni mych małych braci,
Których tak bardzo kochałem!.. Już nigdy
Ich nie zobaczę!

Masław. Chłopcze, przyjdź do siebie!
Nie róbże głupstwa, któż widział umierać
W dwudziestym roku? poczekaj, z tej strugi
Przyniosę wody, może cię orzeźwi.

(*Wychodzi i wraca za chwilę, niosąc wodę w swym hełmie, oblewa nią głowę Krystyna*).

A co, czy lepiej? przychodzisz do zmysłów?...

Krystyn. Próżny twój mozół — nie wydrzesz mię śmierci;
Czuję, jak dusza z ciała się wyrywa
Ku innym światom... Przyjmij ten medalik,
Dała go matka, ażeby mię bronił,
Weź na pamiątkę... idź do naszej chaty,
Powiedz, żem zginął...

Masław (*podtrzymując go*). Przestańże już, chłopcze,
Bo się rozpłaczę nad tobą jak baba.
Jeszcze zawcześnie tobie do mogiły,
Jeszcze upiję się na twem weselu.
A co, czy zgoda?... Próżne me pociechy,
Skończył już biedak!... Takie ładne chłopię,
Tak ustrojone jak gdyby do tańca,
I musi w ziemię iść na żer robakom...
Tfy! to rzecz głupia! — No, jeszcze ci oddam
Jednę posługę, i grób ci wykopię.
Tylko tej pięknej zbroi wielka szkoda...

A, masz na palcu pierścień szczerozłoty..
(*Zdejmuje mu pierścionek*).
Może w kieszeni i trochę grosiwa...
(*Wyjmuje mu z kieszeni pieniądze*).
To już dla ciebie niepotrzebne rzeczy.
Piękne dukaty, czyste jako panna,
Znać, że po rękach ludzkich nie chodziły!
Byłoby grzechem złoto, wydobyte
Z takim mozołem ze wnętrzności ziemi,
Napowrrót rzucać w przepaści grobowe.
Wojna zabiera, wojna i bogaci;
Nie zarzekajmy się niczego w świecie. —
Pójdź, mój biedaku, na wieczne mieszkanie.
(*Wynosi go za scenę*).

SCENA 14.

(*Wchodzą*) *Król. Stojgniew, Dobrówka* (*w zbroi, w głębi*) *Sygfryd z Towarzyszami. Żołnierze polscy. Jeńcy niemieccy.*

Król. Zwycięstwo przy nas, pierzchły Niemców roty
W puch rozsypane!
Dobrówka. Bogom za to dzięki!
Król. Na dziś już dosyć. Trzeba odpoczynku
Po krwawej pracy. Żołnierze, kraj pusty
Leży przed wami, niszczcie go i palcie,
Niech Niemcy drogo zaczepkę zapłacą!
Sygfryd (*zbliża się*).
Niszczcie i palcie, mordujcie dokoła —
Dobry to rozkaz! — słuchajcie go, Lachy!
Ja wam pomogę, powiem wam, gdzie skarby
Leżą zebrane, gdzie się skryli ludzie,
Przed wami życie z dobytkiem unosząc,
I w których sercach największa nienawiść
Przeciw wam gore! Mścijcie się na Niemcach!
Król. Co to za starzec? Z ubioru i mowy
Znać, że to Niemiec, a tak dziwnie mówi.

Sygfryd (*klęka przed nim*).
Zwycięski królu, łaski twojej żebrze
Sygfryd, jedyny prawy dziedzic rodu
Margrabiów wschodnich. Lat już siedemdziesiąt
I pięć przygniotło mą głowę do ziemi,
A więcej jeszcze ciężkie me cierpienia.
Gdym silnym, świeżym był jeszcze młodzieńcem,
Mój ojciec, mowom wierząc swego brata,
Który kłamliwie przed nim mię oskarżał
O brak wdzięczności i uszanowania
I o zdradzieckie, występne zamiary,
Jakiem miał niby knować przeciw ojcu,
Mnie, jedynego swojego następcę,
Postrzygł na mnicha i zamknął w klasztorze,
A po swej śmierci przekazał margrabstwo
Zdrajcy stryjowi i jego potomkom.
O, com wycierpiał, żądny głośnych czynów
I chwały, która mieczem się zdobywa,
Gdym w ciasnych murach klasztoru dnie swojej
Niepowróconej utracał młodości,
Jak rósł i wzmagał się we mnie duch zemsty
Przeciwko wszystkim, którzy jakbądźkolwiek
Do moich nieszczęść przyłożyli rękę!
Każda modlitwa ma była bluźnierstwem,
Każde westchnienie nowym tylko grzechem,
Bo ciągle w sercu wrzały myśli wojny
Z niesprawiedliwym i Bogiem i światem,
Chociaż różaniec usta bełkotały...
Nareszcie ojciec umarł. Na wieść pierwszą
O tem zdarzeniu, uciekłem z klasztoru,
Ale margrabstwo moje już się w ręce
Dostało stryja, i cesarz go uznał
Na tej godności, mimo mych protestów,
Mimo praw moich niczem niezwalonych.
Do dawnych krzywd mych dodano znów świeże....
Przez lat dwadzieścia znosiłem męczarnie
Klasztornych murów, a odtąd trzydzieści
Już lat minęło, gdy jestem tułaczem,

Nędznym wygnańcem, skazanym przez prawo
Na śmierć i hańbę, ratującym życie
I później zemsty nadzieję tem tylko,
Żem za mieszkanie obrał legowiska,
Któremi wzgardził leśny zwierz dla lepszych...
Wreszciem usłyszał o twojem nadejściu,
Że niesiesz wojnę Niemcom, cesarzowi
I temu, co już w drugiem pokoleniu
Margrabstwem mojem nieprawnie zawładnął.
Stara pierś moja znów się odświeżyła
Pragnieniem zemsty: »To będzie mój mściciel!«
Rzekłem do siebie i wyszedłem z nory,
Która dotychczas była mem schronieniem,
Wraz z tymi ludźmi, którzy, jak ja równie,
Z różnych powodów mają żal do świata
I jego władzcom nienawiść przysięgli.

Dobrówka. Smutna twa powieść, nieszczęśliwy starcze!

Król. Jest to rzecz straszna, runąć z władzy szczytu,
By się pod nogi dostać nieprzyjaciół,
A ile razy ludziom się to zdarzy,
Pęka w nich serce z nadmiaru cierpienia.

Sygfryd. Pomścij mię, królu, i pod swą chorągwią
Pozwól mi wywrzeć na nieprzyjaciołach
Całą nienawiść cierpień półwiekowych!
Wraz z tobą iść chcę na niemieckie szyki,
Mordować ludzi, postoszyć ich kraje,
Palić domostwa, wszelkich krzywd krociami
Całego życia męki ułagodzić,
Choć raz być strasznym dla tych, którzy zawsze
Mnie jak nędznego robaka deptali!

Król. Zadość się stanie twojemu życzeniu,
Wraz z tymi ludźmi masz miejsce w mem wojsku.
Ten, co jest pierwszą twoich krzywd przyczyną,
Margrabia Dytmar, pierzchnął dziś przed nami;
Pójdziemy razem w pogoń za tym zbiegiem.
Dajcie tym ludziom przystojne ubranie
I broń i zbroje.

Sygfryd. Nic umrę bez zemsty,
Dzięki ci, Boże! (*Wychodzi ze swymi Towarzyszami, za nimi razem i kilku Żołnierzy polskich. Słychać głos rogów*).

Król. Co to?

Stojgniew. To książę Lutyków powraca
Ze swej wycieczki.

Król. Dzielny sprzymierzeniec,
Nowe mi łupy pewnie w obóz znosi.

SCENA 15.

Król. Dobrówka. Stojgniew. Żołnierze polscy. (*Wchodzą*) *Książę Lutycki, jego Żołnierze, Jeńcy niemieccy, pomiędzy którymi Biskup Luizon.*

Książę lutycki. Witaj mi, królu! Dziesięć mil wokoło
Niemcy swej własnej nie poznają ziemi,
Nie został na niej kamień na kamieniu
I na nasienie nic w niej nie zostało.

Król. Chwała ci, książę! Widzę mnogość jeńców
I łupów mnóstwo — połów był obfity.
Co to za człowiek, z tem dumnem obliczem,
Co patrzy we mnie?

Książę lutycki. To biskup Luizon,
Zuchwały starzec; kazałem go spętać,
Aby poskromić trochę jego butę,
Z jaką odgrażał się nam pomstą niebios
I z jaką jeńców do oporu skłaniał.
On to, na murach stojąc swego miasta
Z Chrystusem w ręku i słabnące męstwo
Grzejąc obrońców, ostatni ustąpił,
I pośród stosów trupów mocą wzięty,
Poddać się nie chciał.

Król. Dzielny, dzielny starzec!
Szkoda, że Niemiec!

Biskup Luizon (*zbliża się do Króla*).
A więc to ty jesteś,
Jak po tej złotej na hełmie koronie

Poznaję, który przywiodłeś te hordy
Na chrześcijańskie kraje... Barbarzyńco!
Na urąganie Bogu się mieniący
Chrześcijaninem!... Tak Chrystus ci kazał!
We krwi niewinnej brodzić, domy Boże
Niszczyć pożogą, plugawić brutalstwem
Twoich żołdaków, kapłanów za włosy
Od krwi i ciała Pańskiego odrywać!?...
Czyli ty myślisz w swojej ludzkiej pysze,
Że Bóg bezkarnie przepuści te zbrodnie?
Czy nie przeczuwasz, jak nad twoją głową
Miecz pomsty pańscy spuszczają anieli?...
Drżyj, w prochu ukorz się, ty poganinie,
Przywdziej na siebie suknię pokutniczą,
Idź na pustynię i wypłacz ze żalu
Wnętrzności z siebie, bo inaczej piekło
Porwie twą duszę, jako swoją zdobycz!

Król. Ściągnąć mu dyby!

Biskup Luizon. Ha! dasz mię pod topór,
Albo mnie mieczem poćwiertować każesz!...
Morduj to nędzne ciało, nie zachwiejesz
Ducha stałości. I w godzinie mąk mych
Będę jak teraz, wołał całym głosem:
Przekleństwo tobie, nędzny poganinie,
Morderco ludzi, a bluźnierco Boga!
Giń, jako zginął egipski Faraon,
Jak Moabitów wódz, jak zginął Natan
Z towarzyszami we wnętrznościach ziemi,
I wszyscy, którzy nękali lud Boży!...
Niech gromy niebios padną na twą głowę,
Niechaj zaraza członki twoje spali,
Niech trąd Jobowy twe ciało osiędzie,
Ty wrogu Boga, kościoła i chrześcijan!...

Książę Iutycki. Królu, czy zniesiesz?

Król. Puścić tego starca!
Idź, jesteś wolny....

Biskup Luizon. Ta twoja szlachetność
Mnie nie rozbroi. Czemże w porównaniu

Tego, co dla mnie jedynego czynisz,
Są te nieszczęścia, któreś wszystkim zadał?
Szydzę ja z twojej wspaniałomyślności
I milszą dla mnie byłaby twa srogość.
Jeśli odejdę z przed twego oblicza,
To poto, aby wprost iść przed ołtarze
I na kolanach błagać o najcięższą
Karę i pomstę za twoje występki,
I będę ciebie na wieki przeklinał,
Dopóki tylko tchu mi w piersiach stanie!

Król. Przebaczam boleść, która jest przyczyną
Twych wrogich uczuć. Ale to nie ludzie,
Lecz wojna winna. Idź, jak powiedziałem.
(*Biskup Luizon wychodzi*).

Żołnierz (*wchodzi*). Królu, posłaniec przybył z Budyszyna.

Król. Od moich wiernych Budyszan, co tyle
Oznak wierności dali mej koronie
I tyle dla mnie cierpieć teraz muszą,
Gdy cesarz wojskiem opasał ich mury
I gród ten wierny wyrwać mi przedsięwziął.
Niech przyjdzie tutaj. (*Żołnierz wychodzi*).
Stojgniewie, na pomoc
Temu grodowi iść nam trzeba prędko
I od ucisku wrogów go wybawić.

SCENA 16.

Król. Dobrówka. Stojgniew. Książę lutycki. Żołnierze (*wchodzi*) *Posłaniec z Budyszyna.*

Posłaniec. Królu, Budyszyn hołd przeze mnie składa
I pozdrowienie swojemu monarsze.

Król. Bóg zapłać za to! cześć temu grodowi,
Co nie utracił przy tylu nieszczęściach
Ani odwagi, ni wierności dla mnie.

Posłaniec. Budyszyn dzisiaj z dumą wznosi głowę
I już o wszystkich swych klęskach zapomniał.

Król. Jakto, co mówisz?...

Posłaniec. Budyszyn już wolny,
I z tą mię wieścią przysyła od siebie.
Cesarz, napróżno wszelkich używając
Środków zdobycia, musiał zwątpić wreszcie,
By naszą stałość i męstwo zwyciężył,
Gdy woleliśmy wszystkie klęski wojny,
Głód, śmierć i rany i choroby znosić
Niźli otworzyć jemu bramy miasta.
Tak, nie wskórawszy nic długim mozołem,
Z hańbą i stratą do Saksonii wrócił.

Król. Cześć tobie, grodzie, coś okrył niesławą
Tego, co przywykł takie jak ty miasta
Zamachem pięści po drodze zdobywać! —
Połowa Niemiec stoi nam otworem,
Wolno nam teraz po nich gospodarzyć
Podług swej woli, a wszystkie ich skarby,
Cały dobytek, owoc długiej pracy,
Czekają tylko na rękę zwycięzcy!
Pójdziem za Elbę i Salę, Lechici!

Stojgniew. Królu, gdy wolno objawić swe zdanie,
Jabym inaczej radził. To korzyści
Nam nie przyniesie, gdy pójdziem w głąb Niemiec
Ogołoconych i z wojska i z ludzi,
Gdy bliżej siebie mamy jeszcze wrogów,
Których pokonać wprzódy nam potrzeba.

Król. Gdzież ci wrogowie? Wojsko Dytmarowe
Poszło w rozsypkę, cesarskie zemknęło
Aż do Saksonii....

Stojgniew. Bezbraim jest jeszcze,
I jak mi szpiegi moje powiedziały,
Znaczną część wojska zdołał uratować.

Król. Dość jemu sławy, kiedy głód go zniszczy,
Gdy mu żołnierze z pod znaków uciekną,
Nadaremnymi zniechęceni trudy.
Po tych dwóch klęskach, jakie już ponieśli,
Bezbraim niewart, abym miecz nań podniósł.
A ty, co myślisz, zacny sprzymierzeńcze?

Książę lutycki. Ja całkiem zdanie królewskie podzielam;
Za Elbę idźmy — tam żniwo gotowe;
Tu się Bezbraim sam zgubi w tych bagnach.
Król. A więc tak będzie! Rozbijmy namioty
I dzień dzisiejszy poświęćmy zwycięstwu
I spoczynkowi. Pierwszy kielich wina
Musimy spełnić na cześć Budyszyna!

AKT TRZECI.

Pole.

SCENA 1.

Wchodzą: Król. Stojgniew. Ks. lutycki. Dobrówka. Mojmir Orszak królewski.

Król. Ciebie, Stojgniewie, z wojskiem tu zostawię,
Gdy ci się uda, schwytaj Bezbraima.
Sam wziąwszy poczet nieliczny lecz dzielny,
Którym dowodzi Mojmir wojewoda,
Wrócę do kraju. Dosyć już tej wojny,
Dzieło skończone! Cesarz zwyciężony
I ukarany za zuchwałą napaść
Klęskami państwa swojego połowy.
Wrócimy z chwałą i plonem obfitym.
Dobrówka. Dzięki wam, dobre, światowładne bogi,
Żeście nieszczęście od nas oddaliły
I pozwalacie wracać do ojczyzny.
O, jakże słodko ujrzeć pól zieloność
I ich spokojnych i cichych mieszkańców,
Do których serce nasze tak tęskniło
Wśród krwawych trudów i bojowej wrzawy!
Dalej do Polski, gdzie czekają na nas

Dusze spragnione i błogie zacisza
Domowych ognisk!

Król. Wierną towarzyszką
Byłaś mi, luba, wśród wojennych znojów;
To poświęcenie podwójną miłością
Nagrodzę tobie w chwilach odpoczynku.
I tobie dzięki, dzielny sprzymierzeńcze,
Twój oręż pomógł niemało do zwycięstw
I ukarania naszych nieprzyjaciół.

Ks. lutycki. Drogi więc nasze odtąd się rozchodzą;
Ty idziesz w swoją, a ja w swoją stronę,
Lecz serca nasze, złączone w dniach próby,
Zostaną razem, choć będą zdaleka.

Król. Bądź zdrów, Stojgniewie. Uprzedzę cię w kraju,
By zapowiedzieć prędkie twe przybycie
Z nowym tryumfem.

Stojgniew (*całując go w rękę*). Żegnaj mi, mój królu!

Król. Co widzę, stary?... łza ci w oku błyska?...
Poco ten smutek?.. wszak się niezadługo
Znów zobaczymy....

Stojgniew. Któż może być pewny,
Że tych oglądać będzie, których żegna?
Daj mi raz jeszcze rękę ucałować,
Może to będzie już i raz ostatni...

Król. Wstydź się — w żołnierzu grzechem taka żałość!

Stojgniew. Choć żołnierz życia nie żałuje, miewa
Nieraz przeczucie niedalekiej śmierci.
Kto w nią tak często, oko w oko patrzył,
Ten zna ją dobrze i ciche jej kroki
Posłyszy lepiej, niż inny śmiertelnik.
Pozwól więc, bym się pożegnał dziś z tobą,
Jakbym już więcej nie miał cię zobaczyć.
Lat mych już dosyć, i dosyć już pracy,
I na spoczynek dobrzem już zasłużył...
O, nie na darmo parskał dziś mój rumak
I nie na darmo ziemię bił kopytem,
W stronę rodzinną ciągle kark zawracał,
Jakby się żegnał z tymi, co tam żyją!.

O! byle tylko ten koniec mię spotkał
Na polu bitwy, śród szczęku oręża,
A nie chorobą rzuconego w łoże —
Takiego końca nie dopuść mi, Boże!

Król. Da Bóg, przeczucia te będą fałszywe;
Jeszcze w stolicy siądziesz przy mym boku
W królewskiej radzie. Więc nie mówię: żegnaj!
Lecz: do widzenia!

Stojgniew. I tu jak tam równie
Będę ci służył stale aż do śmierci.
Żegnaj mi, królu. Zachowaj w pamięci
Wspomnienie moich zasług i wierności,
A mego życia trudy się opłacą.

(Wychodzą wszyscy).

Zmiana. Pole. Zdaleka widać nadgraniczną twierdzę polską, bliżej kilka baszt i mury.

SCENA 2.

Zbysław i dwóch Żołnierzy (stoją na murach).

Zbysław. Widzę z daleka kurzawę na drodze,
Która zwiastuje przyjście zbrojnych ludzi;
Tylko on, nikt to inny być nie może.
Hej, wszystkie bramy dobrze pozamykać
I na ulicach przeciągnąć łańcuchy,
Jakby się zbliżał do nas nieprzyjaciel!
Czujność i baczność jak największa wszędzie!

(Schodzi z muru za scenę. Żołnierze zostają).

SCENA 3.

(Wchodzą) Król. Dobrówka. Mojmir. Masław. Orszak królewski i Żołnierze.

Król *(z chorągwią w ręku)*,
Niech zabrzmią trąby na znak, że powraca
Do swojej ziemi z wojny król zwycięski!

(Trąby się odzywają).

Witaj mi ziemio, witaj matko moja,
Najukochańsza ze wszystkich na świecie!

Witam cię dzisiaj jako twój obrońca,
Jako twój mściciel, który nie pozwolił
Zakłócić domów twoich spokojności,
Ani twych łanów zielonych krwią zwalać,
I od twych progów wojnę precz odepchnął.
Witaj mi grodzie, pierwszy na mej ziemi,
Strażnico, granic naszych pilnująca! —
Cóż to? nikt z miasta przeciw nam nie idzie,
Chlebem i solą nikt nas nie przyjmuje?

Dobrówka. Gród ten zamknięty, jakby bał się najścia
Nieprzyjaciela.

Król. Podejdźcie pod bramy,
Niech je otworzą.
(*Masław i jeden z orszaku królewskiego wychodzą*).
Ostrożny jest Zbysław
I na wszelaki wypadek gotowy;
Choć wróg daleko, ma się na baczności.
(*Wysłani przez Króla wracają*).

Masław. Bardzo niegrzeczni mieszkają tu ludzie,
Bramy zamknięte, że ani ich ruszyć,
A na wymowne nasze przedstawienia
Straż była martwa jak głazy.

Król. Co mówisz?
Może nie wiedzą, kto do nich przybywa,
Idź, powtórz rozkaz, powiedz, że król każe.

Masław (*do swego towarzysza*).
Idź sam, mój bracie, bardzo się zmęczyłem,
Raz już przynosząc tę ważną wiadomość.
(*d. s.*) Dwa razy po nic nie przywykłem chodzić.
(*Jeden z orszaku wychodzi*).

Dobrówka. Nie trwóż się, królu, to tylko pomyłka,
Lub niewiadomość może być przyczyną.
(*Wysłany wraca*).

Król. I cóż?...

Rycerz. Odpowiedź dano mi zuchwałą,
Że nie otworzą bram twierdzy przed nikim,
Bez wyraźnego dowódzcy rozkazu.

Król. Nawet przede mną?.... Ha, co to ma znaczyć?
Któż tu jest starszym ode mnie dowódzcą?....
(*Idzie do jednej z bram i wydobywszy miecz, uderza w nią kilka razy*).
Otworzyć! nuże, otworzyć! Jeżeli
Jesteście w błędzie, kto ten rozkaz wydał,
Niechaj głos króla będzie wam dowodem.
Jeśli zaś niecny bunt podnieść myślicie,
Żem waszym królem, ten miecz was przekona!

SCENA 4.

Król. Dobrówka. Mojmir. Masław. Orszak. Żołnierze i Zbysław.

Zbysław (*ukazuje się na murze*).
Kto tak zuchwale uderza w tę bramę,
Kto głosem śmiałka rozkazy wydaje?
Król. Czyżbyś nie poznać miał mojej osoby?...
Otwieraj, Zbysław! — to ja, twój król wołam.
Zbysław. Wróć, nierozsądny, skąd do nas przybyłeś!
Tu panowanie twoje się skończyło.
To miasto bram ci swoich nie otworzy,
Równie jak wszystkie pograniczne twierdze,
Które już więcej królem nie uznają
Praw gwałciciela i uzurpatora,
Co się nazywał królem Mieczysławem.
Król. Nędzny, odpowiesz za te słowa głową!
Zbysław. Odpowiem, ale przed tym, który królem
Jest mym i panem odtąd tego grodu,
Przed tym, którego sztandar tu powiewa,
Na znak, że on tu ma prawo rozkazów.
Król (*patrząc na sztandar*).
Ha, Bezbrainna sztandar!... Podli zdrajcy!
Wraz z nim dosięgnie was mój gniew królewski.
Dobrówka. Nikczemni słudzy i niewdzięczny kraju,
Tak przyjmujecie pana, który walczył
I w krwawym pocie pracował dla waszej
Czci i całości? On swą pierś nadstawiał,

Aby uchronić was od mieczów wroga,
A wy strudzonej głowy mu nie dacie
Pod własnym dachem na spoczynek złożyć!
Przekleństwo, hańba wam wieczna, wy zdrajcy!

Zbysław. Przestań, kto jesteś, próżno wiatr rozbijać
Marnemi słowy. Co rzekłem, to spełnię,
A gdy przemocą chcecie gród dobywać,
Mam ludzi dosyć na odparcie gwałtu.
Więc raczej dobrej posłuchajcie rady:
Idźcie w spokoju, a ujdziecie szkody.
Dość już mówiłem. Bezbraim niech żyje!
(*Schodzi z murów*).

SCENA 5.

Król. Dobrówka. Mojmir. Masław. Orszak. Żołnierze.

Król. Tak mi urągać śmie w mej obecności!...
Dalej, żołnierze, pomścijcie mą hańbę,
Zburzcie to miasto, a zdrajcę Zbysława
Tam na najwyższej powieście gałęzi!

Mojmir (*stając na czele Żołnierzy*).
Gdy naród królem uznał już innego,
Nam nie przystoi łamać jego woli.
Odtąd Bezbraim tylko naszym panem,
Jemuśmy tylko winni posłuszeństwo
I twych rozkazów spełniać nie możemy.

Król. I tyś buntownik!... O wszechmocny Boże!
Samiż mię tylko otaczają zdrajcy,
I ani jeden tutaj się nie znajdzie,
Coby uderzył w pierś tego nędznika!

Mojmir. Dość niech ci będzie, książę Mieczysławie,
Że sam uchodzisz cało z swoją duszą,
Bo gdybym zechciał, mógłbyś ją utracić,
Razem z koroną. Hej, moi żołnierze,
Za mną do Polski, stanąć pod chorągwią
Prawego króla. Za mną, moje dzieci!
(*Żołnierze szykują się, rozwijają sztandary i wychodzą z Mojmirem.*)

SCENA 6.

Król. Dobrówka. Masław. Orszak.

Dobrówka. O los okropny, o niewdzięczność czarna!
Wartoż dla ludzi być ludzkim i dobrym?
Tyranów tylko szanować umieją!

Król. O, nie ominie was okropna kara!
Kilku mię zdrajców nie pozbawi tronu,
Na który wszedłem prawem i zasługą!...
Wierny Stojgniewie, czemuś tak daleko,
Dlaczego tutaj niema cię w tej chwili?
Na zemstę moją, nie czekałbym długo!...
Wy mury, które dałyście przytułek
Tak podłej zdradzie, wiedzcie, że odchodzę
Ze wstydem od was — mówię wam to głośno,
Byście te słowa sobie przypomniały
Kiedyś, gdy wrócę wstyd dzisiejszy zmazać
Waszą ruiną i śmiercią tych zdrajców!...
Precz od nas smutek! — pójdź ze mną, Dobrówko,
I wy co jeszcze wierni mi jesteście!
Z wojskiem Stojgniewa złączymy się wkrótce
I z mieczem wrócim tu sprawiedliwości!

Jeden z orszaku (*zbliża się*).
Królu, czy widzisz na tej drodze z góry
Pył się unosi...

Masław. Tak, dobrze powiada,
Zbliża się do nas coś nakształt nadziei,
Jakiś pył, tuman —

Król (*patrząc*).
Gdzie?..

Jeden z orszaku. Ot, w tej tam stronie.

Król. Tak, widzę. Kupa jakichś zbrojnych ludzi
Konno i pieszo.

Dobrówka. Może Stojgniew idzie...
Bogi zesłałyby nam go w potrzebie!

Masław. Dobre masz oko, dzielna koleżanko,
Pierwsza ze wszystkich poznałaś tych ludzi.
Lecz niewygodną musieli mieć podróż,
Bo idą w kupie, jakby owiec trzoda,
I w nieporządku.

Król. Niektórzy bez broni;
Widzę i rannych i chorych w ich liczbie.
Stanęli. Bracia, to my, przyjaciele!

Dobrówka. Znów idą dalej i ku nam zmierzają.

SCENA 7.

Król. Dobrówka. Masław. Orszak. Wchodzą: Żołnierze Stojgniewa (w głębi) Sygfryd, (którego na noszach przynoszą na scenę).

Jeden z żołnierzy (*zbliża się i klęka*).
Królu i panie, jedyne to szczęście
Dla nas, że ciebie jeszcze oglądamy...

Król. Powstań. Gdzie Stojgniew?... czy za wami z woj-
Nadciąga? (skiem

Żołnierz. Królu z wszystkich twoich pułków
Może ta tylko pozostała garstka —
Stojgniew nie żyje.

Król. Przeklęty, co mówisz!...

Żołnierz. Zdradą Bezbraim otoczył nas wkoło,
Napadł znienacka — przegraliśmy bitwę
I Stojgniew poległ. Kto gdzie mógł, uciekał,
My dotarliśmy szczęśliwie do kraju,
Nędzne rozbitki...

Król. O losie zawistny,
Jakaż potęga spoczywa w twej dłoni,
Że w jednej chwili możesz, jak źdźbło złamać
Nawet olbrzyma!... Stojgniew mój zabity —
Wojsko stracone — a tu bunt po twierdzach,
Spisek pomiędzy moimi wodzami...
Czyż do ratunku co mi pozostało?..
Jestem zgubiony!

Sygfryd (*do Żołnierzy*).
Zanieście mnie bliżej
Do króla — chcę go widzieć, zanim umrę...
(*Przynoszą go do Króla*).
Król. Kto to?
Żołnierz. To stary Sygfryd jest margrabia.
Król. Jesteś, jak widzę, ranny..
Sygfryd. Blizki śmierci.
Dobry mój królu, podajże mi rękę,
Niech podziękuję za twe dobrodziejstwo...
Co mogłeś, wszystko dla mnie uczyniłeś,
Lecz los opuścił w końcu mnie i ciebie.
Z twoją wielkością zgasła ma nadzieja...
Tyś uległ zdradzie, ja umieram nędznie,
Z nienasyconem mej zemsty pragnieniem:
Margrabią Dytmar jak był tak i będzie...
Dziwnie się wszystko dzieje na tym świecie:
Ulubieńcami szczęścia to są łotry.
Rad jestem, że już dłużej na te sprawy
Patrzeć nie będę... Bywaj zdrów, mój królu!
Dobrówka. Skonał nieszczęsny!
Król. Wynieście to ciało
Tułacza, w obcej pogrzebcie je ziemi.
Masław. No, towarzysze, żwawo do roboty!
Jeśliby dla was był zanadto ciężki,
To radźcie sobie, jak będziecie mogli,
Bo ja wam pewnie w tem nie dopomogę.
Ale nie myślę, ażeby tak było,
Bo go już troski i znoje tak zjadły,
Ze dla robaków niewiele zostało.
(*Żołnierze wynoszą Sygfryda*).

SCENA 8.

Król. Dobrówka. Masław. Orszak.

Król. Jakże zazdroszczę ci twojego losu,
Biedny Sygfrydzie! Czemuż mnie jak ciebie,
Niemiecka strzała lub miecz nie ugodził,

Gdym żył w złudzeniu całej mej wielkości?
Kościby moje złożono w tej ziemi,
W której brzask słońca pierwszy raz ujrzałem —
I byłbym umarł jak król, nie doczekał
Takiej boleści i hańby!... O, los mój
Najnędzniejszego niewart jest żebraka!
Żebrak ma jeszcze norę, którą zowie
Swoją własnością, z ktorej nie ma prawa
Nikt go wyganiać — żebrak jest żebrakiem —
Ja król nie jestem królem — zwę się panem,
A nie mam władzy — władzcą, lecz bez kraju
I bez poddanych... Nie królem, lecz niczem
Teraz już jestem! (*Do orszaku*)
I wy, coście wierni
Mnie do ostatniej zostali godziny,
Idźcie ode mnie razem za innymi,
Dość mam już waszej stałości dowodów;
W nagrodę nie chcę wam dawać nieszczęścia
I w przepaść nędzy za sobą was wciągać.

Jeden z orszaku. O królu, pozwól...

Król. Nie!... nędzny wygnaniec,
Tułacz bez ziemi, dolę mą poniosę
W świat, na igrzysko ludziom i narodom;
Lecz wy możecie wrócić do swych zagród,
Do swoich dzieci, do swych żon i matek —
Mnie już nie czeka tam nic... żadne serce
Na me przybycie z tęsknoty nie bije,
Nikt tam objęcia mych ramion nie pragnie,
Tamby mię tylko powitały zdrada,
Nieprzyjaźń, hańba!... Idźcie, powracajcie
Do swej ojczyzny — tylko jam ją stracił.

Masław. Tak, bracia, niema co dłużej rozprawiać,
Wszak to król mówi, a kiedy król mówi
To jakby kazał. Bo król wie co robi;
Ciężkie na niego teraz przyszły czasy,
A jeśli głodny będzie sam, to byłby
Jeszcze głodniejszy, gdybyśmy tak wszyscy

Go objadali! — Z płaczem cię żegnamy
I z bólem, królu — ale trudna rada!
(*Masław i inni żegnają się z Królem i odchodzą*).

Dobrówka. (*biorąc Króla za rękę*).
Pójdź, biedny królu! Dziś kocham cię więcej,
Niż kiedykolwiek, bo dziś jam powinna
Zastąpić tobie państwo i ojczyznę,
Wielkość i chwałę — za wszystkie swe straty
We mnie masz jednej choć pociechę jednę.

Król. Prowadź mię. Chociaż dłoń niewieścia słaba,
Słabszym zaiste król zepchnięty z tronu!
O hańbo, hańbo! Dlaczegożem dożył
Dnia dzisiejszego? Jakież widowisko
Bóg ze mnie światu postanowił zrobić!
(*Wychodzą w drugą stronę*).

Zmiana. Gniezno. Sala w pałacu królewskim. Tron.

SCENA 9.

Bezbraim (*wchodzi z bocznych drzwi, w szkarłatnym płaszczu; w ręku niesie koronę. Za nim*) *Marszałek pałacowy i dwóch Halabarników,* (*którzy stają przy drzwiach głównych*).

Bezbraim. Więc ta korona, którą niegdyś przywdział
Z praw pogwałceniem nędzny uzurpator,
Dzisiaj wróciła do prawego pana
I do mych rąk się nareszcie dostała.
Bóg słusznej sprawie udzielił pomocy
I w biegu zwycięstw wstrzymał bezbożnika,
Motając wszystkie jego dumne plany
I niespodzianie, jakby grom piorunu,
Rzucił swój wyrok między jego losy.
Ja tej korony nie włożę na głowę —
Nie będę jego grzechów naśladował,
Póki znamienia tego królewskiego
Dłoń nie poświęci wyższa i mnie prawa
Nie nada, abym przywdział je na skronie.
(*Kładzie na stole koronę*).

Spoczywaj tutaj, aż stanę się godnym
Jak chrześcijański monarcha cię nosić...
Przez dumę upadł mój niecny poprzednik;
Z tego ja sobie brać winienem przykład.
Cóż mu pomogła ta, na którą liczył,
Miłość narodu? Nie byłoż szaleństwem,
Na przywiązaniu poddanych pokładać
Fundament tronu?.. Lud zmienny jak fala,
Za łaską goni w tę lub w ową stronę —
I dosyć było kilku nędznych zdrajców,
Aby królewski statek, który puścił
Na pełne morze, osiadł na mieliznie
I jak na puszczy ujrzał się samotnym.
Inne są władzy monarszej filary,
A kto bezpiecznie chce swym ludem rządzić,
Nie w nim, lecz indziej niech szuka przyjaciół.
(*Siada na tronie, do Marszałka*)
Otwórz podwoje. (*Marszałek otwiera drzwi w głębi*).

SCENA 10.

Bezbraim. Marszałek. Halabardnicy. (*Wchodzą*) *Zbysław. Mojmir. Hudo. Arcybiskup Hipolit. Niemsta i wielu innych Panów i Rycerzy.* (*Później*) *Ryksa z dwoma Paziami.*

Bezbraim. Witam was, panowie,
Po raz dziś pierwszy z tego tutaj miejsca,
Na które łaska Boga mię wyniosła
I szlachetnego cesarza przychylność.
Krótko wstrzymany porządek natury
Powrócił znowu w zwyczajną swą kolej.

Zbysław. Żyj długo, królu!

Inni. Niech żyje Bezbraim!

Bezbraim. Dzięki wam składam serdeczne, panowie.
Dziś was wezwałem...
(*Królowa Ryksa wchodzi; przy drzwiach zajętych przez obecnych, którzy ustępują Ryksie i szepczą: »Królowa, królowa!« robi się zgiełk*). Cóż tam za szmer słychać?

Marszałek (*występując*). Królowa Ryksa, miłościwy panie...
Ryksa (*zbliża się, za nią dwóch Paziów, z których jeden niesie na poduszce koronę królowej mniejszą*).
Przychodzę tutaj w chwili uroczystej,
Bo to, co spełnić sobie przedsięwzięłam,
Jest aktem równie ważnym, który winien
Odbyć się jawnie w obliczu narodu.
Przeszłego króla jestem ja małżonką,
Dziś niby wdową, bo chociaż on żyje,
Tem czem był niegdyś, dzisiaj już być przestał —
A być bez tronu, śmiercią jest dla króla.
Uznaję ciebie, panie, dziś monarchą,
Bo taka była w tem wola cesarza,
Którą szanuję, jako chrześcijańska
Księżna.

Bezbraim. Cześć tobie zacna, mądra pani,
Co z poświęceniem swej miłości własnej
Wyższemu prawu poddajesz swą wolę.

Ryksa. W ręce więc twoje, jako należącą
Dziś już do ciebie, wracam tę koronę,
Która zdobiła niegdyś moją głowę,
A dziś już może przyozdobić inną.
Złóżcie ją tutaj, niech z tą drugą w parze
Odtąd jej losy jednakowe dzieli.
(*Bierze koronę z poduszki i kładzie ją na stole, obok korony króla*).
Ale gdy nie da się zmazać w pamięci
Ni innych ludzi, ani mojej własnej,
Żem była niegdyś najpierwszą w tej ziemi,
Ustąpić muszę z tych miejsc, gdziebym teraz
Przed nowem słońcem przygasnąć musiała,
I z tem co do mnie bezsprzecznie należy,
Z mym synem, państwo twe dzisiaj opuszczam.

Bezbraim. O nie czyń tego! Choć już nie na tronie,
Możesz być pewną tutaj czci wszelakiej,
Jaka należy się cesarskiej córce.
Nie odchodź od nas, aby świat nie myślał,

Że od niewdzięcznych i nędznych uciekasz,
Gdy nasze serca pełne są miłości,
Uszanowania pełne są dla ciebie;
Pozostań matką narodu, jak byłaś —
To tytuł równie chlubny, jak królowej.

Ryksa. Nie. Kiedy gwiazda ma swój blask utracić
I gdy na niebie świecić już nie może,
To leci w przepaść, gdzie jej nikt nie widzi.
I dla mnie teraz jedynem schronieniem
Od zgiełku świata dalekie zacisze,
I od tych krajów dalekie, gdzie nic mi
Mojej przeszłości wspominać nie będzie,
Gdzie ludzie we mnie poznawać nie będą
Tej, która była, a nie jest królową.
(*Wychodzi z Paziami*).

SCENA 11.

Bezbraim. Panowie. Marszałek. Halabardnicy.

Bezbraim (*d. s.*) Dumna niewiasta! Jednak los mi sprzyja,
Gdy nawet tego natrętnego świadka
Z widowni przeszłych i przyszłych mych czynów
Usłużną ręką usuwa (*Głośno*). Lecz wróćmy
Do właściwego celu zgromadzenia,
Od którego nas przybycie tej pani
Na krótką chwilę odwiodło. Więc mówię,
Że was wezwałem, aby wam oznajmić,
Jaką rzecz ważną zamyślam. Gdym zajął
Tron swoich przodków, pierwszy obowiązek
Ten na mnie cięży, abym cesarzowi
Złożył hołd winny i jego zapytał,
Czyli się zgadza, bym włożył na głowę
Ten znak najwyższy królewskiej godności.
Taki to bowiem święty jest obyczaj
W rodzinie wszystkich chrześcijańskich mocarstw;
Tak był otrzymał w tym grodzie mój ojciec
Koronę z ręki cesarza Ottona,
Tak czynią wszyscy sąsiedni królowie,

Tak samo czeski, jak i król węgierski;
Tego więc prawa łamać się nie godzi.
Dlatego, zanim tę koronę wezmę
Na swoje skronie, wprzód ją cesarzowi
Do Niemiec poślę. Z tem ważnem poselstwem
Pragnę wyprawić ciebie, mój Zbysławie,
Wespół z Mojmirem i śmiem to uważać
Za dowód łaski mojej dla was obu.
(*d. s.*) Obaj mi nazbyt groźni się zdajecie,
Dlatego pragnę, byście czyn spełnili,
Który wam może zaszkodzić w narodzie.

Zbysław. Dałem ci, królu, nieraz już dowody
Swojej wierności i chęci w spełnianiu
Twoich rozkazów, i dla twej osoby
Życie i mienie moje narażałem,
Nie patrząc, jaki będzie zdarzeń koniec.
Lecz zamiast z tem mię wyprawiać poselstwem,
Każ raczej iść mi tej chwili w bój nowy,
Wyślij mię przeciw swym nieprzyjaciołom,
Każ mi dla siebie zdobyć nowe kraje —
Pojdę i wahać się pewnie nie będę.

Mojmir. Jesteśmy obaj rycerskimi ludźmi,
Dobrzy do miecza, konia i obozu,
Lecz tam gdzie trzeba światła i wymowy,
Gdzie trzeba stanąć przed najpierwszym dworem,
Który się szczyci uczonymi ludźmi,
Na nic się nasza nie przyda osoba.
Dlatego, królu...

Bezbraim (d. s.) Niezręczna wymówka!
Boją się stracić mir między swoimi —
Będę pamiętał wam to, szczwane lisy!
(*Głośno*). Smuci mię bardzo, że widzicie przy-
[krość
W tem, com za łaskę i zaszczyt uważał.
Więc musim szukać innych wysłanników,
Coby chętniejsi byli dla tej sprawy.
Arcybiskupie i ty, mój Hudonie,
Czy także do tych należeć zechcecie,

Co odrzucając zlecenie tak ważne,
Odmową swoją boleść mi sprawili?

Hudo. Nie, królu, każda twa wola jest święta.
Co każesz, ja się roztrząsać nie ważę,
Złe to, czy dobre, czy dla mnie stosowne,
Czy nie. Ty każesz, więc spełnić ja muszę.

Arcybiskup Hipolit. Z wdzięcznością twoje przyjmuję zle-
[cenie;
Wszakże najpierwszy to mój obowiązek
Starać się o to i przykładać ręki
Wszędzie i zawsze, gdzie chodzi o związek
Twojego państwa z chrześcijańską rzeszą
I zwierzchnikami naszego kościoła.

Zbysław (*do Mojmira*).
Słuchaj — to język dla królewskich uszu!
Korzystniej dobrze mówić, niźli służyć.

Bezbraim (*schodzi z tronu i podaje korony Hudonowi i Arcybiskupowi*).
Bierzcie je zatem i u stóp cesarskich
Złóżcie je razem z mym hołdem królewskim
I z hołdem całej Lechitów krainy.
Niech pewien będzie, że zawsze ta ziemia,
Jako posłuszna chrześcijańska córa,
Przy jego boku wiernie będzie stała,
I że dopóki jam jest na tym tronie,
Jego powadze ujmy nie dopuszczę.
Jeślim ja godzien takiej jego łaski,
By, z poniżenia mego mię podniósłszy,
Zechciał w dobroci swojej nieprzebranej
Mnie, swego sługę, w liczbie królów stawić, —
Niech te korony napowrót odeśle.
Gdy zaś nie — poddam się i innej woli,
I na tem, co mi udzieli, przestanę,
A te oznaki królewskiej godności
Zostaną wtedy u niego — on tylko
Szafować może świata koronami.

Arcybiskup Hipolit. Coś wyrzekł, królu, wiernie powtó-
[rzymy.

Bezbraim. Idźcie więc z Bogiem, i niechaj Opatrzność
Moim nadziejom, a waszym staraniom
Użyczyć zechce łaskawej pomocy.
(*Arcybiskup i Hudo, niosąc korony, wychodzą głównemi drzwiami*).
To dokonawszy, mogę was pożegnać,
Jednak to dodam, że we wszystkich czynach
Będę kierował się sprawiedliwością;
Ni dobrzy kary, ani źli nagrody
Niechaj z rąk moich się nie spodziewają.
Taić przed sobą nie mamy przyczyny,
Że zwłaszcza w lat tych ostatnich przeciągu
Wiele się do nas wkradło nieprawości
W rządzie i wierze, jak i w obyczajach.
Dzisiaj więc będzie moim obowiązkiem,
W którym na wasze współdziałanie liczę,
Położyć koniec podobnym bezprawiom
Wszelkimi środki i całą mą mocą,
Jaką mi może dać królewska władza.
(*Wychodzi bocznemi drzwiami; za nim Marszałek i Halabardnicy. Inni obecni rozchodzą się przez drzwi główne, w końcu zostają tylko Zbysław i Mojmir*).

SCENA 12.

Zbysław. Mojmir.

Mojmir. Źle zrobiliśmy.
Zbysław. Lecz on gorzej zrobił!
Czy nie widziałeś na wszystkich obliczach,
Z wyjątkiem kilku podłych zauszników,
Wyrazu smutku, zgrozy i żałoby?
Mojmir. To jednak pewna, że już wypadliśmy
Z łaski u króla, że teraz mieć może
Jeśli nie słuszny powód, to pozory
Niechęci ku nam.
Zbysław. On sam tego pragnął,
By jak najprędzej zmazać dług wdzięczności,

Który zaciągnął u nas tak niedawno.
Ja wracać teraz muszę w swoje strony,
Ty tu zostaniesz, ale pamiętajmy,
Że wspólna sprawa odtąd nas jednoczy,
I kiedy wiemy, jak on o nas myśli,
Myślmy o sobie, byśmy nie zginęli. (*Wychodzą*).

Zmiana. Praga czeska. Sala na zamku książęcym.

SCENA 13.

Książę Brzetysław (z listem w ręku) i Ulrych (wchodzą).

Brzetysław. Złe, niepomyślne dzisiaj otrzymałem
Z Niemiec nowiny. Bardzo rozgniewany
Na mnie jest cesarz i żąda koniecznie,
Abym zdobyte na Polsce Morawy
Cesarstwu oddał.

Ulrych. Nieprędko tej straty
Korona czeska by odżałowała.

Brzetysław. To też ja tego uczynić nie myślę.
Dość mię ta zdobycz kosztowała trudu,
Krwi i pieniędzy; dla niej się na wojnę
Z potężną wówczas naraziłem Polską,
Na wojnę, w której mogłem wszystko stracić,
I mój tron własny, i własne me księstwo.
Gniewu cesarza nie chcę jednak ściągać
Na swoją głowę, drażnić go nie będę,
I chęciom jego nie czyniąc zadosyć,
Wyślę jednakże powtórne poselstwo,
Z pokorną prośbą o odmianę zdania
I z upewnieniem niezłomnej wierności.

Ulrych. Książę, tymczasem czy mogę przypomnieć...,

Brzetysław. Prawda, mówiłeś, że jacyś dwaj ludzie
Przybyli z Polski ...

Ulrych. Tak, przyszli dziś rano
Do tego zamku, błagając usilnie,
Aby im z tobą wyjednać rozmowę.

Brzetysław. Zafrasowany byłem tak dalece,
Że to na chwilę wyszło mi z pamięci.

Wprowadź ich tedy, może nam powiedzą
Jaką nowinę świeżą z tego kraju,
Gdzie się co chwila coś ważnego dzieje.

(*Ulrych wychodzi i wraca za chwilę, za nim król Mieczysław i Dobrówka, oboje w ubraniu pielgrzymiem*).

SCENA 14.

Brzetysław. Król. Dobrówka. Ulrych.

Brzetysław. Zbliżcie się tutaj, nieznajomi goście,
I mówcie, co was tu do nas przywiodło?

Król. Przytułku, książę, żądamy w twej ziemi,
Bo go we własnej nie możemy znaleźć.

Brzetysław. Skąd przybywacie i z jakiej przyczyny
Tak srogą dla was jest wasza ojczyzna?

Król. Gdybym powiedział, kim jestem i kogo
Te nędzne, grube okrywają szaty,
Kto tu przed tobą stoi, z troską w twarzy,
Z boleścią w oku, i jak nędzny żebrak
Schronienia żąda — możebyś nie wierzył,
Takby ci różne zdało się nazwisko,
Które ja noszę, od tego czem jestem.
Czemuż zarówno z dawnem mojem szczęściem,
I z tem czem byłem niegdyś, miano moje
Nie zaginęło dla ludzkiej pamięci,
I czemu został jeszcze ten cień marny,
Gdy to, co niegdyś wyrażał, zniknęło?
Nie uczuwałbym teraz tego wstydu,
Który mi oczu podnieść nie pozwala,
Kiedy odpowiedź mam ci dać, kim jestem.

Brzetysław. Nabierz odwagi, a ktokolwiek jesteś,
Przypomnij sobie, że zmienna fortuna
Jednako wszystkich ludzi jest udziałem,
I że na świecie niema nic wielkiego,
Czegoby ona w proch zetrzeć nie mogła.

Dobrówka. O dobry książę! niech ci złożę dzięki
Za tę szlachetność, co nieszczęśliwemu
Pragnie osłodzić gorycz, jaką czuje,

Kiedy się przyznać do swych nieszczęść musi
I do upadku tak niezwyczajnego.
Lecz pozwól, że ja oszczędzę mu bólu
I to ci powiem, coby jego usta
Tylko z przykrością wypowiedzieć mogły,
Że masz przed sobą króla Mieczysława.

Brzetysław. Na imię Boga, czyliż to jest prawdą?..
W takimże stanie widzę cię, nieszczęsny?..

Król. Straszna to prawda, lecz prawda, niestety!

Brzetysław. Pójdź w me objęcia, pozwól się uściskać...
Jak brata witam ciebie w mej stolicy! (*Ściska go*).

Ulrych. Nieszczęście dziwne porobiło zmiany
W twojej postaci; przecież nie tak dawno
Jak cię widziałem, a dziś ledwie wierzę,
Że to ten sam jest król dawniej tak możny.

Król. Poznaj, jak ciężkie były moje losy,
Jak wielka rozpacz, że na całej ziemi
Jednego kąta nie znajdę dla siebie,
Gdym się odważył i przemógł na sobie,
By o gościnność zapukać w twe wrota.
Bo może uniósł cię chwilowy obłęd,
Możeś zapomniał — więc ci przypominam,
Że dłoń ta, którą dziś w swojej tu ściskasz,
Niedawno jeszcze twoje państwo gniotła
I ciężkie tobie zadawała razy.
Dziś, gdym sromotnie z mej ziemi wygnany,
Gdym błądząc długo po lasach i górach
Napróżno myślał, dokąd się zawrócę,
Gdzie głowę będę mógł bezpiecznie złożyć —
Gdy w takim stanie, nędzny i bezsilny,
Na twoim progu o przytułek błagam,
Dobrą sposobność zsyłają ci nieba
Wywarcia zemsty i gniewu na wrogu —
Jestem w twych rękach, rób ze mną co zechcesz!

Brzetysław. Porzuć te myśli: wszak nieprzyjaźń winna
Skonać w tej chwili, gdy miecz w pochwę idzie.
Tam, kędy bój wrzał, byłeś moim wrogiem,
Tu, pod mym dachem, jesteś moim gościem.

Zostań więc u mnie; jak brat, jak przyjaciel
Będziesz przeze mnie i wszystkich widziany;
Zdołamy, książę, w smutnym twoim losie
Szanować zawsze dawną godność twoją.

Dobrówka (*do Króla*).

Panie mój, przyjmij tę szczerą ofiarę.
Bóg sam tu nasze pokierował kroki,
Gdzie cię spotyka, nad twoją nadzieję,
Wspaniałomyślne i chętne przyjęcie.

Król. Dzięki ci, bracie. Za całą nagrodę
Mogę ci tylko dać dziś to życzenie,
Byś nigdy losów podobnych nie doznał.

Brzetysław. Bardzo musiało być przykrem twe życie,
Odkąd cię tronu pozbawili zdrajcy.

Król. O, nędzny żywot!... Powiem ci: od owej
Nieszczęsnej chwili nie widziałem dachu
Nad moją głową... Gdzież go może znaleźć
Mocarz, którego pałac przez innego
Został zajęty?.. Gdy wejdzie pod strzechę,
Rzekną z szyderstwem: Oto dzisiaj równy
Nam nędznym ten jest, co był tak wysoko!
A gdy do zamku wejdzie książęcego,
Rzekną z pogardą: Skąd się tutaj wziąłeś?
Już nie należysz do tych, którzy mogą
Tutaj spoczywać!.. O, wstyd, wstyd i hańba
Daleko pędzą go wtedy od ludzi,
Między zwierzęta nierozumne, między
Skały i lasy, co nie mają uszu
I o upadku jego nie słyszały!...
O, taki żywot!... Śmierci, czemu zwlekasz
Swoje przybycie, by skrócić me męki?

Dobrówka. Panie, nie poddaj się temu smutkowi,
Zbierz swoje siły i mężnie znoś losy —
Nieba łaskawe mogą wszystko zmienić.

Król. Pójdźmy, widokiem swej nędzy nie rańmy
Czułych serc ludzkich — zła to jest zapłata
Za dobrodziejstwo. (*Do Brzetysława*).
Każ mię zaprowadzić,

Gdziebym mógł spocząć i znużone członki
Pokrzepić. Patrzaj, niczego nie żądam,
Tylko spokoju trochę i wygody,
Suchego łoża i ciepłych ścian czterech
I ciszy.

Brzetysław. Z królem idź razem, Ulrychu,
Przygotuj wszystko, czego sam zażąda
I co mieć zechce na swoje rozkazy.
(*Król, Dobrówka i Ulrych wychodzą*).

SCENA 15.

Brzetysław (później) Ulrych.

Brzetysław. Nędzny tułaczu, dumny nawet w nędzy!
Życie twe dzisiaj niewięcej jest warte,
Jak to, że innym może przynieść korzyść.
Szczęśliwy w ręce dał mi cię przypadek;
Tak, za twą wolność kupię sobie spokój:
Więźniem cię wkrótce poślę cesarzowi
I tym podarkiem gniew jego złagodzę.
Zamiast mu oddać drogie mi Morawy,
Oddam mu ciebie, któryś mi natrętny.
(*Ulrych wchodzi prędko i zbliża się do Brzetysława, patrząc mu przenikliwie w oczy*).
Nie potrzebujesz mi mówić co myślisz,
Z oczów to twoich widzę, wierny sługo,
Że z swoim panem w myślach się zgodziłeś.
Każ ich uwięzić i osadzić w wieży
Pod dobrą strażą; wszak to mówić chciałeś?

Ulrych. Tak, książę panie, i jestem szczęśliwy,
Że Bóg cię natchnął...

Brzetysław. Potem cesarzowi
Każę powiedzieć przez moje poselstwo,
Że mam w swej mocy tego buntownika
I wydać mogę za dobrą nagrodę. (*Wychodzą*).

AKT CZWARTY.

Pole niedaleko wsi. Kilka drzew rozłożystych, pomiędzy któremi z jednej strony rozpięty namiot królewski. Z drugiej strony gromady Kmieci i Szlachty.

SCENA 1.

Niemsta. Szlachta. Kmiecie. Żołnierze.

Niemsta (*wchodzi na czele Żołnierzy*).
Hej, z drogi ludzie! dla królewskiej straży
Potrzeba miejsca. (*Do Żołnierzy*). Ustawcie się [tutaj,
Obok namiotu. Tylko żwawo, żwawo!
I Szlachcic. Witajcie, Niemsto!
Niemsta. Zdrowia wam, Wszeborze!
I Szlachcic. Cóż to, na straży?
Niemsta. Tak, bracie, jak widzisz.
I Szlachcic. Będą dziś ścinać, czy wieszać?
Niemsta. Jak Bóg da
I jaka przyjdzie królowi ochota.
I Szlachcic. Lecz same chłopy?
Niemsta. Same chłopy.
I Szlachcic. Szczęście,
Bo gdzieś tam pono ścięli i szlachcica.
Niemsta. Jeśli zasłużył, musiał oddać głowę.
I Szlachcic. Prawda. Lecz głowę dać, to nie przelewki!
Lepiej jest w bitwie zginąć szlachcicowi,
Niźli od kata.
Niemsta. Bądź cicho, Wszeborze.
Ja nie chcę słyszeć, lecz usłyszy inny. (*Oddala się*).

2 Szlachcic (*do 1go*). A czy to prawda, coście powiedzieli
O tym szlachcicu?
1 Szlachcic. Niedaleko od nas
To się zdarzyło, a dalej niejeden
Już w taki sposób na tamten świat poszedł.
2 Szlachcic. To król źle robi. Jak Lachów wybije,
To potem chłopy rzucą się na niego,
I któż go od nich wtedy bronić będzie?
1 Szlachcic. Cesarz i Niemcy — czy o tem nie wiecie?
Przez kogo urósł, tego się i trzyma.
2 Szlachcic. Źle, źle się dzieje! Takich srogich rządów
Jeszcze nie było za mojej pamięci,
A już czwartego króla jak pamiętam.
(*Wchodzą Zbysław i Mojmir*).

SCENA 2.

Zbysław. Mojmir. Niemsta. Szlachta. Kmiecie. Żołnierze.

Mojmir. Razem z tą plagą i jam tu zawitał;
Dobra sposobność mi się nadarzyła,
Przybywszy z królem, zobaczyć się z wami.
Zbysław. I cóż nowego słychać w waszych stronach?
Mojmir. Czy wiesz, że Kryszka zamknięty w klasztorze
I omniszony?...
Zbysław. Kryszka?... Wielki Boże!
Więc tak wysoko już Bezbraim sięga!
Za jakąż winę?
Mojmir. Nie pościł w post wielki.
Z podobnej także przyczyny i Paczołt,
Że do kościoła nie chodził jak trzeba,
Stracił swój zamek z całą majętnością
I z kraju został wygnany.
Zbysław. Mojmirze,
Dziwne przynosisz mi dziś wiadomości.
Mojmir. Ha, nic dziwnego! Na królewskim dworze
Mnichy i Niemcy tylko sami rządzą,
Albo niegodni pochlebcy, a wszystko

Co przez zasługę i waleczność wzrosło,
Nadół zepchnięte.

Zbysław. Ciężka nasza hańba!
O, zrobiliśmy niedobrą zamianę!
Odstąpiliśmy króla Mieczysława,
Bo nam zdawało się, że wzorem ojca
W żelaznych klubach będzie szlachtę trzymał.

Mojmir. Tem się pocieszmy, że dziś w całym kraju
Bezbraim wielu nie znajdzie przyjaciół;
I tu i owdzie nadstawiałem ucha,
I wiem, że wszyscy drżą lub przeklinają,
I gdyby tylko znalazł się ktoś, coby...

Zbysław. Tak myślą?..

Mojmir. Myślą i mówią niekiedy...

Zbysław. Dosyć — na inną odłóżmy to porę. —
Co widzę, Niemsta?

Niemsta (*zbliżając się*). On sam, kasztelanie,
Do waszych usług.

Zbysław. Jesteście na straży
Przy boku króla?

Niemsta. Tak jest.

Zbysław. Czy już dawno?

Niemsta. Od trzech już niedziel.

Zbysław. To dobrze... Lecz zawsze
Ten sam jest Niemsta?..

Niemsta. Zawsze, kasztelanie.
Na służbie króla ja nie zapomniałem,
Że pierwsze służby winienem ojczyźnie.
A muszę przyznać, że w moich nadziejach
Bardzom się zawiódł. Lepszy był król dawny,
Niżli dzisiejszy, co niemieckim trybem
Chce nami rządzić. Ha, Bóg nas ukarał!
Ale odejdźcie, widzę, że król idzie.
Ustąpić, ludzie, zrobić miejsce wolne
Dla króla pana! Na bok, na bok, prędzej!

(*Lud usuwa się. Zbysław i Mojmir zbliżają się do namiotu. Wchodzi Bezbraim w koronie. Za nim jego orszak złożony z Polaków i Niemców, między nimi Hudo. Bez-*

braim siada na krześle przy wejściu do namiotu. Orszak grupuje się koło niego).

SCENA 3.

Bezbraim. Zbysław. Mojmir. Hudo. Niemsta. Szlachta. Kmiecie. Żołnierze (później) Rodzina pogańska.

Bezbraim. Koronę z łaski otrzymawszy Boga
I ze szczególnej przyjaźni cesarza,
Staram się spełniać najpierwszą powinność,
Jaka ne królu chrześcijańskim ciąży,
By światło wiary prawdziwej rozszerzać
I gdzie zostały dawne błędy, tępić.
Aby w ten sposób zapewnić poddanym
Najpierwsze dla nich z wszelkich dóbr, zbawienie.
Gdzie słowo starczy, przestaję na słowie,
Gdzie siły trzeba, nie szczędzę i siły,
By karząc ciało, dobrze czynić duszy.
W tym samym celu przybyłem i do was,
Tych stron mieszkańcy, by równo kraj cały
Mojej doznawał pieczołowitości.
Hudo. Niech żyje król nasz!
Orszak i Lud. Niech żyje! niech żyje!
Bezbraim. Wprowadzić winnych.
(Wchodzi prowadzona przez kilku Żołnierzy rodzina pogańska: stara Matka, jej Syn, jego Żona i Dziecko, skrępowani powrozami).
Czy to wy jesteście,
Których schwytano na pogańskich modłach
I bałwochwalstwie?
Matka. Gdyśmy się modlili
Do naszych bogów, pojmano nas, królu,
I jak zbrodniarzy związano powrozem.
Żona *(klękając).* Zmiłuj się, królu, nad nieszczęśliwymi!
Bezbraim Litości dla was pełne serce moje,
I dawne winy będą przebaczone,
Jeśli przejdziecie na łono kościoła.

Więc po kolei mi odpowiadajcie,
Czy wyrzekacie się fałszywych bogów?
Matka. Nie.
Bezbraim (*do Syna*). A ty?
Żona (*do swego Męża*). Ojcze, miej litość nad dzieckiem!
Syn. Wielkie są bogi! Nie.
Bezbraim (*do Żony*). A ty, niewiasto?
Żona. O ja nieszczęsna!... Nie wiem co powiedzieć...
Bezbraim. Tak, lub nie.
Żona. Jeśli powiem: nie?
Bezbraim. To umrzesz
Razem z tamtymi.
Żona. Gdy tak?..
Bezbraim Będziesz wolna.
Żona. Sama?...
Bezbraim. Tak, sama.
Żona. Nie chcę życia, nie! nie!
Bezbraim. A za to dziecko które z was odpowie?
Matka (*spoglądając chwilę po Synu i jego Żonie*).
Ja, królu.
Bezbraim. Mów więc.
Matka. To dziecko mym wnukiem
Kością z mych kości i krwią ze krwi mojej,
I być nie może odstępcą od wiary
Ojców i dziadów. Niechaj na nie spada
Taż sama kara, co nam przeznaczona.
Bezbraim. Jako uporni i wytrwali w błędach,
Będziecie wszyscy na ścięcie skazani.
Żona (*rzucając się na ziemię*).
O łaski, łaski dla mojego dziecka,
Łaski dla męża, dla mnie i tej starej
Matki! My biedni ludzie nic nie winni,
My się modlili, jak ojcowie nasi,
I jak nam ojciec pod błogosławieństwem
Na łożu śmierci modlić się nakazał...
W głębokich lasach żyliśmy tak nędzni,
Osamotnieni — ludzie nie wiedzieli,
Że my żyjemy!... O niedobre bogi,

Czemuż karzecie nas za naszą wierność?...
Gdzież wy jesteście, kiedy my cierpimy? —
O bogi, wy mi zabijacie dziecko!

Matka. Nie bluźnij, córko! Lepiej jest umierać
Twojemu dziecku, niźli znać Chrystusa
I jego sługi okrutne. O bogi!
Dajcie nam męstwo do zniesienia kary!
Cześć wam i chwała, wy wielkie i wieczne!

Bezbraim. Bierzcie ich! Niech ci, co najwięcej winni,
Najpóźniej giną.

(*Wyprowadzają pogan za scenę. Wszyscy zwracają oczy w tamtę stronę. Bezbraim wstaje i również tam patrzy*).

Zbysław. Straszne to są rzeczy!

Mojmir. Bądź cicho! Hudo z podełba spogląda...

Hudo. Królu, widziałem, jak Zbysław się zatrząsł,
Jak gdyby z gniewu...

Bezbraim. Miej go na baczności.

Żona (*za sceną*). O moje dziecko, bogi, moje dziecko!

Zbysław. Patrz, jak ta biedna kobieta się tarza!

Mojmir. Co za krzyk straszny!

Bezbraim. Kończcie z tą kobietą,
Niech nam bluźnierstwo uszów nie przeszywa!

Mąż (*za sceną*). O moja żono!

Zbysław. Już skończyła męki.

Matka (*za sceną*). Mężnie, mój synu! uszanuj cień ojca!

Mojmir. I ten dał szyję.

Matka (*za sceną*). Chwała wam, bogowie!

Zbysław. Mężnie umarła, jakby nie niewiasta.

Bezbraim. Niech zabrzmią trąby. (*Słychać trąby*). Już za-
[dość się stało
Sprawiedliwości. Niechaj to dla innych
Będzie przykładem. (*Lud zaczyna się rozchodzić*).

1 Kmieć. Tyle krwi niewinnej!

2 Kmieć. Wszak to krew chłopska. Ciężko się nad nami
Król sroży!

3 Kmieć. Gdzież jest nasza dawna wolność?

1 Kmieć. Biada, oj biada! (*Wychodzą*).

Bezbraim (*do Zbysława*). Słowo, kasztelanie!

Zbysław (*zbliżając się*). Słucham rozkazów.

Bezbraim. Pojutrze powracam
Do mej stolicy i twojej osoby
Będzie mi trzeba. Pojedziesz tam ze mną.

Zbysław. Stanie się, jako rozkazałeś, królu.

(*Wychodzą wszyscy, prócz Bezbraima, Hudona, Niemsty i Żołnierzy.*)

SCENA 4.

Bezbraim. Hudo. Niemsta. Żołnierze.

Bezbraim (*do Hudona.*)
Tego człowieka muszę mieć przy sobie,
Im bliżej przy mnie, tem jest bezpieczniejszy.
(*Wchodzi z Hudonem do namiotu i zdejmuje koronę z głowy*).
Złóżmy ten ciężar, który oczy ludzi
Zwykły uważać za największą z ozdób,
Jaka zabłysnąć może na człowieku.
(*Słychać zdaleka dzwonienie na nieszpór; zaczyna się ściemniać*).
Na nieszpór dzwonią. Podaj mi mą książkę,
Hudonie, przynieś lampę.
(*Hudo kładzie książkę na stole i wychodzi za namiot. Bezbraim zdejmuje ze siebie płaszcz*).
Niestracony
Był dzień dzisiejszy. Twarde, dzikie dusze,
Których śmierć nawet nie zdoła sprowadzić
Na prawą drogę!

Niemsta (*do Żołnierzy przed namiotem*).
Dwóch was tu zostanie,
Inni spać pójdą, a gdy pierwsze kury
Zapieją, przyjdę was odmienić. Za mną!

I Żołnierz. Dobranoc, bracia!

(*Dwóch Żołnierzy zostaje przy namiocie, inni wychodzą z Niemstą. Hudo wraca do namiotu z lampą i stawia ją*).

Bezbraim. Podaj mi mój habit
I dyscyplinę. Wieczorne pacierze
Będę odmawiał. A ty spać się połóż,
Jesteś strudzony, a jutro o świcie
Ruszamy dalej.

Hudo (*podaje mu habit i dyscyplinę*).
Nie przeciągaj modłów
Zbyt długo, królu, i ty potrzebujesz
Także spoczynku.

Bezbraim. Wprzód trzeba o duszy,
Niźli o ciele myśleć. Gdzie spać będziesz?
Hudo. Tutaj, mój królu, tuż przy twojem łożu,
Jak wierny sługa.

Bezbraim. Dobrze. Zasuń namiot.
Dobranoc.
(*Kładzie na siebie habit, rozkłada książkę i klęka. Hudo zasuwa namiot*).

1 Żołnierz. Wybój, czy słyszysz?
2 Żołnierz. Tu jestem.
1 Żołnierz (*zbliżając się do 2go*)
Noc strasznie czarna...
2 Żołnierz. I mnie zimne mrowie
Idzie po skórze. Biedni ci poganie!
1 Żołnierz. Nie wspominaj ich, bo przywołasz dyabła!
2 Żołnierz. Czy słyszysz co?...
1 Żołnierz. Nic.
2 Żołnierz. Coś szeleści w drzewach...
1 Żołnierz. Milcz lepiej!
2 Żołnierz. (*po chwili*).
Patrzaj, tam gdzie ich tracili...
1 Żołnierz. Ha!
2 Żołnierz. Białe dusze jak płachty się wznoszą
Z ziemi...
1 Żołnierz. Wracają na świat pokutować
Za swoje grzechy.
2 Żołnierz. Strach, strach!... Mówmy pacierz:
Wszelki duch!... (*Żegna się*).

Bezbraim (*rozsuwa namiot.*)
Co tu za krzyk było słychać?...
Kto tutaj wołał?... Cicho — noc spokojna —
Zdawało mi się. Czemuż spać nie mogę?
I ledwie oczy zamknę, zdaje mi się,
Że tu w namiocie ktoś jest i do łoża
Mego się zbliża... Otwieram powieki
I nic nie widzę. Cóżbym miał zobaczyć?...
Nocne majaki, nic więcej. Lecz krzyk ten
Był tak wyraźny!... Ta kobieta strasznie
Krzyczała!... Darmo! Matka musi krzyczeć
Za swojem dzieckiem, a królowie muszą
Być sprawiedliwi... to porządek świata!
Czegóż się boję?... Sumienie mam czyste,
Bo to co czynię, wszakże nazwać muszę
Dobrem i słusznem — tak jest, nie inaczej,
Dobrem i słusznem! Mam przy sobie Boga,
Co mię uchroni od najścia złych duchów —
O kilka kroków straż, a tu miecz ostry,
Które mię strzegą od zdrady złych ludzi —
Czegóż się lękam?... Śpijmy!
(*Kładzie się i zrywa się po chwili z łoża*).
Ha, czy znowu?...
(*Bierze za miecz*).
Kto tu, mordercy czy szatany z piekła?...
Hej, Hudo, Hudo! (*Trzęsie go*).

Hudo (*zrywa się*).
Król pan z mieczem w ręku!

Bezbraim. Ty nic nie słyszysz?...

Hudo. Nic. Cóż było słychać?

Bezbraim. Jakiś piekielny krzyk...

Hudo. Złudzenie, królu.
Noc tak spokojna i cicha —

Bezbraim. I czarna...
Wstawaj, Hudonie. Niech zwiną namioty.
Ruszymy w drogę.

Hudo. Tak wczas. Jeszcze północ
Nie przeminęła.

Bezbraim. Wyruszymy dalej.
Spełnij co rzekłem. (*Hudo trąbi na rogu*).

Żołnierz *(stojący na straży).*
Do broni! do broni!

Bezbraim. Przeklęte miejsce, pełne czarnych duchów!
(*Niemsta wchodzi z Żołnierzami, którzy niosą pochodnie*).

Bezbraim (*wychodzi z namiotu*).
W pochód ruszymy, każ zwinąć namioty.
(*Wychodzi. Za nim Hudo i część Żołnierzy. Inni z Niemstą wchodzą do namiotu*).
Zmiana. Praga czeska. Więzienie Mieczysława.

SCENA 5.

Król i Dobrówka (*wchodzą.*)

Dobrówka. I znowu popadł w tę straszną zadumę —
O bogi, miejcie litość nad nim biednym!

Król. O jaka boleść!... (*Wybucha nagle*). Wolności,
[wolności
Dajcie mi! skruszcie te hańbiące więzy,
Bo chcę się pomścić na tych wszystkich zdrajcach!
Co oni ze mnie zrobili? Nędzarza,
Robaka, dziecko bez woli i siły —
A przecież kiedyś byłem dzielnym królem,
Potężnym panem!... Ha, ja tutaj jeszcze,
Jeszcze w tych murach? Dosyć już tej hańby!
Puśćcie! — słyszycie?... Rozbiję te mury,
Złamię te kraty — ja chcę, chcę być wolnym,
Bić się z wrogami, odzyskać koronę,
Ukarać zdrajców!
(*Chwyta za kratę jedną ręką, drugą uderza w mur*).
Dalej twardy głazie,
Rusz się z posady! pękaj ty żelazo!
Nie oddzielajcie mnie dłużej od świata
I tam mnie puśćcie, gdzie czynów jest pole!
Hej, wszystkie siły wytężę i skruszę
Wasze zapory! (*Znów uderza*).

Dobrówka. Królu mój, co czynisz?
Uspokój swoje rozszalałe zmysły,
Tych twardych murów nie przebijesz pięścią;
Cierpliwość tylko może je otworzyć.
Król. Ha, ha, szalone rozpocząłem dzieło!
To prawda — mury szydzą z mojej dłoni.
Cóżem zamyślał?... dziecinna głupoto!
Trzeba się poddać nędznemu losowi,
Cierpieć i w hańbie pędzić dalej życie!
Dobrówka. Usiądź tu, królu, drżysz na całem ciele.
Król (*siada na tapczanie*).
Siły mnie wszystkie odeszły, że ledwie
Władam mem ciałem. O, los mój okropny,
Upaść tak nizko, na samo dno nieszczęść,
Być tak zgniecionym ludzką przewrotnością
I z tylu skarbów, które posiadałem,
Utracić wszystko — wszystko, nawet wolność,
Nawet możebność oddychania świeżem
Powietrzem!... I ja byłem niegdyś królem!...
Któż w to uwierzy, ktoby zdołał pojąć,
Że człowiek dożyć może takich losów,
Gdyby zobaczył, że dziś mem mieszkaniem
Są te wilgotne mury, a łachmany
Kryją to ciało, co niegdyś chodziło
W królów purpurze?.. O nędzny! o nędzny!
Cierp, giń w nizkości! (*Upada, łkając na tapczan*).
Dobrówka. Nic mu nie pomoże
Żadna pociecha na tę wielką boleść!
(*Wchodzi Dozorca więzienia*).

SCENA 6.

Król. Dobrówka. Dozorca.

Dozorca. Cóż, jak się król ma?
Dobrówka. Widzicie, tam leży
Cierpiący, chory, łkając z głębi piersi.

Dozorca. Król nieszczęśliwy! — Mój dobry młodzieńcze,
Ja chciałem właśnie do was przyprowadzić
Pewnego człeka, co jest waszym ziomkiem.
Przyszedł dziś do mnie i prosił tak czule,
Bym mu pozwolił z królem się zobaczyć.

Dobrówka. Któż jest ten człowiek?

Dozorca. Tak jako wy tułacz,
Wygnaniec biedny i przyjaciel króla

Dobrówka. Sprowadź go tutaj, może co królowi
Powie o Polsce i temi wieściami
Myśl skołataną może w nim pokrzepi.

Dozorca. I ja myślałem toż samo. Więc idę,
Tylko niech książę o tem się nie dowie,
Bo srogo skarałby moją łagodność. (*Wychodzi*).

SCENA 7.

Król i Dobrówka. (*wchodzi*) *Paczołt.*

Dobrówka. Witaj mi, ziomku! Wnosisz do tej kaźni
Powietrze łanów i lasów ojczystych.

Paczołt (*podając jej rękę*).
Wygnańca wita wygnaniec! Gdzież król jest?

Dobrówka (*wskazując*). Król tam spoczywa.

Paczołt. Czyliż to podobna?
Jestże to król mój, jestże to Mieczysław,
Któregom niegdyś widział w majestacie
Tronu, lub w bitew rycerskim zapale?...
O swoją nędzę oskarżałem nieba,
Lecz jego widząc, milczeć odtąd będę.

Król (*podnosząc się*). Kto tutaj mówi?

Paczołt (*zbliża się do niego i klęka*). Pozwól ucałować
Swą dłoń królewską, nieszczęsny mój panie.

Król. Ktoś ty, człowieku, czemu zwiesz mię panem?
Czy szydzisz ze mnie?.. Bądźże szlachetniejszym
Wobec nieszczęścia!

Paczołt. Więc mię nie poznajesz?
Ha, na mnie także cierpienia wyryły
Swe ostre znamię! Jestem Paczołt, królu,
Pomnisz to imię?

Król. Przypominam sobie.
Tak, Paczołt, prawda, poznaję te rysy.
Jakżeś zmieniony, stary i znędzniały!
Niegdyś ty byłeś walecznym rycerzem —
Pamiętam, jeszcze w tej wojnie niemieckiej,
Za mego ojca, walczyliśmy razem.

Paczołt. Tak, tak, mój królu; szczęśliwe to czasy!

Król. Przyniosłeś sztandar na Niemcach zdobyty,
A całe ciało krwią miałeś oblane.
Wtedy mój ojciec ciebie po ramieniu
Poklepał, mówiąc: Dobry jesteś, Paczołt!
Wszakże tak było?

Paczołt. Miłościwy królu,
Dobrze pamiętasz. O, płakać dziś muszę
Na przypomnienie tej błogiej przeszłości!

Król. Cóż cię przywiodło tutaj, mój Paczołcie?
Dobre masz serce, że nie zapomniałeś
O tym, o którym cały świat zapomniał.
Co słychać w Polsce? co robi mój naród?
Czyli szczęśliwszym jest pod nowym władzcą,
Niż był pode mną? Bodajby tak było!
Niezawsze byłem ja dobrym monarchą,
Błądziłem często — byłem zaślepiony —
A teraz zato ciężko pokutuję.

Paczołt. Przestań obwiniać się niesprawiedliwie,
Bo gdybyś teraz zawitał do Polski,
Nicbyś nie słyszał, tylko narzekania
I jęk rozpaczy...

Król. Co ty mi powiadasz?

Paczołt. Widzisz mnie tutaj, nędznego wygnańca,
Którego tyran pozbawił wszystkiego,
Godności, mienia, wyrwał z ramion dziatek,
Z objęcia młodej, ukochanej żony —
Wszystko straciłem!... A jednak ma dola

Gdy ją porównam z dolą innych braci,
Jeszcze się może nazywać szczęśliwą.
Wieluż to innych jęczy po więzieniach,
Albo w klasztornych murach! wieluż dało
Pod miecz swe gardło, gdy cień podejrzenia
Padł na nich, choćby z najbłahszej przyczyny!
Kmiecie czy szlachta, jednako podlegli
Srogiej tyranii, i kto się wydaje
Niedosyć wiernym królowi, niedosyć
Gorliwym w wierze, zapłaci to życiem
Albo wygnaniem. Dziś kto żyje w Polsce,
Drżeć każdej chwili musi o swe mienie,
O swoją wolność, zaszczyty i głowę —
Wszystko igraszką jest zachceń tyrana,
Ofiarą jego zemsty i srogości!
Niedosyć na tem. Niecny uzurpator
Oddał w poddaństwo Cesarstwu swą ziemię,
I my, co niegdyś warunki pokoju
Krwią im pisali na placach zwycięstwa,
Dzisiaj jesteśmy ich hołdownikami!...
Tak z sobą razem zhańbił nas ten tyran!

Król. O ma ojczyzno, o moje królestwo!
Cóż ci pomogą dziś łzy nieszczęsnego,
Który nie wiedział, że zgubiwszy siebie,
I ciebie zgubi!... Tak, za moje błędy
Ta biedna ziemia dzisiaj jest karana!
Dlaczegom sobie dał zerwać koronę
Z głowy tak łatwo? czemum, uniesiony
Lekkomyślnością, nie widział przepaści,
W którą wraz z sobą pociągnę kraj cały?...
Idź stąd, Paczołcie — nic ci nie pomogę —
Nic nie pomogę ojczyźnie... Straciłem
Moc swą i władzę, siły i dostatki,
Jak marnotrawny syn — jestem żebrakiem,
Jestem bezsilny... Nic mi nie zostało,
Oprócz wyrzutów gorzkich mojej winy...
O Mieczysławie, nędzny Mieczysławie!
Hańba ci wieczna! (*Rzuca się na tapczan*).

Paczołt. Nieszczęśliwy królu!
Dobrówka. Widzisz te bóle! Odkąd państwo stracił,
Takiem jest życie jego w każdej chwili.
Paczołt. Obecność moja, zamiast ułagodzić,
Cierpienia jego jeszcze rozjątrzyła.
Żegnaj, młodzieńcze. Opuszczam te mury
Z boleścią większą w dwójnasób. O Boże!
Pociesz ojczyznę i biednego króla! (*Wychodzi*).

SCENA 8.

Król. Dobrówka.

Dobrówka (*klękając przy Królu*).
Jesteśmy sami. Podnieś, królu, głowę,
Pozwól mi mówić z sobą i jak mogę,
Te czarne myśli z twej duszy odganiać.
Król (*podnosząc się*).
O, tyś jest dla mnie dobrą i szlachetną,
Cierpisz swojemi i memi mękami...
Czy on już poszedł? Dobrze zrobił. Nie wiem
Dlaczego, przykrym był mi jego widok...
Ten człowiek widział kiedyś mego ojca...
Gdyby porównał w myśli jego ze mną —
Cóżby powiedział?... Odpowiedź jest straszna.

SCENA 9.

Król. Dobrówka (*wchodzi*) *Ulrych* (*niosąc dzban wody i bochenek chleba, za nim*) *Dozorca więzienia.*

Ulrych (*do Dozorcy*).
Co to za człowiek, którego spotkałem
Na korytarzach?
Dozorca. Nie gniewaj się, panie,
To rodak króla przyszedł go odwiedzić,
I tu wpuściłem go na krótką chwilę.
Ulrych. Jak śmiałeś, łotrze, wbrew rozkazom księcia,

Wpuszczać tu kogoś? Nie wypełniasz dobrze
Swej powinności, Dlaczego ten więzień
Nie siedzi w celi sobie przeznaczonej?
Cóż to, czy myślisz, że to jego pałac,
By mógł po całym przechadzać się gmachu?

Dozorca. Tam celka ciasna i brak jej powietrza —
Myślałem, że się, panie, nie rozgniewasz...

Ulrych (*grożąc mu*).
Własnym rozumem zaprzestań się rządzić!
(*Zbliża się do Króla*).
Wstań z tego łoża, tu nie twoje miejsce,
Wracaj na górę! No, ruszajże prędzej!

Król. Nędzny służalcze nikczemnego pana,
Powiedz mu, że ja dobrze to rozumiem,
Iż na mnie, słabym dzisiaj i bezsilnym,
Mści się za dawno chowane urazy;
Ale mu powiedz, że to jest podłością!

Ulrych. Milcz, ty pyszałku! Na to co ty mówisz,
Nikt nie uważa, jak na głos waryata.
(*Stawia dzban na ziemi, a chleb kładzie na tapczanie obok Króla*).
Przyniosłem ci tu wykwintne potrawy,
Wyborny napój — możesz dziś wyprawić
Wspaniałą ucztę i królewskie gody,
Jak to lubiłeś za swych dobrych czasów.

Król. Przy takiej uczcie i psy nie powinny
Odchodzić głodne — rzucam to dla ciebie.
(*Rzuca mu chleb pod nogi*).

Ulrych. Śmieję się z twego głupstwa i szaleństwa,
Widocznie tracisz rozum, przyjacielu,
Lepiejbyś zrobił, spokorniawszy trochę.

Dobrówka. Jeżeli wierzysz w sprawiedliwość niebios,
Przestań urągać i szydzić z nieszczęścia,
Nad którem płakać powinny te głazy!

Ulrych. Na inną porę schowaj te kazania!
Teraz co każę, to spełnić musicie.
Dalej do wieży, i drugi raz nigdy
W nieswojem miejscu niechaj was nie znajdę.

(*Do Dozorcy*). A ty mi będziesz za to odpowiadał.
(*Wychodzi*).

Dozorca. Pójdź, biedny królu, jeśli chcesz oszczędzić
I mnie nieszczęścia.

Król. Pod takimi ciosy
Pęknąć powinno niedługo me serce! (*Wychodzą*).

Zmiana. Gniezno. Sala na zamku królewskim.

SCENA 10.

Bezbraim (*wchodzi*).
Ten, kto raz zdradził, zdradzi i raz drugi.
Nic łatwiejszego na świecie nad zdradę;
Jest to wygodna drabina, po której
Na szczyt najwyższy wydostać się można,
Jeśli ktoś w porę nam jej nie poderwie.
A przytem wielka to przykrość, gdy człowiek
Musi się patrzeć w oczy człowiekowi,
Któremu wiele winien — i tem większa,
Gdy dobroczyńca stoi kędyś nizko
Pomiędzy tłumem i swym hardym wzrokiem
Zdaje się mówić: Ty, coś tam wysoko,
Przeze mnieś urósł! — O, strzeżcie się, mali,
Dobroczyńcami być wielkich — to grozi
Niebezpieczeństwem. Z wszystkiego wypada,
Że muszą umrzeć. Sami temu winni.
Czemu zajęli takie stanowisko,
Że na nich pocisk koniecznie paść musi?
Hudo!

SCENA 11.

Bezbraim (*wchodzi*) *Hudo.*

Bezbraim. Czy przyszli?
Hudo. Tak, jak ich wezwałeś,
Czekają obaj w narożnej komnacie.
Bezbraim. Ha, ciężka chwila! — stanąłem u portu,
A nie wiem, kędy zarzucić kotwicę.
Poradź mi, Hudo, co mam z nimi zrobić?

Hudo. To niebezpieczni są dla ciebie ludzie.
Znaczenia dużo posiadają w kraju
I obracają je na twą niekorzyść.
Wszystkim wiadomo, że to za ich sprawą
Szerzy się w państwie niechęć przeciw tobie.
Bezbraim. A zatem mogę ich z czystem sumieniem
Ukarać?
Hudo. Możesz, królu.
Bezbraim. Więc uwięzić
Obu rozkażę.
Hudo. Gdzież znajdziesz więzienie,
Żeby go z czasem złoto albo podstęp
Nie otworzyły? To niedobry sposób.
Bezbraim. Każę ich wygnać z kraju —
Hudo. Jeśli pragniesz
Dodać im siły i powiększyć liczbę
Ich zwolenników, to uczyń to, królu.
Bezbraim. Więc cóż mam zrobić? Czyż są tak potężni,
Że dłoń ich moja ukarać nie zdoła?
Hudo. Potężnych razów trzeba na potężnych;
Kto w nich uderza, niech tak cios wymierzy,
By ich zgruchotał odrazu na miazgę.
Bezbraim. Jakaż więc twoja rada? — mów wyraźnie,
Widzisz, że pragnę jej i potrzebuję.
Hudo. Niech umierają...
Bezbraim. Co rzekłeś, Hudonie?...
Śmierć?... To zawiele!... Coby świat powiedział?
Nie chcę srogością kalać swoich rządów.
Hudo. Natenczas obsyp ich swemi łaskami,
Obdarz zaszczyty i każ im napowrót
Wracać w swe strony, by mogli tem snadniej
Siać ziarno buntu przeciw twej osobie.
Bezbraim. Nie szydź napróżno! — Ciężka to powinność
Zabijać innych, by siebie ocalić...
Hudo. A więc cóż, królu?...
Bezbraim. Ha, czyń jak ci radzi
Własny rozsądek, sumienie i dobro
Mojego państwa — nie mniej ani więcej.

Hudo. Idę więc.
Bezbraim. Czy są żołnierze gotowi?
Hudo. Są.
Bezbraim. Kto dowodzi?
Hudo. Niemsta.
Bezbraim. Niemsta — dobrze.
Dobry to żołnierz, więc i człowiek pewny.
Każ ich do lochu wrzucić pod mą wieżą,
A dzisiaj jeszcze sąd na nich złożymy.
Hudo. Dobrze, mój królu. (*Wychodzi*).
Bezbraim (*sam*). On pierwszy powiedział:
Śmierć! — nie z ust moich wyszło więc to słowo,
Chociaż siedziało na dnie mego serca.
Jeślim zawinił, nie sam będę winny,
Bo choć się znajdą tacy, co zarzucą
Niesprawiedliwość mojemu czynowi,
Będą i tacy, co słuszność w nim ujrzą.
Co to za hałas?
Hudo (*za sceną*). Na pomoc! na pomoc!
(*Słychać szczęk broni*).
Bezbraim. Do mnie, żołnierze!
(*Zbysław i Mojmir wpadają z dobytymi mieczami*).

SCENA 12.

Bezbraim. Zbysław. Mojmir (później) Niemsta i Żołnierze.

Zbysław. Śmierć tobie, tyranie!
Patrz, na tym mieczu ślady krwi Hudona!
Bezbraim. Do mnie, żołnierze!
Mojmir. Napróżno ich wołasz,
Teraz już naszych słuchają rozkazów.
Bezbraim. Ha, zdrada!... Król wasz — Bezbraim przed [wami,
Wy zaślepieni, stójcie!
Mojmir. Ciebie właśnie
My szukaliśmy...
Zbysław. Coś ty chciał nam zrobić,
Zrobimy tobie! (*Zabija go*).
Bezbraim. O zlituj się, Jezu! (*Umiera*).

Niemsta (*Wchodzi z Żołnierzami*).
Dwór Bezbraima już pod straż jest wzięty
I cały zamek dobrze obsadzony.
Co dalej czynić każesz, kasztelanie?
Zbysław. Podnieście z ziemi to ciało tyrana,
Aby pokazać ludowi stolicy,
Że przywłaszczyciel tronu już nie żyje.
(*Wychodzą z ciałem Bezbraima*).

Zmiana. Praga czeska. Podwórze przed więzieniem Mieczysława. Z jednej strony wieża, w głębi mur z furtką, kilka drzew.

SCENA 13.

Ulrych (*później*) *Dozorca.*

Ulrych (*wchodzi i puka w bramę wieży*).
Panie dozorco, hej, panie dozorco!
Dozorca (*za sceną*).
Cóż tam nowego? (*Otwiera i wchodzi na scenę*)
Ciężkie to wrociska,
I nie tak łatwo dadzą się otworzyć.
Cóż tu wielmożność waszą sprowadziło?
Ulrych. Rozkaz książęcy, mój panie dozorco,
Abyście więźnia z tej wieży natychmiast
Wyprowadzili tutaj, bo za chwilę
Książę tu przyjdzie i chce się z nim widzieć.
Dozorca. Ho, niespodziany usłyszałem rozkaz!
Coś niezwykłego pewnie się zdarzyło.
Ale go ch tniej od innych wypełnię
I spieszę zaraz, nie tracąc ni chwili.
(*Wraca do wieży*).
Ulrych. Tak, niespodziane zaszły u nas zmiany,
Chociażbym wolał, żeby ich nie było.
Nie miałem z tego najmniejszego zysku,
A jednak było to dla mnie uciechą,
Że jakby w klatce złapanego ptaka,
Mogliśmy dręczyć do woli takiego,

Przed którym niegdyś całe ludy drżały.
Jest to przyjemność, jaką trudno znaleźć!
(*Wychodzi*).

SCENA 14.

Król. Dobrówka. Dozorca (*wychodzą z wieży*).

Dozorca. Tak, miłościwy królu, taki rozkaz,
By was tu przywieść — książę chce was widzieć.
Król (*oglądając się*).
Jakże tu błogo! Całemi piersiami
Można oddychać — i tyle jasnego,
Czystego nieba nad głową!.. Jak oko
Z chciwością chwyta tych drzew miłą zieleń...
O, rzeczą wielką i drogą jest wolność!...
Ta mała przestrzeń z swobodnem powietrzem
Zda się królestwem, w porównaniu z kaźnią,
Którą ścieśniają i kraty i rygle.
Jak mało ludziom potrzeba do szczęścia,
Najlepiej mogą ci o tem powiedzieć,
Co nic nie mają i stracili wszystko. —
(*Do Dozorcy*). Dobry człowiecze, (bo wiem, żeś
[jest dobry,
Żeś przyjacielski i przychylny dla mnie)
Powiedz mi, proszę: więc tu mam przed księciem
Stanąć? i poco tu wezwać mię kazał?
Dozorca. To tajemnica dla mnie, jak i dla was.
Kazano bramę więzienia otworzyć
I tu was przywieść — ot i wszystko co wiem.
Król. Pewnie z jednego więzienia przeniosą
Mię do drugiego. Tak, słyszałem o tem,
Brzetysław chce mnie oddać cesarzowi,
By go przejednać.
Dobrówka Cokolwiek cię czeka,
Pokaż się mężnym, mój najdroższy królu;
Kto tyle cierpiał co ty, ten powinien
Umieć już cierpieć.

Król. O, nie bój się o mnie;
Wiem, że tu jestem niby lew schwytany
I osadzony w klatce; że mój tyran,
Gdy przyjdzie, ciekaw będzie widowiska,
Jak też wyglądać może taki jeniec;
Czy się o ściany klatki głową tłucze,
I krwawi łapy na żelaznych kratach,
I zawstydzony w kąt się potem ciska...
Będę spokojny, ty nie bój się o mnie.

SCENA 15.

Król. Dobrówka. Dozorca (wchodzą) Brzetysław. Ryksa i Ulrych).

Ryksa (*w głębi, patrząc na wieżę).*
Więc to więzienie jego?
Brzetysław. Tak, królowo.
Ryksa. Dzikie, szkaradne obrałeś dlań mury...
Brzetysław. To z konieczności; aby był bezpieczny,
Musiałem dobrze przed światem go ukryć,
Bo gdybym pewnym był...
Ryksa. Dość tego, książę.
To on, ten człowiek? Sprawiedliwy Boże,
Jakże pomściłeś się za jego grzechy!
Zbliż się do niego.
Dozorca (*do Króla*). Panie, książę idzie.
Król (*do Brzetysława*).
Raz pierwszy widzim się od owej chwili,
Kiedym zażądał świętej gościnności
Pod twoim dachem. Czyliż nie wstyd tobie,
Przyjść tu i spojrzeć, jakie mi schronienie
Ty dałeś — widzieć, jakiego nędzarza
Ze mnie zrobiłeś?
Brzetysław. Daj pokój wyrzutom!
Wiesz, że my wszyscy, co rządzimy ludźmi,
Nie zawsze sercem rządzić się możemy,
Ale musimy słuchać tych rozkazów,
Które wydaje interes korony.

Król. Ja przecież nigdybym tego nie zrobił!...
Brzetysław. Poprzestań, proszę. Dziś przychodzę tutaj
Z taką nowiną, która twoje skargi
Niepotrzebnemi zrobi: dziś przestajesz
Być moim więźniem, odtąd jesteś wolny.
Dobrówka. O wielkie bogi! przyszedł kres twych nieszczęść!
Król. Nie będę za tę łaskę ci dziękował,
Bo powód twojej wspaniałomyślności
Przeczuwam — spełniasz, co cesarz rozkazał.
On nie chciał jeńca z twoich rąk odebrać
I wroga nie chciał od wroga nabywać.
Ryksa (*zbliża się*).
Prawdę wyrzekłeś, cesarz jest szlachetny,
I świeży dowód w tem możesz zobaczyć,
Że ci z wolnością wraca i koronę
I twoje państwo...
Król. Co mówisz, koronę?...
A ten Bezbraim!... Mówcie, co się stało?
Niespodziewane są to dla mnie rzeczy.
O, mówcie, proszę!
Ryksa. Powiem, skoro nie wiesz:
Bezbraim zginął ze zbrodniczej ręki
Tych buntowników, którzy także niegdyś
Pierwsi powodem byli twojej zguby.
Król. Zginął?... o, wielka sprawiedliwość Boga!
Ryksa. Skoro mnie tylko doszła ta wiadomość,
Ja, którąm w Niemczech szukała schronienia
Po twym upadku, pamiętając o tem
Com winna twojej i mojej godności,
Na dwór cesarski zaraz się udałam,
I tam kornemi na kolanach prośby
Jego błagałam, aby ci przebaczył,
W czem zawiniłeś kiedy przeciw niemu,
Jako zwierzchniemu panu, i tron oddał
Osierocony przez śmierć Bezbraima,
Gdy ty do niego masz najbliższe prawo.
Szlachetny cesarz przystał na me prośby,
Ale pod jednym koniecznym warunkiem.

Król. Pod jakim?
Ryksa. Abyś przeszłe winy zmazał,
Za dawne bunty przed nim się ukorzył
I wprzód nim wstąpisz na ojczystą ziemię,
Do Merseburga przybył hołd mu złożyć.
Król. Ciężki warunek, ciężki — bardzo ciężki!
Czegóż to żądasz? Mam uderzyć czołem
Przed moim wrogiem — zaprzeć się tym czynem
Całej przeszłości mojej i mych ojców?...
Ryksa. Cesarz od tego nigdy nie odstąpi,
A ty korony swojej nie odzyskasz
Bez pozwolenia jego i pomocy.
Cały kraj dzisiaj w wielkiem zamieszaniu;
Nędzni mordercy króla Bezbraima
Chcieliby władzę w swych rękach zatrzymać
I udzielnymi zostać książętami
Na rozszarpanych częściach twego państwa.
Boją się także twojego powrotu,
Abyś ich nie chciał karać za te zbrodnie,
Jakich się względem ciebie dopuścili,
I wszystkie siły wytężą, by tylko
Przeszkodzić tobie w odzyskaniu tronu.
Jeśliby cesarz poparł ich zamiary,
Lub choćby tylko nie dał ci pomocy,
Sam nic nie wskórasz.
Król. O, łatwy to tryumf
Nad przeciwnikiem, tak jak ja bezsilnym;
Wszystko mu można kazać, a on wszystko
Musi wypełnić!... Cóż mam do wyboru?
Czy zostać znowu nikczemnym tułaczem,
Zdanym na łaskę pierwszego lepszego,
Być pogardzanym, więzionym, jak natręt
I jak przybłęda wstręt obudzać w ludziach?...
A przecie mogę być królem!... Bezbraim
Hołd cesarzowi złożył, a był królem.
Wszak wszyscy jego rozkazów słuchali,
Jego potęgi się bali i cześć swą
Jego osobie składali pokłonem,

A gdy zabili go, to nie dlatego
Że on hołd złożył!.. Widać im potrzeba
Takiego króla — ja chciałem być innym,
A wszak zdradzili mię i odstąpili...
Ha, dobrze, pójdę do cesarza, pójdę
Do Merseburga!

Dobrówka. Uczyń to, mój królu.
Z przeciwnym losem ciężką miałeś walkę,
I czas ją skończyć, choćby uległością,
Choć poświęceniem tego, co najdroższe.

Ryksa. Jak rozpoznaję, pod tą męską suknią
Kryje się postać królewskiej kochanki.

Dobrówka. Zgadłaś, królowo; to jam jest, Dobrówka.

Ryksa (*do Króla*). Żądam od ciebie, abyś ją tej chwili
Od twego boku oddalił na zawsze,
Aby ta krnąbrna i dumna poddanka
Progów pałacu królewskiego więcej
Swojemi stopy nie kalała...

Król. Rykso,
Nie krzywdź jej, proszę! Kiedyście wy wszyscy
Mnie zapomnieli, albo odstąpili
W mojem nieszczęściu, ona tylko jedna
Przy mnie dotrwała...

Dobrówka. Dla mojej osoby
Nie wszczynaj waśni i nie czyń ofiary.
Królowa przykrych słów tych nie powinna
Słyszeć od ciebie — ona, co tak wiele
Dla twego dobra uczyniła, ona,
Która koronę dzisiaj ci powraca.

Ryksa. Rozsądne słowa słyszysz z jej ust, królu.

Król. Chcesz mię opuścić — dlaczego to czynisz?...

Dobrówka. Dla twego dobra, panie mój i królu!
Niech spokój kwitnie w królewskim pałacu;
Abyś odpoczął po tak strasznych burzach,
Potrzebna tobie teraz miłość żony
I jej przychylność. Więc każ mię wyprawić
Do Polski; wrócę do mej biednej chaty,
Skąd niegdyś miłość mię twoja wywiodła,

I zawsze będę o tobie wspominać,
Zawsze pamiętać, boś był dobrym dla mnie.

Ryksa. Ulrychu, każ jej wszystko przygotować,
Czego potrzeba będzie do podróży.

Dobrówka. Bądź zdrów, mój królu!

Król. Niech Bóg będzie z tobą!
Potrzeba było i tego mi dożyć,
Abym niewdzięcznym musiał się okazać!
Tak więc z wszystkiego wy mnie obdzieracie,
Z tego, co nawet ma ostatni z ludzi,
Że jego sercu zakazać niewolno
Jednych miłować, drugich nienawidzić!
(*Dobrówka wychodzi, za nią Ulrych*).

Ryksa. Na zamek teraz pójdźmy; wdziejesz szaty
Na siebie inne, zapomnisz o przykrych
Smutkach i troskach i czem kiedyś byłeś,
Przywykniesz wkrótce być nanowo, królu.
A potem pospiesz tam, dokąd cię wzywa
Twój obowiązek, spiesz do Merseburga!

Brzetysław (*do Króla*).
Cały mój zamek na twoje usługi
I wszystko czego tylko możesz pragnąć,
A ja udzielić. Przy hucznej biesiadzie,
Przy smacznem winie rzucimy w niepamięć
Nasze niesnaski i koleje losu,
Które nieprzyjaźń pomiędzy nas wniosły.

Król (*po chwili*). Do Merseburga! tak, do Merseburga!
(*Wychodzi prędko, za nim inni*).

AKT PIĄTY.

Gniezno. Komnata w zamku królewskim. W głębi długi stół nakryty, przy nim krzesła.

SCENA 1.

(*Wchodzą*) *Król. Masław. Marszałek pałacowy i Orszak z Dworzan się składający.*

Król (*do Masława, który obok niego idzie, trzymając w ręku dzban z winem*).
Byłem dotychczas dla ciebie niewdzięczny,
Nie powiedziałem ci, o czem jednakże
Nieraz myślałem, że mi się podobasz.

Masław. To źle zrobiłeś, miłościwy królu;
Cóż ci szkodziło wcześniej mię ucieszyć?

Król. Więc błąd naprawiam i mówię raz jeszcze:
Podobasz mi się! A czy wiesz dlaczego?

Masław. Podoba ci się, bym ci się podobał;
Dla króla taka wystarczy przyczyna.

Król. Żart na bok! Lubię cię, boś jest wesoły
I humor dobry masz na zawołanie,
A raczej wołać go nie potrzebujesz,
Bo wciąż przy tobie — bo masz język cięty,
Którym na wszystkie strony sieczesz gracko,
Nie oglądając się, gdzie razy padną.
Lubię cię wreszcie, bo ty tylko jeden,
Co mnie nie nudzisz, boś jest niepodobny
Do tej tu zgrai, co się za mną włóczy
Jak cień, we wszystkiem jak cień podrzeźniając
Moją osobę! boś inny niż ten tu,
Co nic nie umie, tylko głową kiwać

I wpół się zginać z pokornym ukłonem,
Lub jak ten drugi, którego przymioty
W tem się streszczają, że jeśli w swe gardło
Nie leje wina, to je głupim śmiechem
Wtedy zatrudnia.

I. Dworzanin. Ha, ha, król dowcipny!
Słyszycie, jaki nasz pan jest dowcipny?
Dalibóg! z śmiechu boki mi rozpękną.

2. Dworzanin (*kłania się*).
Król pan łaskawy mą nędzną personę
Wspomina swemi królewskiemi usty.
Czemżem zasłużył na te pańskie względy?...

Król. Cóż, nie mówiłem? — oto masz ich obu:
I gadających i ruszających się
Jak nakręcone lalki. Precz mi z oczu!
Bo wasze twarze na śmierć mię zanudzą.

Masław. Gdybyś pozwolił, miłościwy królu,
Jabym ich zaraz z tej wady uleczył.

Król. Jakim sposobem?

Masław. Temu, co tak lubi
Śmiać się, ilekroćby gębę otworzył,
Pół garnca wody nalałbym do gardła,
Że pewnie śmiech swój musiałby zakrztusić;
A temu, co tak do ukłonów skory,
Za każdym razem, gdy grzbiet w pałąk zegnie,
Dałbym pod biodro takiego kułaka,
Że musiałby się zaraz wyprostować.

Król. Proste lekarstwo, aleby pomogło!
Powiedz mi jednak, czy ty zawsze jesteś
W takim humorze?

Masław. Zawsze, w każdej chwili.

Król. Nawet i wtedy, gdy bieda dokucza,
Albo nieszczęście na ciebie się zwali?

Masław. Wtedy najwięcej! A toż cała sztuka,
Aby się za kark nie dać wziąć smutkowi.
Co chce, niech będzie — głowa zawsze w górę
I serce lekkie! Widziałem ja nieraz,
Jak to wygląda taki człowieczyna,

Co jak wół w jarzmo zgryzocie się podda.
Nawet — niech cię to, królu, nie obraża —
Na twej to własnej widziałem osobie.

Król. Zbyt jesteś śmiały!

Masław. A więc mam nie mówić?
Na tem ty, królu, możesz tylko stracić,
Że nie usłyszysz pożytecznej prawdy.

Król. A więc mów dalej, może coś skorzystam.

Masław. Właśnie dla twojej korzyści chcę mówić.
Otóż na tobie miałem dobry przykład,
Jakie to smutne skutki zniechęcenia,
Kiedyś powrócił do nas z swej przejażdżki
Po zagranicy — pono od cesarza
I z Merseburga: — czoło zachmurzone,
Oczy przyćmione, zawsze tylko w myślach,
Jak na dnie morskiem nurek pogrążony,
Żadnej ochoty do jadła i wina,
W rozmowie cierpkość, albo roztargnienie,
Na twarzy bladość, a w ustach płomienie,
Jakby w gorączce... Ja, widząc to wszystko,
Wnet pomyślałem sobie: patrz, Masławie,
Oto dla ciebie budujący przykład!
Jeśli takiego pana i monarchę
Zgryzota może o ziemię powalić,
Cóżby to z tobą dopiero się działo,
Coś tylko nędznym jest chudopachołkiem?

Król. Masz wino w dzbanie?... nalej mi.

Masław (*podając mu wino*). Niech służy.

Król. Stare to wino... serce i mózg grzeje.
Przestań już gadać — mówmy o czem innem.
Dobrze jest czasem zapomnieć o sobie,
Więc chcę się zająć teraz twą osobą.
Dawno ty służysz już na moim dworze?

Masław. Słyszycie, ludzie, król się o to pyta!
Otóż, co znaczy służyć wielkim panom;
Nawet nie wiedzą tego, jak swe siły
Biedny człek targa dla ich przyjemności,
Albo wygody! Jestem już przy dworze

Prawie tak długo, jak ty królem jesteś.
Przez ten czas wiernie służyłem w pokoju,
Służyłem także potem i na wojnie,
Ciężkie ponosząc trudy i mozoły
W twoim orszaku.

Król. Czemże teraz jesteś,
Jakiego stopnia doszedłeś w mej służbie?

Masław. Takiego, jaki mi troskliwość twoja
Nadać raczyła, gdy po latach tylu
Po raz się pierwszy o to zapytujesz.
Czem jestem? Niczem? Alboż ten, co służy
Pilnie i wiernie, dosłuży się czego?
Ot, noszę dzisiaj dzbany albo misy
Z kuchni do stołu, tak jak je nosiłem,
Gdym wszedł do służby.

Król. Jesteś ty szlachcicem?

Masław. Jestem — tak dobrym, jak pierwszy twój hetman
Lub wojewoda, chociaż jak Job biednym.

Król. Ażebyś nie mógł na mnie się uskarżać,
Zrobię cię mego dworu urzędnikiem,
Moim podczaszym.

Masław. Mam to brać za prawdę?

Król. Kiedy tak mówię, prawdą to być musi.

Masław. A więc dziękuję. Lecz, szlachetny królu,
Niedość mi na tem. Na pstrym jeździ koniu
Łaskawość pańska; dziś rzeknie się słowo,
Jutro ochota przyjdzie je odmienić —
Znam ja się na tem. Dla lepszej pewności,
Każ mi więc, królu, dać na to pergamin.

Król. Czy mi nie wierzysz?

Masław. Czemużbym nie wierzył?
Lecz wierzę mocniej, gdy czarne na białem
Mam w swoim ręku.

Król. Hej, każ tam pergamin
Niedowiarkowi temu dać, marszałku.

(*Marszałek wychodzi*).

Masław. Dzięki ci, królu. No, mój lichy kabat
Będzie się teraz wstydził swego pana

I jego nowej godności! Dalipan,
Piękny podczaszy będzie teraz ze mnie,
W tej wyszarzanej w przedpokojach sukni!
Ubierzże, królu, swego urzędnika,
Bo ci wstyd zrobi.

Król (*dając mu z siebie łańcuch*).
Ten łańcuch tymczasem
Niechaj zakryje lichotę twych sukien.

Masław. Ba, czyliż teraz nie gorzej wyglądam,
Jak wyglądałem? Przy złotym łańcuchu
Wyszły na widok wszystkie szwy i plamy,
Jak gdyby słońce weszło nad śmietnikiem.
(*Do jednego z Dworzan*).
Panie kolego, może będziesz łaskaw
Swojej mi delii pożyczyć, bym przecie
Lepiej się trochę wydać mógł przy tobie.
(*Zdejmuje z niego delią i kładzie na siebie*).
Teraz wyglądam podobny do ludzi,
Nieprawda, królu? Dla lepszej powagi
Jeszcze mi tylko brakuje kołpaka
Z sokolem piórem. (*Do drugiego z Dworzan*).
Bądź tak grzeczny, panie,
Na chwilę czapki mi swojej pożyczyć.
Co, czym każdemu z was teraz nie równy?
Widzicie, jak to niewiele potrzeba,
Aby z pachołka zrobił się wielmożny.

Król. Wyborny jesteś, mój panie podczaszy,
I sobie umiesz radzić, i mnie bawić.
(*Marszałek wchodzi i daje Masławowi pergamin*).

Masław. Dziękuję. Będę się starał podobną
Oddać wam grzeczność, gdy się pora zdarzy.

Król. Lecz cóż to? Stoły jeszcze nie gotowe,
Już jest tak późno i głód nam dokucza.

Marszałek. Przebacz mi, królu, tę niedługą zwłokę,
Zaraz podadzą.

Masław. Mój mości marszałku,
Źle bardzo robisz, gdy na głód wystawiasz
Żołądek króla. Wiesz, co Niemcy mówią?

Że Polak zły jest, kiedy mu się jeść chce.
A kiedy król zły... (*Trzęsie głową jakby z ubolewaniem. Służba wnosi misy i dzbany*).

Marszałek. Wszystko już gotowe:
Niech miłościwy pan do stołu siądzie.

Król. Dalej, siadajmy, za mną, towarzysze!
Do tego szturmu chętniej pobiegniecie
Niż tam, gdzie z włócznią i siekierą sprawa.
Dalej do stołu! (*Król i inni siadają do stołu*).

Masław (*do jednego, który siada przy Królu*).
Ho, za pozwoleniem!
Niechno się waćpan z tego miejsca ruszy,
Przy królu pierwszy ja muszę zasiadać,
Z mego urzędu to mi się należy.

Król. Usuńcie mu się. Siądź, Masławie, przy mnie.

I Dworzanin (*n. s. do drugiego*).
Coś prędko głowę on w górę zadziera!

Masław (*usiadłszy przy Królu*).
Teraz dopiero żyjemy.

Król. Co mówisz?

Masław. Mówię, że teraz dopiero żyjemy,
I znowu, królu, tego ci dowiodę.
Wszakże najmędrszą z wszystkich ksiąg jest biblia,
A w biblii wiecie, która myśl najmędrsza?

Król. Gdy wiesz, to powiedz, bo tu niema księdza
Pomiędzy nami.

Masław. To najmędrsze zdanie:
Jedz, pij i z żoną żywota zażywaj!
To cała mądrość i to twoje życie!

Król. Wyborne zdanie — któż je to powiedział?

Masław. Ten, który także najmędrszy był z ludzi,
Wielki Salomon, król Jerozolimy.

Król. Król królom może najlepszą dać radę...
A o zwycięstwach i o wielkich czynach,
O głośnej sławie i dobru ojczyzny
Nic tam nie mówi?

Masław. I owszem, powiada,
Że to jest marność, jak wszystkie marności.

Król. Dobrze powiada! O mądry Salomon!
Musiał doświadczyć, że z wielkich przedsięwzięć
Wielkie zgryzoty dla nas urość mogą,
Że niżej spada, kto wysoko dążył —
Mądry Salomon!

Masław. Królu, dosyć tego!
Korzystaj z rady króla Salomona,
A źródeł jego mądrości nie badaj.
Świeży ten puhar nalewam dla ciebie...

Król. Daj go! — Pij tęgo, mówił król Salomon —
Święte to słowa! — pijcie wszyscy wkoło! (*Piją*).

I Dworzanin (*n. s.*)
Patrzcie, jak Masław z królem poufale,
By z równym sobie, rozmawia po cichu.

2 Dworzanin (*n. s.*)
Przez niego wszyscy z łaski wypadniemy,
Trzeba mu schlebiać, aż go znów fortuna...
(*Kończy gestem*).

Masław. Dla mej miłości, wypij jeszcze, królu,
Za moje zdrowie przy nowym urzędzie.

Król (*wstaje z puharem*).
Hej, towarzysze, za moim przykładem
Wychylcie z pełnej zdrowie podczaszego,
Który tak dobrze poi nas i bawi.
Niech żyje!

I Dworzanin. Setne lata niechaj żyje,
Ozdoba państwa i tronu podpora,
Niech żyje! (*Piją, muzyka gra na wiwat*).

SCENA 2.

Król. Masław. Marszałek. Dworzanie. (*wchodzi*) *Sekretarz królowej.*

Sekretarz (*do Marszałka*). Panie marszałku, do króla
Mam od królowej jedno krótkie słowo.

Marszałek. By mu przerywać, król tego nie lubi,
Lecz mówcie sami, skoro taki rozkaz.

Masław (*obracając się*) Cóż tam nowego?
Sekretarz. Od królowej pani
Prośbę przynoszę, aby król jegomość,
W ważnych i zwłoki niecierpiących sprawach,
Do jej komnaty raczył przyjść niebawem.
Masław. Jakież ważniejsze król może mieć sprawy
Nad te, któremi teraz zatrudniony?
Bo wiem, że można obyć się bez wojen,
I bez traktatów, bez narad ministrów,
Bez wyprawiania poselstw i tam dalej —
Lecz nie słyszałem, by kto dotąd w świecie
Mógł się bez jadła i bez picia obyć.
Król. Dzielny Masławie, rzekłeś co myślałem.
(*Do Sekretarza*). Powiedz swej pani, że w obecnej
[chwili
Nie mam ni czasu ani wolnej głowy
Do interesów. Jeśli co nagłego,
Niech raczy sama tę sprawę załatwić,
A co uczyni, ja naprzód pochwalam.
Sekretarz. Taka królewska wola?
Masław. Tak, mój panie. (*Sekretarz wychodzi*).

SCENA 3.

Król. Masław. Marszałek. Dworzanie.

Król. Powróćmy jeszcze do naszego króla.
Mnie się wydaje, że ów król Salomon,
Gdy wypowiedział tę myśl taką mądrą,
Musiał być w takiem jak ja położeniu,
Albo w podobnem. Musiał czuć w swej duszy
Jakąś do świata niechęć, musiał zwątpić
O sobie samym i widzieć, że wrogom
Swym nie poradzi — więc dał za wygraną
I w duszy sobie powiedział: niech będzie
Co chce! — ja nie mam już siły odmienić
Porządku rzeczy... A nie wiesz, Masławie,
Czy ten Salomon cierpiał co w swem życiu,
Czy może doznał jakich upokorzeń?...

Masław (*do Służby*).
Hej, wina tutaj dla królewskiej mości!
(*Do Króla*) Na twe pytanie nie wiem odpowiedzi,
Lecz wiem, że trunek dobry na frasunek.
Król. Lej, lej po brzegi! (*Pije*) Dobrze powiedziałeś,
Piłem zbyt mało i dlatego bredził,
Teraz uczuwam, że rozum przychodzi.
Pijcie kto dobrze swemu panu życzy
I kto mnie kocha!
(*Trąca się — piją; muzyka gra za sceną*).

SCENA 4.

Król. Masław. Marszałek. Dworzanie. (*Bocznemi drzwiami wchodzą*) *Ryksa. Graf Gero i Graf Otto.*

Ryksa. Znowu pijatyka!..
Prawda, że naród to samych opojów!
Jeden z Dworzan (*przy stole, półgłosem*).
Królowa przyszła.
Król. Co wy tam szeptacie?
Marszałek. Łaskawy panie, królowa w komnacie.
Ryksa (*zbliża się do stołu*).
Tak jest. Prosiłam, abyś do mnie przybył,
Gdy odmówiłeś, ja tu przyjść musiałam.
Proszę cię, panie, porzuć biesiadników
I poświęć chwilę na rozmowę ze mną.
Król (*podchodzi do niej*)
Czegóż więc żądasz? czyż nie mogłaś sama
Zrobić co trzeba? Wszakże na twą głowę
Więcej się spuszczam, niż na swoją własną.
Ryksa. Nie wstydże tobie, abym cię musiała,
Kiedy o sprawy chodzi twej korony,
Szukać w czeredzie rozpustnych pijaków?
Wszak tyle razy o to już błagałam,
Abyś szanował majestat królewski
I w takiem błocie nie szargał purpury.
Myśl twa tępieje w tej ciągłej rozpuście,

Godność upada, a nawet twe zdrowie
Dużo już szwanku poniosło przez życie
Tak nieporządne, nieumiarkowane,
Którego skutkiem są tylko choroby
I niedołęstwo, zawczesne w twym wieku.

Król. Dosyć, królowo — karcisz mię jak żaka;
Tyle już razy byłem ci posłuszny
We wszystkich rzeczach i wielkich i ważnych,
Więc chociaż w małych niechże mam swobodę.
Lecz dajmy pokój niepotrzebnym swarom.
Czego żądacie? mówcie — bo tam na mnie
Czekają goście niecierpliwem sercem.

Graf Gero. Udało nam się nakoniec zniweczyć
Ostatni zaród buntu w twojem państwie.
Zbysław i Mojmir, zuchwali mordercy
Przeszłego króla, którzy i twej władzy
Nie chcieli uznać, trwając do ostatka
W swej zuchwałości, przyparci do granic
Twego królestwa, zostali pobici
I pochwyceni. Ten czyn bohaterski
Grafa Ottona jest zasługą, królu.
On to, na czele cesarskich żołnierzy,
Których w posiłki nasz pan tobie przysłał,
Twój tron zachwiany podparł i ocalił.

Graf Otto. W kajdany skutych przywiodłem ci obu
Tych buntowników do twojej stolicy:
Teraz pokorni stoją u twych progów —
Reszta już, krolu, do ciebie należy.

Ryksa. Czekamy teraz twojego wyroku,
Co z nimi począć i jak ich ukarać.

Król. Róbcie i dalej, jak wam się podoba —
Zdaję to na was. Tak jak wy zrobicie,
Będzie najlepiej.

Ryksa. Jednak oni muszą
Twoim wyrokiem zostać ukarani,
I dłoń królewska powinna ich dotknąć
Za grzechy przeciw królom dokonane·

Grafie Ottonie, każ ich tu wprowadzić,
Król będzie sądził. (*Graf Otto wychodzi*)

Król. Trudzisz mię zbytecznie
I niepotrzebnie. Niewielką przyjemność
Mi zgotowałaś takiem zatrudnieniem,
Gdy chodzi o to, by zdjąć komu głowę.

SCENA 5.

Król. Ryksa. Graf Gero. (Wchodzi) Graf Otto (za nim) Zbysław i Mojmir (w kajdanach, przy nich) Straż. (W głębi) Masław. Marszałek. Dworzanie.

Graf Otto. Oto są więźnie.

Zbysław. Królu nasz i panie,
Jesteśmy w twojej mocy i postąpić
Możesz tak z nami, jako zasłużyły
Wielkie przestępstwa, wielkie winy nasze,
I twa surowość zwać się tylko będzie
Sprawiedliwością. Zgrzeszyliśmy ciężko
Po dwakroć. Najprzód, kiedy przeciw tobie
Zdrady i buntu się dopuściliśmy,
Stając po stronie niegdyś Bezbraima;
A potem znowu, gdyśmy w krótkim czasie
Tegoż samego Bezbraima zabili.
Lecz druga wina mniejsza jest od pierwszej,
Bośmy zadali śmierć tylko w obronie
Własnej całości.

Król. Bądźcie dobrej myśli,
Ja do was żadnej nie czuję urazy.
Co mi mówicie, wszystko to są rzeczy
Bardzo już dawne — one już należą
Do tej przeszłości, od której odmienną
Jest teraźniejszość. Pierwszy wasz występek
Ja wam przebaczam; za drugi jedynie
Wdzięcznym być mogę, bo gdybyście byli
Nie pozbawili Bezbraima życia,
Czyż byłbym królem dzisiaj?... Więc powiadam:
Jesteście wolni, idźcie!

Zbysław. Najłaskawszy,
Najszlachetniejszy z królów, przyjmij dzięki!
Mojmir. Już w pierwszej chwili, kiedy powróciłeś
Do swego państwa, bylibyśmy kornie,
Przez doświadczenie smutne poprawieni,
Do twoich kolan jak teraz upadli,
Gdyby nie bojaźń twej zemsty i kary;
Ta nam jedynie miecz do rąk podała
I wytrwać w buncie kazała do końca.
Król. Wszystko przebaczam, wracajcie do domów.
Ryksa. Wstrzymaj się, królu, zbyt pospiesznie działasz.
Cesarza wolą jest, abyś ich skarał,
Bo przez ich czyny i on obrażony,
Gdy ośmielili targnąć się na tego,
Który z rąk jego koronę otrzymał
I był niejako jego pomazańcem.
Graf Otto. Oni skarani muszą być koniecznie.
Potoż za nimi gnałem w kraj daleki,
Życia cesarskich nie szczędząc żołnierzy,
Aby bezkarnie mogli się natrząsać
Ze mnie i z groźby mojego cesarza?
Graf Gero. Zmień, królu, wyrok — w imieniu cesarza
Żądamy tego, jako komisarze
Cesarscy. Gdybyś posłuchać nas nie chciał,
Odpowiedzialność ciężka ciebie czeka.
Król (*do Zbysława i Mojmira*).
Miałem chęć szczerą przebaczyć wam wszystko,
Ale widzicie... cesarz nie pozwala!...
Więc wyższej woli poddać się musicie. —
Gdy tak chce cesarz, wyznaczcie im karę,
Potwierdzę każdą.
Ryksa. Lekka będzie kara
I stokroć lżejsza od ciężaru winy,
Gdy pozbawieni wszystkich swych majątków,
Wszystkich zaszczytów, począwszy od tego,
Jaki szlacheckie daje urodzenie,
Na wieczne czasy pójdą na wygnanie.
Król. Niech więc tak będzie!

Ryksa. Jesteście skazani.
Precz ztąd, nędznicy! (*Zbysław, Mojmir i Straż wychodzą*).

SCENA 6.

Król. Ryksa. Graf Gero. Graf Otto. (W głębi) Masław. Marszałek. Dworzanie.

Król. Rzecz zatem skończona.
Czy jeszcze czego żądacie ode mnie?
Graf Gero. Tak, nieinaczej. Właśnie dobra pora,
Gdyś przed oczami miał świeże usługi,
Przez mego pana tobie wyświadczone,
Powiedzieć, jakie są jego żądania...
Król. Jakto, znów cesarz ma jakieś żądania?...
Na wszystkich świętych! kiedyż ich zabraknie?
No, mówcie — słucham.
Graf Gero. Żądania to słuszne,
Nic więcej w sobie nie obejmujące,
Jak to, co prawem jemu się należy.
Za liczne straty i krzywdy przez najazd,
Jakiś uczynił niegdyś w jego państwo,
Niemieckiej ziemi niecnie wyrządzone,
Jakoteż za tę, której ci udzielił
W obecnych czasach, dobroczynną pomoc
Wynagrodzenia od ciebie wymaga
Nasz pan łaskawy..,
Król. A więc o to chodzi?
I cóż to ma być tem wynagrodzeniem?
Graf Gero. Cesarskie chęci nie idą daleko:
Masz oddać jemu nadelbiańskie księstwo
I magnopolskie hrabstwo...
Król. Tylko tyle!
I ty to zowiesz niewielką nagrodą?...
Jesteście bardzo skromni!.· Hej, podczaszy,
Podaj mi kielich!
Ryksa. Co czynisz?..· Uszanuj
Powagę chwili i tych ludzi godność!

Król. Daruj mi, pani. Bym połknął pigułkę,
Którą mi dali, muszę ją czemś popić.
(*Masław zbliża się z dzbanem i kielichem*).
Pójdź tu, Masławie.

Ryksa (*do Masława*).
Odejdź stąd z tym dzbanem!

Masław. Pan mój mi kazał, pana słuchać muszę,

Ryksa. Ja zakazuję...

Masław. Powinnaś pamiętać,
Królowo pani, żeś mu przy ołtarzu
Przysięgła także swoje posłuszeństwo.

Ryksa. Milcz, śmiałku! — Kto jest ten zuchwały człowiek?

Król. Bądź dlań uprzejmą — to jest mój najlepszy
Towarzysz.

Ryksa. Hańba zwać podobnych ludzi
Towarzyszami!

Masław. Pani, miarkuj słowa!
Ja jestem szlachcic i urzędnik króla.

Ryksa. Wszyscy jednacy jesteście w tym kraju:
Hardzi, zuchwalcy, gbury i opoje,
Naród niesforny, którym trudno rządzić!

Masław (*obracając się do siedzących przy stole*).
Słuchajcie, moi mili towarzysze,
Jak to królowa nasz naród traktuje.
A jednak słodko rządzić, choćby zgrają
Takich opojów!...

Ryksa (*do Króla*). Rozkaż mu stąd odejść,
Niech nie ubliża i mnie, i obecnym!

Król. Oddal się, proszę, nie drażnij królowej.
Musimy żyć z nią w jak najlepszej zgodzie,
Inaczej ciężkie byłyby kłopoty. (*Masław odchodzi w głąb*).

Graf Gero. Powracam tedy do naszej rozmowy,
Przerwanej w sposób tak nieprzyzwoity.
Cesarz mieć pragnie nadelbiańskie księstwo
I magnopolskie hrabstwo...,

Król. Chryste Jezu!

Cesarz mnie pragnie obedrzeć ze skóry!
Straciłem Czechy już, Ruś i Morawy,
A teraz jeszcze dwa tak piękne kraje!...
Jeśli tak dalej państwo me okrawać
Będziecie chcieli, wkrótce mi zostanie
Tyle, że płaszczem je całe pokryję.

Ryksa. Lepiej jest mniej mieć, ale mieć bezpiecznie.
Cóżby ci przyszło z wielkich ziem obszarów,
Gdybyś miał na nich pełno buntowników,
Z którychby każdy był osobnym królem?
Cesarz ci oddał kraj uspokojony;
Za tę przysługę warto coś poświęcić,
Chociażby kosztem kawałka swej ziemi.
Z tego powodu ja ustępstwo radzę,
Bo drogą zawsze jest przyjaźń cesarska.

Graf Gero. Gdy tych warunków nie przyjmujesz, królu,
Orężem chyba odzyskasz te kraje,
Bo dziś już dobrze one obsadzone
Cesarskiem wojskiem.

Król. Pocóż więc pytacie,
Czy wam je oddam, gdyście sami wzięli?
Bierzcie je sobie, trzymajcie — przystaję!
Dajcie mi tylko pokój, niech odetchnę.
Straciłem tyle, mogę stracić więcej.
Dobrze już, zgoda! A co, czym nie mocarz?
Można mnie łupić na otwartej drodze,
A ja w zanadrzu trzymam pięść bezczynną!
Bywajcie zdrowi!
(*Odchodzi od nich ku biesiadnikom*).
Masław, Masław, wina,
I dużo wina! Mam wielkie pragnienie,
Do cesarskiego podobne pragnienia!

Ryksa. Smutny upadek jest tego człowieka!
Zawsze namiętność miała w jego piersi
Swoje siedlisko — i oto czem stał się!

Graf Gero. Widzimy, pani i dzielim twój smutek.
A teraz pozwól, że cię pożegnamy,
By cesarzowi zdać co prędzej sprawę.

Ryksa. Bywajcie zdrowi. Myślę, że już odtąd,
Pod baczną pana waszego opieką
I przy pomocy, jakiej mu udziela,
Ten kraj do ładu i spokoju przyjdzie.
Graf Otto. Oby spełniły nieba twe życzenia!
(*Ryksa i obaj Grafowie wychodzą*).

SCENA 7.

Król. Masław. Marszałek. Dworzanie.

Król. Cóż, nie pijecie? czemuście pomilkli?
Myślicie, żem jest smutny?... Ha, wy głupcy,
Wy serc królewskich nie znacie — nie bije
Krew purpurowa w waszych podłych piersiach!...
Pijcie, na imię Chrystusa! na imię
Pogańskich bogów! — w imię bóstw wszelakich,
Co były kiedyś, będą lub są w niebie
I tu na ziemi! (*Pije*).
Masław. Pijmy! — to wezwanie
Słodkie dla uszów i dla gardeł naszych.
Jeden z Dworzan (*do Masława*).
Patrz, jak król pobladł!...
Masław. Nic — to zaraz przejdzie.
Król. Święcimy dzisiaj — wiecie co?... dzień hańby!
Król, co nie może tryumfów odprawiać,
Niech święci hańbę, klęski i upadek —
To wszystko jedno!... byle były gody,
Byle się wina rozlewały strugi!
Więc wznieście toast: za mą hańbę!...
(*Podnosi puhar, puszcza go i upada na krzesło*).
Pękaj me serce! (*Obecni powstają, robi się zgiełk*).
Marszałek. Król chory!... ratujcie!
Odsunąć stoły!
(*Służba odsuwa stół z przed Króla*).
I Dworzan. Jak się strasznie pręży,
Oczy biegają mu jakby jaskółki
Przed burzą!...

2 Dworzan. Znowu przyszła ta choroba,
W jaką zapada od niedawnych czasów.
Król. Hańba i hańba!...
Masław. Czy ci tak źle, królu?
Król. Jezu mój, Jezu!...
Jeden z Dworzan. Jak okropnie jęknął,
Jak gdyby piersi rozpaść mu się chciały!
Oj, biedny król nasz!
Marszałek (*do jednego z Dworzan*).
Biegnij do królowej,
Mów, że król chory — niech woła lekarzy!
(*Dworzanin wychodzi*).
Masław (*rozpinając Króla*).
Trzeba mu trochę więcej dać powietrza,
Dobrze. A teraz barki nagotujcie
I nieście króla do jego sypialni.
(*Dworzanie wynoszą Króla na krześle, inni wychodzą*).
Masław (*sam*). Szczęście, że w rękach został mi pergamin;
Mogę spokojniej teraz wyczekiwać
Cokolwiek będzie. Wyszedłem wysoko
Przez jakiś kaprys, albo cud fortuny,
I spaść napowrót byłoby mi przykro...
Widziałem bardziej od siebie niegodnych,
Którzy jednakże jeszcze wyżej stali....
Człowiek wart tyle, ile się sam ceni,
I głupiec tylko nie zna swojej ceny.
Jestem ubogi i nizkiego rodu,
Prawda! — lecz głowę mam i serce śmiałe...
A gdy król umrze? Ha, nie ugnę czoła
Przed tą Niemkinią, co w kobiecym kształcie
Kryje naturę jędzy i mężczyzny
I której właśnie dlatego niecierpię,
Jakbym niecierpiał siebie, gdybym poczuł
Jakieś przymioty babskie w swej naturze!
(*Wychodzi*).

Zmiana. Sypialnia Króla. U pułapu zawieszona lampa. W głębi szerokie łoże za kotarą, na którem leży Król. Przy łożu dwaj Lekarze, zakonnicy benedyktyńscy, stoją i patrzą na chorego).

SCENA 8.

Dwaj Lekarze (później) Marszałek.

I. Lekarz. I cóż nasz chory?
2. Lekarz. Niby śpi pozornie,
Ale to sen jest nietrwałej natury,
Ciało spoczywa, a duch się mocuje.
I. Lekarz. Jakiemiż leki możnaby poskromić
Taką chorobę?
2. Lekarz. Jak mi doświadczenie
Długich lat mówi, to tu ludzka sztuka
Ustąpić musi nadziemskim potęgom.
Zły duch w tem ciele wyprawia swe harce,
Chyba Bóg jeden może go stąd wygnać,
Nie nasze zioła i nasze mikstury.
I. Lekarz. Niewiele, widzę, masz o nim nadziei.
2. Lekarz. Bardzo niewiele.
(*Zasuwa kotarę, odstępując od łoża*).
Pójdźmy się orzeźwić
Po tej fatydze. Będzie spał na chwilę,
Przez ten czas czujność nasza niepotrzebna.
I. Lekarz. Chętnie wam będę towarzyszył, pater.
(*Wchodzi Marszałek*).
2. Lekarz (*do Marszałka*).
Wrócimy zaraz. Gdyby coś nagłego
Tu się zdarzyło, będziemy w ogrodzie,
Przyślijcie po nas. Laudetur.
(*Kłaniają się i wychodzą innemi drzwiami*).

SCENA 9.

Dobrówka. Marszałek.

Marszałek (*mówi przez drzwi, któremi wszedł*).
Ostrożnie!
Można wejść — niema nikogo.
Dobrówka (*wchodzi, wskazując na łoże*).
On tam jest?

Marszałek. Tak. Lecz pamiętaj, gdy cię tu zobaczą,
Królowej gniewu pewnie nie unikniesz.
Dobrówka. Nikt mię nie widział, kiedym przychodziła,
I dzisiaj niktby mię tutaj nie poznał,
Ni w takim stroju, ani z taką twarzą.
Nie odmawiajcie mi tej wielkiej łaski!
Król chory — niechże go chwilę zobaczę.
Marszałek. Król śpi,..
Dobrówka. Nie bój się, ja go nie obudzę,
Powstrzymam oddech w piersiach i na palcach,
Jak cień bez ciała, przystąpię do łoża;
Niech tylko chwilę popatrzę na niego
I oczy drogim napoję widokiem,
Niech się przekonam, czy na jego licach
Widać zwycięstwo życia, czyli śmierci —
Tego chcę tylko.
Marszałek. Ale bądź ostrożna!...
Ja się oddalam, by odpowiedzialność
Nie spadła na mnie. (*Wychodzi*).

SCENA 10.

Dobrówka (*później*) *Król.*

Dobrówka (*zbliża się do łoża i odsuwa kotarę*).
Ach, jak straszny widok!
Ta blada, sina twarz, do prochu ziemi
Taka podobna, czyliż to oblicze
Mego kochanka, rumieńcem błyszczące?
W tych ciemnych brózdach, które ją zorały,
Iluż to cierpień widoczne są ślady!
A więc nie tylko jam jest nieszczęśliwą,
I ty nim jesteś!... Bezlitosne bogi
Nie chciały przyjąć mego poświęcenia...
Siebie im chętnie dawałam na pastwę,
Byle mi tylko ciebie oszczędziły,
Lecz one dłoń swą, ludzkich łez niesytą,
Na twoją także wyciągnęły głowę!...
Daj mi swą zimną rękę ucałować,

Niechaj ją zroszę mym serdecznym płaczem:
Gdy się przebudzisz i łzę na niej znajdziesz,
Może ci szepnie który z dobrych duchów,
Że tu przy tobie konającym była
Ta, co dla ciebie za życia umarła.
(*Klęcząc całuje Króla w rękę*).

Król (*budzi się*). Ha, czy już? czy już?..,

Dobrówka (*powstaje prędko przestraszona*.
Bogi! on się zbudził.
Jam mu przerwała sen tak dobroczynny...

Król (*zrywa się i wychodzi z łoża*).
Do Merseburga!... Dobrze!... jedźmy — jedźmy!..
Wielki cesarzu, przebacz mi — przyjm hołd mój,
Ja źle czyniłem, byłem buntownikiem!
Żałuję... w piersi się biję... poprawę
Przyrzekam tobie — jestem twym wasalem!
Patrz, na kolanach hołdy tobie składam!...
Nie zważaj na to, że mi serce pęka
I mózg się pali!... Ha, cóż to strasznego,
Że muszę sobie powiedzieć: o, jakiż
Nikczemnik ze mnie!...

Dobrówka. O królu mój, królu,
Jakże ty cierpisz!

Król. Precz, precz, precz ode mnie!...
Czego wy chcecie jeszcze?... całą Polskę
Oddam wam — całą!... tylko precz odejdźcie!
Niech was nie widzę, nie słyszę. — Precz, precz [stąd
Niecne potwory!,.. Jak wy mnie dusicie
Strasznie za gardło!... duszę wyciśniecie!
Litości, Jezu!

Dobrówka. O, litości, nieba!
To ja, Dobrówka. Przyjdź do siebie, królu!
Nie mogłam dłużej żyć, nie widząc ciebie,
Bałam się, by mi cię śmierć nie wydarła
Wprzód, niżbym raz cię ostatni widziała.
To ja, Dobrówka, ja mówię do ciebie!
Czy już mojego nie poznajesz głosu?

Król. Kto tu jest przy mnie?
Dobrówka. To ja, ja Dobrówka.
Król. Dobrówka?.. Któż to?.. Tak, ja niegdyś znałem
To imię... Pozwól, niech ci się przypatrzę,
Może cię poznam — choć to już tak dawno,
Tak dawno, jak to słyszałem nazwisko...
Od tego czasu wieki upłynęły.
Dobrówka. Przypatrz się, królu. Też same to rysy,
Chociaż je bladość cierpienia przyćmiła.
Król. To ty!... poznaję. Ale ty zapewne
Mnie nie poznajesz?
Dobrówka. Poznaję cię, królu.
Król. To mnie zadziwia. Przecież od tych czasów
Ja się tak bardzo zmieniłem — ja nie ten,
Którego niegdyś znałaś — jam już inny.
Wtenczas wierzyłem jeszcze w wielkie czyny,
Czułem potęgę w swych piersiach — myślałem,
Że będę wielkim, będę dobrym królem...
Ciężar korony złamał moje siły,
I czemże jestem?... Trawię czas na ucztach,
W podłej gnuśności, w nikczemnej rozpuście,
Jak nędzny robak cieszę się, że żyję,
Chociaż deptany obcemi nogami...
Hańba powszednią teraz moją strawą
I dobrze tuczę się na tym pokarmie...
Och, to jest boleść nad wszystkie boleści!
Dobrówka. Zapomnij o tem, miej litość nad sobą!
Nie winy twoje, ale twe nieszczęścia
Przywiodły ciebie do tego upadku...
Król. Ach, jak znieść hańbę i ten wstyd ogromny!
Mą sławą kiedyś będzie znikczemnienie...
Niegodne imię zostawię po sobie!
Och, los to straszny!.. Daj mi dłoń! Ach, źle mi!
Me żyły ogniem piekielnym goreją...
Dobrówka. Przestań już mówić, to cię uspokoi,
I wróć do łoża, by siły pokrzepić.
Król. O nie, nie, na to ty mnie nie namawiaj,
Za wszystkie skarby świata tam nie wrócę,

Nie! Tam mię dręczą duchy i widziadła...
Posłuchaj... coś ci powiem — lecz milcz o tem,
Ni słowa o tem przed innymi ludźmi!...
Przy moich nogach stoi tam mój ojciec,
Mój wielki ojciec, jak lew zagniewany,
Patrzy wciąż we mnie — a gdy jego wzroku
Znieść już nie mogę i zamykam oczy,
Budzi mię głosem: wstawaj nikczemniku!
Coś zrobił z państwem, które ci oddałem?
Czemuś zbezcześcił mą sławną koronę?
Nie spoczniesz odtąd ani w piekła cieniach,
Wstań, ty przeklęty!... Tak on mówi do mnie...

Dobrówka. Bogowie, zleczcie jego biedną duszę!

Król. Czy ty go widzisz — tam?...

Dobrówka. Królu, tyś w błędzie,
Niema nikogo — to mary twych zmysłów...

Król. Kłamiesz, bezczelna! — on tam jest! Czy widzisz?
Idzie tu — do mnie się zbliża.. Litości!
Nie dręcz mię, duchu! (*Cofa się*).

Dobrówka. Och ty nieszczęśliwy!

Król. Spojrzenia twego dłużej nie wytrzymam!
Jak dwa sztylety padają w me serce
Twoje źrenice!... Wolę iść do piekła,
Niż dłużej cierpieć te męki na ziemi...
Ha, gdzież się schronię i dokąd ucieknę?
Precz, straszna maro!

(*Drżąc, cofa się coraz dalej — przy ostatnich słowach chwyta za framugę okna, jakby chciał wyskoczyć*).

Dobrówka (*uderzając rękami w drzwi prowadzące do innych komnat*). Na pomoc, na pomoc!

SCENA 11.

Król. Dobrówka (wchodzą) Ryksa. Dwaj Lekarze. Marszałek i trzech Dworzan (później) Masław i inni Dworzanie.

Ryksa (*we drzwiach*).
Prędzej biegnijcie i pochwyćcie króla!

Pod oknem przepaść. (*Marszałek i Dworzanie chwytają go, Król się szamoce*).

Król. Ostre wasze szpony,
Piekielne duchy!... Powietrza! powietrza!

(*Sadzają go na krześle. Lekarze zbliżają się do niego, jeden z nich bierze go za puls*).

Ryksa (*patrząc na Lekarza*). I cóż, mój ojcze?...

Król (*rzucając się konwulsyjnie*). O Chryste!

Lekarz. Już ducha
Wyzionął. (*Dworzanie trzymający Króla odstępują go*).

Ryksa. Straszne są wyroki Pańskie!
Z pokorą głowę przed nimi uchylmy
I dla tej duszy błagajmy litości
Na drugim świecie, po tej ciężkiej karze,
Jaka go tutaj na ziemi spotkała.
Królewskim płaszczem okryjcie to ciało.

(*Dworzanie zarzucają na Króla płaszcz purpurowy*).

A teraz winni niechaj odpowiedzą.
Nienaturalny jest powód tej śmierci,
Tak niespodzianej i w tak wczesnym wieku.
Zbrodniarzy widzę tutaj w tej komnacie:
Zbrodniarką jest ta pogańska dziewczyna,
Która, jak wszyscy poganie, na czarach
I na truciznach zna się doskonale.
(*Wskazuje na Masława*).
Zbrodniarzem także jest i ten nikczemnik,
Który nawodził króla na złe drogi,
Bo do pijaństwa i wszelkiej rozpusty.

Masław. Zemsta twych rządów ma pierwszym być czynem,
Pyszna niewiasto? — Hej, dzielni Lechici,
Będziecież znosić rządy cudzoziemki,
Która wam wszystkim zemstę poprzysięgła
I ma w pogardzie wasz ród i obyczaj?
Pod takie jarzmo nie oddam mej głowy,
A kto jednako ze mną myśli, niechaj
Wraz ze mną idzie! (*Wychodzi*).

Ryksa. Chwytajcie zuchwalca,
Niech za swe czyny i słowa odpowie!
(*Kilku Dworzan wychodzi za Masławem*).
Bierzcie tę dziewkę. Może na torturach
Wyzna, jakiemi szatańskiemi sztuki
Króla rozumu i życia zbawiła.

Dobrówka. Ha, na torturach!... Raczej wolną duszę
I wolne ciało śmierci zaraz oddam,
Niżbym je miała dać nieprzyjaciółce
Na nasycenie zemsty i zawiści!
(*Biegnie do okna i staje na niem*).
Patrz! kiedy spadnę z tych wysokich murów
Tam na dół, nawet mych kości nie znajdziesz.
(*Skacze*).

Ryksa. Więc potępiona, umieraj na wieki!
(*Dworzanie wracają*).
Czy już schwytany?

Jeden z Dworzan. Pani, Masław uciekł,
A z nim tłum szlachty, krzyczący po mieście:
Nie chcemy Ryksy! precz z niemiecką księżną!

Ryksa. Do miasta ściągnąć ze wszech stron żołnierzy,
Jak w czasie wojny zamek obwarować,
To me rozkazy. A teraz ogłaszam,
Że królem polskim jest odtąd Kazimierz,
Syn Mieczysława i że póki do lat
Pełnych nie dojdzie, pod moją opieką
Sprawować będzie rządy w tem królestwie.

FOCYUSZ.

TRAGEDYA W 5 AKTACH.

OSOBY:

Justynian, cesarz wschodnio-rzymski.
Teodora, jego żona.
Anastazy, jego krewny.
Belizaryusz, wódz cesarski.
Joanna, jego córka z pierwszego małżeństwa.
Antonina, żona Belizaryusza.
Focyusz, jej syn z pierwszego małżeństwa.
Teodozy, wychowaniec Belizaryusza.
Buzes, **Marcellus** } wodzowie.
Lucyusz, **Hektor** } centuryonowie.
Kaligon, powiernik Antoniny.
Fenissa, służąca Antoniny.
Pierwszy Obywatel.
Wysłannik Focyusza.
Sługa Belizaryusza.
Zbir.
Żołnierze, Obywatele, Dworzanie.

Rzecz dzieje się w Konstantynopolu w VI w. po Chr.

FOCYUSZ.

AKT PIERWSZY.

Wielka sala w pałacu cesarskim. Dwoje drzwi: jedne po kilku stopniach prowadzące do dalszego mieszkania, drugie na ulicę.

SCENA 1.

Kaligon i Zbir (stoją przy oknie i patrzą na ulicę).

Kaligon. Widzisz go dobrze?
Zbir. Widzę.
Kaligon. Powiedz, kogo.
Zbir. Tego młodzieńca, przed którym gromada
Obywateli, zbliżając się, czapki
Do góry wznosi, a on właśnie do nich
Zaczyna mówić.
Kaligon. Dobrze. To jest Focyusz,
Pamiętaj sobie. Przedtem tyś go nigdy
Nie widział w życiu?
Zbir. Nigdy.
Kaligon. Ni on ciebie?
Zbir. Ni on mnie.
Kaligon. Dobrze. Tem lepiej. Uważaj.
Gdy Belizaryusz zbliży się przed pałac,
I gdy witając go głośnym okrzykiem
W najgęstszą ciżbę tłumy się natłoczą,
Do Focyusza przystąp wtedy szybko,
To pismo wetknij mu w rękę i nożem
W tej chwili rań go gdziekolwiek. W tej karcie

Tz napisane: »Milczenie jest złotem.
Strzeż się doświadczać, czy taż sama ręka,
Która dziś lekko cię kaleczy, może
Silniej ugodzić!« — Czytam ci dlatego,
Ażebyś wiedział, jaki cios wymierzyć.

Zbir. Tak, aby rana nie była śmiertelna.

Kaligon. Tak, nieinaczej. Masz teraz to pismo,
Idź na swe miejsce, a suta zapłata
Czeka cię pewnie, gdy się dobrze sprawisz.

Zbir. Pragnę zasłużyć na dobrą zapłatę. (*Wychodzi*).

Kaligon (*sam*). Stało się zadość woli mojej, pani:
Znalazłem łotra, dałem mu instrukcye,
Wszystko, nie wątpię, po myśli się uda.

SCENA 2.

Kaligon. Antonina i Anastazy z Orszakiem (wchodzą z ulicy).

Kaligon (*podchodzi do Antoniny*).
Pani, nasz człowiek ma go już na oku.

Antonina. Dałeś mu pismo, jasnoś wytłómaczył,
Jak ma postąpić?

Kaligon. Ni jednego słowa
Nie zapomniałem z twych rozkazów.

Antonina. Dobrze.
Trochę za mało, lub trochę za wiele
Mogłoby zepsuć cały skutek sprawy.

Kaligon. Idę zdaleka teraz dawać baczność.

Antonina. Idź. Nie zbyteczna nigdy jest przezorność.

(*Kaligon wychodzi*).

Antonina (*obracając się do obecnych*).
Nie widzę jeszcze Joanny przy sobie.
Idź, Anastazy! i sprowadź ją tutaj.
Pragnę, ażeby oczy Belizara
Od pierwszej chwili się przyzwyczaiły
Widzieć was zawsze oboje ze sobą.

Anastazy (*zbliża się*),
Łaskawą jesteś dla mnie, Antonino.
Wiem o tem dobrze, że po cesarzowej
Tyś jest najlepszą mą orędowniczką.
Niestety! choć się próżność męska wzdryga,
Muszę się przyznać, że waszej opieki
Bardzo mi trzeba, gdy serca Joanny
Zdobyć nie mogę własną moją siłą.
Dlaczego? Nie wiem. Widać jakieś fatum
I moc cudowna zakryły jej oczy,
Że nie spostrzega tych wielu przymiotów,
Które posiadam, które mi świat cały
Chętnie przyznaje, z wyjątkiem jej samej.
Antonina. Nie daj się, książę, zrażać kaprysami
Głupiej dziewczyny.
Anastazy. Jeśli rzec mam prawdę,
Ja też niewiele sobie z tego robię.
Lecz idę spełnić twoje polecenie. (*Wychodzi*).
Antonina (*zbliża się do okna*).
W ulicach tłumy ludu niezliczone —
Ich gwar i krzyki dziwnie odbijają
Od głuchej ciszy w cesarskim pałacu. —
Ha, to Kaligon!.. stanął jakby ujrzał
To co chciał widzieć — tak, ujrzał Focyusza.,.
To Focyusz! — jak mi złowrogo błysnęła
Ta twarz ponura przed oczami... Tak jest,
Do czego zmierza dzisiejsza przestroga
Zrozumie pewnie... On zdaje się wiedzieć
Więcej niż trzeba — kto wie, może wszystko!
W jego ściśniętych ustach, chmurnem czole,
We wzroku, który mych uczu unikał,
Widziałam groźbę dla siebie ukrytą,
Którąby może dziś, gdy mąż mój wraca,
Chciała ugodzić w mą głowę — o Boże!
I w głowę tego, który mi jest droższy
Nad własne życie!.. Ostrożnie, Focyuszu!
Dzisiaj ostrzegam; gdy będzie potrzeba,
Niemiłosierną byłabym w swym gniewie!

SCENA 3.

Antonina. Orszak. (Wchodzą) Anastazy i Joanna.

Anastazy *(wchodząc, do Joanny).*
Jak ci mówiłem, matka tutaj czeka.
Joanna. Żałuję, pani, że trudziłaś księcia,
Bo nie wołana byłabym tu równie
Przybyła sama, jak serce mi każe,
Aby powitać najlepszego z ojców.
Anastazy. To co wyrzekłaś, znaczy wyłożone
Na prosty język szczerości, że tobie
Me towarzystwo nie było przyjemne,
Że ci żal kilku słów rozmowy ze mną.
Ale cóż robić? Ileż my musimy
Znieść od was, zanim zasłużym na względy;
Płci czarująca i słodka, wrodzonym
Twoim przymiotem jest pono złośliwość.
Antonina. Źle postępujesz, Joanno, przyjaźni
Nie odpłacając księciu równą miarą.
Czasby poprzestać już tego uporu,
Który źle świadczy o twoim rozsądku.
Albo dlaczego w dniu takim szczęśliwym,
Jak jest dzisiejszy, jesteś tak pochmurna,
I na twej twarzy znać żal a nie radość —
Jestże to godne ojca powitanie?
Joanna. Ma twarz jest taką, jaką ją zrobiła
Ma dusza — kłamać nie potrafi uczuć,
Których w niej niema.
Antonina. Co za dziwna mowa!
Ktoś mógłby myśleć, żeś najnieszczęśliwszą
Z istot na ziemi.
Joanna. A któż może wiedzieć,
Czym jest szczęśliwą?
Antonina. Jakież to przyczyny
Twych wielkich nieszczęść?
Joanna. Niema żadnych przyczyn,
Albo, inaczej gdybym mówić chciała,

To wszystko co mię do koła otacza,
Sprawia w mej duszy bolesne wrażenie.

Antonina. Czy słyszysz, książę? Jestże w tem choć trochę
Zdrowego sensu! Wy dwoje z Focyuszem
Zgodzilibyście się w swych charakterach.

Joanna. Dziwna, że będąc Focyusza matką,
Zawsze się o nim wyrażasz z goryczą.
Focyusz jednak na to nie zasłużył,
On jest szlachetnym i dobrym człowiekiem.

Antonina. Dlatego pewnie wszystko krzywo widzi.
Jego to wpływy zepsuły i ciebie.

Anastazy. Poprzestań, pani, czynić jej wyrzuty.
Dziewicze serca mają tę naturę,
Że w melancholiach lubią się pogrążać,
Jak księżyc w jasnych na niebie obłokach.
Lecz melancholia ta blizko graniczy
Z najwyższem szczęściem, dlatego nie można
Brać jej na seryo, albo nią się trwożyć.

(*Wchodzi Buzes i Marcellus drzwiami z ulicy*).

SCENA 4.

Antonina. Joanna. Anastazy. Orszak. (*W głębi*). *Buzes. Marcellus.*

Buzes (*wchodząc*). Ten głupi ludek krzyczy jak najęty!
Powiadam tobie, kochany Marcelli,
Gdy te wiwaty, choćby w setnej części,
Dojdą do uszu cesarza, ni wątpić,
Że dadzą powód do złego humoru.

Marcellus. Hum! Tego wcalebym sobie nie życzył.
Nic mi tak bardzo nigdy nie dokuczy,
Jak gdy w pałacu wieje chłodna aura.

Anastazy. Witaj, Buzesie! Cóż nam przynosicie?

Buzes. Spieszymy właśnie donieść cesarzowi,
Że Belizaryusz stanął już na wschodach.
(*Do Antoniny*).
Przyjm, pani, ukłon mój najpokorniejszy.

Antonina. Życzę ci zdrowia, zacny senatorze,
I tobie panie. Cóż o tem myślicie,
Jak Belizaryusz zostanie przyjęty?
Buzes. Cesarz i jego szlachetna małżonka
Są jak najlepiej dlań usposobieni,
Lecz cóż? popsują może wszystko krzyki...
Marcellus. Tak jest, te krzyki nieszczęsne nie w porę!
Buzes tak mówi, a on zna się na tem.
Buzes. O, czy słyszycie?... Że też ta hołota
Nie ma rozumu ni taktu za szeląg!
Ale darujcie, bo my tu po służbie.
(Buzes i Marcellus kłaniają się i wychodzą do cesarskich pokojów).

SCENA 5.

Antonina. Joanna. Anastazy (w głębi) Orszak. (Drzwiami od ulicy wchodzi) Belizaryusz (spostrzegłszy Antoninę, która ku niemu podchodzi, zbliża się do niej szybko i bierze ją w objęcia).

Belizaryusz. O Antonino!
Antonina, Witaj, Belizarze
Witaj, mój panie i mężu najdroższy!
Belizaryusz. A więc znów czuję cię przy mojem sercu!
Długa rozłąka, wojny, krwawe bitwy,
Gwary obozu i niebezpieczeństwa
Jak sen znikają bez śladu z mej duszy,
Tylko się marną wydają ułudą,
Jak to co nigdy nie było na świecie,
A prawdą tylko to jedno, że ciebie
Widzę, posiadam i kocham nad życie!
O dobra żono, to twoje jest dzieło,
Że już w tem miejscu, nad me spodziewanie,
Mogę was widzieć i do serca tulić?
Antonina. Uprzedziliśmy powitanie w domu,
Bo każda chwila, która nas dzieliła
Od tego szczęścia, zdawała się długą
Jak cała wieczność. Ach, bo tak dotkliwe,

Tak niepokojem przejmujące duszę
Było pragnienie nasze, które rosło
Z każdą godziną, i paliło serca
Żarem tęsknoty, samotnej miłości
I niedzielonych uczuć!...

Joanna (*n. s.*). Wielki Boże!
Jeżeli może fałsz mieć taki język,
Cóż będzie mówić prawda? (*Przystępując nagle*).
Dosyć, pani!...

Antonina. Co chcesz, Joanno?...

Belizaryusz. Dlaczegoś tak blada
I pomieszanie znać na twojej twarzy?..
Powiedz, co tobie jest, drogie me dziecko.

Joanna. Nic, nic, mój ojcze! Znając twoje serce,
Nie chciałam, by je nazbyt rozczulały
Słowa twej żony. W tak radosnej chwili,
Poco, o pani, sięgać wzrokiem w przeszłość,
I wywoływać z niej czarne wspomnienia,
O których lepiej zapomnieć.

Belizaryusz. To prawda;
Wszak i na twojem czole, Antonino,
Znać pozostały jakiś cień z przeszłości...
Niechaj go stamtąd strącą moje usta —
Ach, jeszcze jeden uścisk Antonino! —
Pójdź w me objęcia, córko! (*Do Anastazego*).
Witaj, książę,
Patrz, jak szczęśliwy jestem!

Anastazy. Witaj, wodzu,
Tryumfatorze, zaszczycie ojczyzny!
Język Pindara byłby może zdolny
Opiewać hymny godne twojej sławy,
Ja z śmiertelników najprostszy śmiertelnik
Podziwiać mogę, ale milczeć muszę.

(*Lucyusz i Hektor wprowadzają rannego Focyusza*).

SCENA 6.

Belizaryusz. Antonina. Anastazy. Joanna (w głębi) Orszak. Focyusz. Lucyusz. Hektor.

Belizaryusz. Co to takiego?.. Focyusz mój kochany!
Focyusz. Dzięki ci za ten wyraz, Belizarze!
Podaj mi rękę...
Belizaryusz. Lecz tyś, widzę, ranny...
Antonina. Co ci się stało?... ramię masz związane...
Focyusz. Drobnostka, matko, nie warta uwagi —
Maleńka rana —
Antonina. Skąd? jakim sposobem?
Focyusz. Czysty przypadek. Jakiś człowiek w tłumie
Zbliżył się do mnie i przypadkiem zranił.
Belizaryusz. Może się mylisz, Focyuszu, może
Ten co to zrobił, miał istotny zamiar...
Czy go schwytano?
Focyusz. Ja nic o tem nie wiem.
Przez chwilę bowiem straciłem przytomność.
Wy pewnie wiecie, czyli go schwytano.
Lucyusz. Nie, panie, w jednej chwili zginął w tłumie,
I śladu nawet po nim nie zostało.
Focyusz. Musiał być w wielkim strachu biedny człowiek,
Przez nieostrożność stąd ni z owąd wpadłszy
W niebezpieczeństwo. Jestem przekonany,
Że to przypadek był a nic innego.
Jestem zbyt małą osobą, by zemsta
Albo nienawiść za swój cel mnie brały.
Dajcie mi krzesło. (*Siada, do Żołnierzy*)
Idźcie, przyjaciele.
Lucyusz i Hektor — wszakże się nie mylę?
Będę pamiętać o waszych nazwiskach.
Bywajcie zdrowi (*Żołnierze odchodzą*).
Joanna. Zbladłeś, Focyuszu,
Pot ci kroplami wystąpił na czoło,
I drżą twe usta. Wróć prędzej do domu,
I tam o zdrowie swoje miej staranie,

Idź, niespokojni będziemy, dopóki
Tego nie zrobisz.
Antonina. Posłuchaj jej rady,
Nieznaczna rana może stać się groźną
Przez zaniedbanie, najmniejsze wzruszenie.
Focyusz. Dziękuję tobie, Joanno, i tobie
Dziękuję, matko, za waszą troskliwość,
Lecz czuję, że mi już siły wracają.
Byłem żołnierzem także, moja matko,
I lada szpilki ukłucia nie mogę
Liczyć za ranę.
Anastazy. Mówisz tak, Focyuszu,
Jakby ci ranę zadała kobieta.
Focyusz. Alboż tak nie jest?...
Antonina. Co mówisz?
Focyusz. Powiadam,
Że przy mej ranie czynną także była
Kobieta.
Antonina. Z rany dostałeś gorączki
I bredzisz; milcz więc!
Focyusz. Pozwól, niech dowiodę
Mego twierdzenia księciu, bo inaczej
O mym dowcipie gotów powątpiewać;
A nie życzyłbym sobie, by mój dowcip
Zbladł obok jego.
Anastazy. Ciekawym, Focyuszu,
W jaki mię sposób będziesz mógł przekonać,
Gdy sam nic nie wiesz o swym napastniku.
Focyusz Wiem bardzo wiele, to co najważniejsze.
Antonina. Dajcie już pokój szermierce języka,
Nie czas tu na nią.
Focyusz. Chcesz mojej przegranej?
Lecz słuchaj, książę, czyżby on mógł podnieść
Na mnie swą rękę, gdyby nie kobieta,
Gdyby nie matka...
Antonina. Do czego ty zmierzasz?
Focyusz. Czegóż się, matko, tak oburzasz? Może
Zły koncept ale niewinny...

Belizaryusz. Niech skończy.
Focyusz lubi igraszki dowcipu,
I zawsze dzielnym był dyalektykiem.
Focyusz. Gdyby nie matka, powtarzam, co pchnęła
Na tę występną drogę go najpierwsza,
Gdy go zrodziła.
Anastazy. Ha, więc w tem jest dowcip!
Zręcznieś wywinął się z swego kłopotu.
Lecz to przyczyna nazbyt jest odległa.
Focyusz. O bliższych nie wiem. Albo, jak mówiłem,
Był to przypadek tylko i nic więcej.
Belizaryusz. Widzę, że jesteś już zdrowszym w istocie,
Gdy masz ochotę w ten sposób rozmawiać.
Ciebie to także cieszy, Antonino?
Antonina. Bardzo mię cieszy. (*N. s.*) Odetchnęłam wreszcie.
Lecz widzę, że już teraz milczeć będzie,
Skoro zrozumiał skutki wyjawienia.
Belizaryusz. Lecz z tych co drodzy są mojemu sercu,
Jeszcze jednego tutaj nie spostrzegam...
Antonina. Teodozego?...
Belizaryusz. Tak jest. Gdzież się bawi,
Czemu wraz z wami nie przyszedł mię witać?
Antonina. Nie przeczuwaliśmy twego powrotu,
Bo jak wiadomo ci, wróciłeś nagle,
Niespodziewanie i prędzej niż miałeś,
Wezwany będąc rozkazem cesarskim,
A on tymczasem w podróż się był wybrał,
Ażeby zwiedzić nieznajome kraje.
Rzecz to potrzebna każdemu młodemu.
Belizaryusz. Żałuję bardzo, że go nie zastałem.
Wziąwszy go niegdyś sierotą po jednym
Z mych najdzielniejszych, najlepszych żołnierzy,
I wychowawszy go lat kilkanaście,
Wydaje mi się, żem jest jego ojcem,
I że silniejszy węzeł nas połącza
Niż przyjacielski.
Focyusz (*n. s.*) Prawda. Jakże często
Pieścimy żmiję we własnem zanadrzu!

Belizaryusz. Lecz się spodziewam, że ty także, żono,
Przez ten czas długiej mej nieobecności
Byłaś dla niego dobrą i przychylną,
I nie dałaś mu czuć jego sieroctwa.

Antonina. Tak, Belizarze. Pamiętałam zawsze,
Że co dla twoich przyjaciół uczynię,
Dla ciebie miłem będzie.

Focyusz (*n. s.*) Nazbyt skromnie
Mówisz o serca swojego dobroci,
Gdyby mnie wolno było to powiedzieć,
Znalazłbym dla niej dobitniejsze słowa.

SCENA 7.

Belizaryusz. Antonina. Focyusz. Anastazy. Joanna. Orszak (*wchodzą*) *Buzes i Marcellus.*

Buzes. Witaj nam, wodzu. Pospieszam z nowiną,
Że tak łaskawi dla ciebie cesarstwo,
Że tu się trudzić będą swą osobą,
Aby cię przyjąć na progach pałacu.

Marcellus. Szlachetny wodzu, dzielny bohaterze,
Ja com nie godzien rozwiązać trzewika
Na twojej nodze, niechże mam ten zaszczyt,
Bym ręki twojej zyskał uściśnienie.
O wierzaj, cieszę się z całego serca
Z twoich tryumfów i twej nowej sławy.

Buzes. I ja tak samo, ja tak samo, wodzu!
(*Ściska go za rękę, do Marcellusa*).
Nie bądź tak bardzo gorący w pochwałach!

Belizaryusz. Dzięki wam, dobrzy, zacni towarzysze.

Antonina. Ty, książę, razem z Joanną powróćcie
Teraz do domu, waszej troskliwości
Chcę to polecić, aby Belizaryusz
Znalazł tam godne dla siebie przyjęcie.

Anastazy. Miło mi będzie spełnić to zlecenie.
Żegnam cię, panie. (*Da Joanny*).
Do twych usług, pani.

Joanna. Do zobaczenia, Focyuszu. Gdybym
Mogła ci życzyć weselszego czoła
I słodszej myśli, o! z całej mej duszy
Tych darów nieba tobiebym życzyła.
(*Anastazy, Joanna i Orszak wychodzą*).

Focyusz (*patrząc za odchodzącą Joanną*).
Boska istoto! czemuż moje oczy
Ciągniesz za sobą uroku pokusą,
Gdy mnie nie wolno wejść do tego nieba,
Które przy tobie może dusza znaleźć.

SCENA 8.

Belizaryusz. Antonina. Focyusz. (*Wchodzą*). *Justynian. Teodora. Dwór cesarski. Buzes. Marcellus.* (*Justynian i Teodora zatrzymują się na najwyższym stopniu schodów. Belizar uklęka, zwrócony do nich twarzą. Za niego usuwa się reszta obecnych. Focyusz podnosi się z krzesła i stoi oparty o poręcz*).

Justynian. Witam cię, wodzu naczelny wojsk moich!

Belizaryusz. U stóp twych składam, panie mój i władco,
Nowo zdobyte królestwo Italii
Z jego stolicą, wiekopomnym Rzymem,
Którego sława brzmi po całym świecie,
I który niegdyś ojcem był dzisiejszej
Twojej stolicy. Dołącz to do owej
Nieco dawniejszej zdobyczy Afryki,
Gdzie twych zastępców oręż upokorzył
Dzikich Wandalów, i spojrz na granicę
Swego cesarstwa, a będziesz mógł z dumą
Postawić siebie obok owych pierwszych
Rzymskich cezarów, w chwilach ich świetności.
Boś ty odzyskał, co ich nieszczęśliwi
Następcy losem lub słabością własną
Z obszarów państwa swego utracili.
Dzisiaj rzymskiemu berłu znów podlega
Wszystko, co niegdyś było jego własne,
Po Herkulesa słupy od Eufratu.

Teodora (*do Justyniana*).
Pod twojej sławy osłoną, jak zręcznie
Własną ambicyą ukrywa! Znaczenie
Słów jego takie: że cała twa wielkość
Jest dziełem jego talentów i pracy.
(*Justynian i Teodora, a za nimi Dwór schodzą ze schodów*).
Justynian. Powstań, mój wodzu. Pozwól się uściskać.
Cieszę się, widząc ciebie w dobrem zdrowiu.
Teodora. Prędko odbyłeś przeprawę z Italii,
Niebo i morze widać ci sprzyjały.
Belizaryusz. Pragnąłem stanąć tutaj jak najprędzej,
By nikt nie myślał, że się jednę chwilę
W spełnieniu woli cesarskiej ociągam.
Justynian. Ta wojna jednak bardzo długo trwała,
Daleko dłużej, niż się spodziewałem,
A choć nas świeżym zbogaciła krajem,
Wyssała wszystkie moich państw zasoby.
Belizaryusz. Z nieprzyjacielem twardym walczyliśmy,
Każdą piędź ziemi, każdą cegłę fortec
Zdobywać było trzeba krwawym potem.
Justynian. Złośliwe usta wieści rozszerzały
U nas w stolicy, żeś przeciągał wojnę
Dla jakiejś własnej korzyści...
Belizaryusz. To potwarz
Przez tych rzucona, którzy nigdy wojny
Nie oglądali z blizka! Wszak wiesz, panie,
Że gdybym pragnął był własnej korzyści,
Mogłem mieć dzisiaj koronę Italii
Na mojej głowie!
Teodora. To też nie daliśmy
Tym podejrzeniom wiary, a przyczyną,
Że niespodzianie cesarz cię odwołał,
To było tylko, że twego ramienia
Trzeba mu znowu na wschodniej granicy,
Gdzie przeciw Persom chce odnowić wojnę.
Belizaryusz. Czyste sumienie mi nakazywało
Złowrogie szepty odpychać od siebie,
Choć o niełasce dość głośno mówiono.

Justynian. Możesz polegać na mej przychylności
Teraz jak zawsze, drogi Belizarze,
A że dziś przy twym tryumfalnym wjeździe
Od zwykłej formy nieco odstąpiono,
Że nie w rydwanie ale pieszo wszedłeś
W mury stolicy, że wojenne znaki
I twe na wrogach zdobyte trofea
Nie były przy twej osobie niesione,
To się nie stało w celu, aby zniżyć
Wartość twych zasług, lub z jakiejś niechęci,
Lecz tylko z tego jednego powodu,
Że nasze miasto jest jak na wulkanie,
Wichrzone różnych stronnictw nienawiścią.
Więc unikamy wszystkiego starannie,
Coby zwiększało sposobność zbiegowisk,
I coby mogło podrażnić uczucia
Rozmaitych partyj. Musisz więc darować,
Że cię minęła zwykła okazałość.

Belizaryusz. Dla dobra kraju, dla sławy monarchii,
Nie dla próżności ponosiłem trudy,
I szedłem nieraz na śmierć nieochybną.
Najsłodszą dla mnie nagrodą jest twoje
Zadowolnienie.

Focyusz (*n. s.*) Niewdzięczność jest także
Czarną otchłanią, która wszystko chłonie.

Justynian. Usługi twoje umiem dobrze cenić,
Lecz ni ojczyzna ni ja nie możemy
Ciągłych poświęceń od ciebie wymagać,
I nadużywać twoich dobrych chęci.
Czas tobie, wodzu, spocząć już na laurach,
Użyć spoczynku tak zasłużonego!
Ze względu na to i powodowani
Samą przyjaźnią, postanowiliśmy
Na twoje miejsce mianować Narsesa,
Jak wiesz, dzielnego, roztropnego męża.
On więc dowództwo obejmie w Italii,
A może kiedyś, gdy się pora zdarzy,
Indziej, na wschodzie, będziesz nam znów służyć.

A teraz pozwól jeszcze raz uścisnąć
Twoją prawicę, i wynurzyć tobie
Zadowolnienie nasze niekłamane.

Teodora (*do Antoniny*).

Bywaj mi zdrowa, droga przyjaciołko.
Powinnaś wdzięczną nam być, że ci męża
W wyłączne odtąd dajem posiadanie. —
Szlachetną żonę masz, dzielny nasz wodzu!
(*n. s.*) Lepszejbym sama życzyć ci nie mogła!

(*Justynian. Teodora. Buzes. Marcellus i Dwór cesarski wychodzą*).

SCENA 9.

Belizaryusz. Antonina. Focyusz.

Antonina. Rozpogódź czoło, drogi Belizarze!...

Focyusz (*klęka, całuje go w rękę*).

Występek, zbrodnię na tobie spełniono!...
Ale się pociesz, ile serc szlachetnych
Bije w tym kraju, wszystkie to odczują,
I sprawców złego obrzucą pogardą.

Belizaryusz. Nie żal mi marnych tryumfów i blasku,
Lecz mi bolesno, że tak łatwo było
Me miejsce takim zastąpić człowiekiem,
Który niedawno w pyle dworskich progów
Szukał dla siebie łask ślepej fortuny!
Żal mi tych moich zwycięskich zastępów,
Które do chwały wiodłem tyle razy!
Żal mi tej nowej a świetnej zdobyczy,
Którą przemienić mogłem moją ręką
W ziemię szczęśliwą i błogosławioną!
Lecz trudno, kiedy już tak dziać się musi,
Zdołam przekonać o mej niewinności,
I w cichem szczęściu domowego życia
Zagrzebię siebie i swoją ambicyę.

Focyusz. Stój, Belizarze! to postanowienie
Niegodne ciebie. Ty chcesz być ofiarą,

Gdy możesz zbawcą być i biczem Bożym
Dla tego świata, i z drogi nieprawej,
Na którą wstąpił, wwieść go na tór cnoty!...
Kiedy szaleją rozwścieczone fale
I o brzeg biją, aby zabrać ludziom
Kawałek ziemi przez nich uprawiony
Z trudem i potem — skała się nie cofa,
Ale nadstawia piersi i roztrąca
Dzikie bałwany... Wyobrażam sobie,
Że gdy w nią wściekłe wichry uderzają,
Ona doznawać musi słodszych rozkosz,
Niźli dojrzały kłos, gdy nim zginają
Ciche i ciepłe zefirów powiewy!
Bo ze złem walczyć, dzieło godne Boga,
I z dzieł człowieka wielkich, co największe!...
O Belizarze! zrób to przedsięwzięcie,
Piękne, zaszczytne, godne twego ducha,
Do niego wzywam ciebie całem sercem,
Jako do twojej świętej powinności!

Antonina. Przestań, już dosyć słów tych nierozważnych!
Jakąż przysługę myślisz mu tem oddać,
Kiedy myślami zemsty, nienawiści
Napawasz jego duszę, i jej celem
Chcesz zrobić walkę ciągłą bez nadziei.
Jemu potrzeba jest raczej spokoju,
I złagodzenia rozdrażnionych uczuć,
Jeśli to prawda, że tak wielkiej krzywdy
Doznał, jak ty się zdajesz o tem sądzić.

Belizaryusz. Ma słuszność dobra, szlachetna ma żona.
Dla mnie się widać zamknęło już życie
Czynów i chwały, i koło ogniska
Domowej strzechy ma się odtąd toczyć.
Alebym bluźnił mądrej opatrzności,
Gdybym powiedział, że to nie jest dosyć.
Wszak jeszcze ciebie mam, najukochańsza,
A twoja miłość zdolna być balsamem
Na moje rany, i w twojem objęciu,
Jak gdyby w porcie od burzy bezpiecznym,

Mogę zapomnieć losów przeciwności!
Ty, ty mi jedna teraz pozostajesz,
Dziś jeszcze droższa, niźli kiedykolwiek!
(*Ściska ją*).
Pójdźmy stąd, pójdźmy do naszego gniazda;
Niechaj te zimne marmury nie szydzą
Z mego zawodu, który mię napełnić
Winien boleścią i wstydem zarazem!
Pójdź, Antonino, pójdź najdroższa moja!
(*Wychodzi prowadząc Antoninę*).

SCENA 10.

Focyusz (*sam*).

Focyusz. Tak, to jest prawdą — ten człowiek ma dzisiaj
Na świecie tylko to jedyne szczęście
Do zapełnienia próżni swego życia —
A ja to szczęście mam jemu odebrać.
Straszna przysługa!... Mam być tym demonem,
Co na łudzące, rozkoszne marzenia
Biednego człeka, żyjącego w nędzy,
Kiedy w bogactwa choć przez sen opływa,
Zionie swym dechem, rozwiewa ułudę,
I w zamian za te cudne urojenia
Budzi go chłodną prawdą, że to sen był —
Sen tylko!... Czemuż, ach! mój duch niesforny
Do tego świata nie może się nagiąć,
I nie chce dążyć zwykłym torem ludzi!
Jakąż mam korzyść, że gdy wszyscy wkoło
W szaleństwie życia szukają słodyczy,
Ja nad ich głupstwem i złością rozmyślam,
I wartość spraw ich odmierzam sumieniem?
O, gdyby nie to, czyżbym czuł tę boleść,?
Jaką mi sprawia widok niecnych czynów
Czyżbym tę straszną miał na ciele ranę?
Czyżby ten papier dłoń mi teraz palił?
(*Rozwija kartkę, którą pomiętą trzymał w ręce i wpatruje się w nią*).

Tak, widzę jasno — ona się nie cofnie
Przed niczem... zbrodnia nawet jej nie straszy!...
Grozi mi śmiercią, by zamknąć me usta —
Milczeć mi każe... Czy mam milczeć?... Nigdy!
Milczenie moje byłoby podłością,
Przez nie zgrzeszyłbym przeciw dwojgu ludziom,
Przeciw osobie Belizaryusza,
A potem także przeciwko niej samej,
Bo tylko śmiałem przeciw niej działaniem —
Jakiebądź skutki będzie ono miało —
Mogę ją wstrzymać na występnej drodze,
I z hańby, w jaką wpadła, ją oczyścić.
Ha! jaka szkoda, że mi Teodozy
Nagle się wymknął i gdzieś się zapodział,
Że nie wiem, gdzie jest i gdzie go mam szukać.
A przecież ja go muszę mieć w swych rękach,
Bo on, to dowód jej winy niezbity,
I z niego prędzej wydobędę prawdę,
Niżeli z duszy kobiecej, upartej,
I przez wstyd, nawet w upadku, zamkniętej.
(*Po chwili*).
O, jak mi ciężkie przypadło zadanie!
Ta atmosfera, wpośród której żyję,
Jakiem brzemieniem przygniata me piersi,
Jak nędzni, brzydzcy zdają mi się ludzie!...
Wy, które w sercu mem cicho drzymiecie,
Wy, ideały, na jak straszną walkę
Z światem i sobą, wy mnie skazałyście!
(*Wychodzi prędko*).

AKT DRUGI.

Sala w pałacu Belizaryusza.

SCENA 1.

Focyusz i Fenissa (wchodzą).

Fenissa. Pójdź, panie, tutaj, tu możemy mówić.
Focyusz. I cóż, Fenisso, czy już wybadałaś
Tego człowieka?
Fenissa (*oglądając się*). Wiem, panie, już wszystko.
Nie łatwo mi to przyszło, i z początku
Nic nie chciał gadać, ale jak zaczęłam
Przymilać mu się, pochlebiać i mówić,
Że nie zdarzyło mi się bardzo dawno
Zabrać znajomość z tak miłym człowiekiem,
Rozplątał mu się język mimowoli,
I wyspowiadał się z tem czegom chciała.
Focyusz. Więc skądże przybył?
Fenissa. Z Aten, panie, z Aten.
Focyusz. Z Aten, w Atenach zatem jest pan jego —
Fenissa. Tak jest, i z listem od niego tu przybył,
I ma na odwrót wziąć list od mej pani.
Focyusz (*d. s.*) Tej wiadomości było mi potrzeba! —
Czy wiesz to pewnie, czy nie uważałaś,
Żeby on kłamał i chciał cię oszukać?
Fenissa. To jabym prędzej wywiodła go w pole
Niżeli on mnie! Zresztą w takiej chwili
Mnie to powiadał, gdzie byłby wyjawił
Swój grzech najcięższy; bo tak się rozczulił,
Gdym pozwoliła mu się pocałować.
Ale źle o mnie nie sądź, drogi panie,

Uczyniłam to tylko z poświęcenia
Dla ciebie.

Focyusz. Choćby dla swej przyjemności,
Za złe ci tego nie biorę, i owszem
Byłbym rad, gdybyś dla mnie czyniąc dobrze,
Sama też przy tem miała jakąś korzyść,
Oprócz tej oto nagrody z mej strony.
(*Daje jej pieniądze*).

Fenissa. Wspaniałomyślny jesteś bardzo, panie.
Lecz i ja także miałabym coś jeszcze,
Coby cię pewnie ucieszyło. Jest to
List mojej pani, który mi powierzył
Ten głupi chłystek z swej wielkiej miłości,
Pod tym warunkiem, że mu za godzinę
Oddam go.

Focyusz. Daj mi!

Fenissa. Ale pod przysięgą,
Że go odbiorę zaraz...

Focyusz. Daj, przyrzekam. (*Czytając*).
Zwyczajne ale zawsze nowe sercom
Słowa miłości... Jaki zapał, ogień...
Ile uczucia!... Nigdy prawa miłość
Nie zdobędzie się na tyle tkliwości...
A wreszcie także nieco wiadomości:
(*Czyta*) »O mój najdroższy, pozbądź się obawy,
Belizaryusz nic się nie domyśla,
A Focyusz taką otrzymał przestrogę,
Że jeśli miał ją, wszelka go odeszła
Ochota zrobić użytek z tych rzeczy,
O których wiedział, albo się domyślał.
W tych czasach jeden nam jeszcze ubędzie
Natrętny świadek z domu, bo Joanna,
Choć niby nie chce, niedługo poślubi
Anastazego!«
Pełny dobrych nowin
Ten list! Więc czuje się całkiem bezpieczną,
I pewna tego, że mnie zastraszyła...
O, mam odwagi więcej niźli mniema,

Hańbą byłoby dla mnie to tchórzostwo!
(*Do Fenissy*).
Masz. Zwróć go temu usłużnemu chłopcu,
Jak mu przyrzekłaś. Możesz tak go oddać,
Jakbyś mu cnotę swoją oddawała,
Gdybyś za niego szła.

Fenissa Ale na Boga,
Nie zdradź mię, panie, bo za dobre serce,
Którego tobie złożyłam dowody,
Mojaby pani srogo mię skarała.
Ona jest teraz zajęta rozmową
Z mężem i z ksi ciem Anastazyuszem,
Dlatego m także wybrała tę porę,
By się rozmówić z tobą.

Focyusz. Bądź spokojna,
I trzymaj własny swój język na wodzy.

Fenissa. Nigdy nie powiem, czego nie chcę sama,
Chociaż to mówią, że wszystkie kobiety
Są gadatliwe. Ale są w nich jeszcze
I większe wady! Mój Boże, naprzykład
Ta moja pani!.. mieć takiego męża
I... O, do nieba to o pomstę woła,
I musi każdą poczciwą kobietę
Oburzyć. Ale już idę, odchodzę,
Ażeby tutaj mnie nie zobaczono. (*Wychodzi*).

Focyusz (*sam*). I ja nie mogę ust nawet tak nędznych
Zamknąć rozkazem: Milcz podła ty — kłamiesz!
I muszę słuchać pokornie obelgi
W postaci żalu rzuconej na matkę,
Dosięgającej także mnie samego!
O matko, było twojem przeznaczeniem
Wszystkich boleści kazać mi doznawać,
Tak że najmniejszą z nich ta dziś być musi,
Że przeciw tobie jak wróg mam wystąpić.
Tak jest, nie mogę już dłużej odwlekać —
Wszak widzę: końca jej zbrodni nie będzie...
Odwagi serce, odwagi!... Joanna!...
(*Postępuje kilka kroków*).

SCENA 2.

Focyusz. Joanna.

Joanna. Dzień dobry, Focyusz. Czyli to przede mną
Stąd się oddalasz? Dlaczego tak dawno
Nie widać ciebie w domu mego ojca?
Focyusz. Byłbym zapewne tu innym natrętny,
Tak jak nawzajem mnie drudzy niemili.
Wogóle stronię od widoku ludzi,
Bo czuję do nich wstręt coraz silniejszy.
Joanna. Czy z tej przyczyny i ode mnie stronisz?
Focyusz. Nie. W tym wypadku oszczędzam sam siebie.
Kiedy zdaleka patrzymy na przedmiot,
Doskonałością łudzimy swe oczy,
I nikną dla nas i plamy i skazy,
Niedostrzeżone w obrazie całości.
Szczególnie na was patrzeć tak potrzeba
Istoty kruche i słabe, na których,
Jakby na róży delikatnym kwiecie,
Najlżejszy oddech zostawia swe ślady!
Jak piękną jesteś w swojej dziewiczości!...
Ni kwiat, ni gwiazda, ni wiosenny uśmiech
Czystego słońca nie ma tyle wdzięku,
Wartością perły przechodzisz najdroższe,
Przy tobie złoto węglem się wydaje,
Jesteś stworzenia koroną i cackiem,
Misternem dziełem dobrotliwej ręki
Swojego Stwórcy... Lecz z tego wszystkiego
Co wkrótce będzie?... Pierwszy oddech świata
Ciebie zarazi — pierwszy krok w tem życiu
Będzie zstąpieniem z tej czystej wyżyny —
I pójdziesz drogą upadłych aniołów,
Złamią się twoje skrzydła — a z poezyi
Owej niebiańskiej, której twoja dusza
Odblaski z sobą na ten świat przyniosła,
Brutalny powiew wiejący od ziemi
Strąci tęczowe barwy i połyski!

I tylko z ciebie zostanie to ciało,
Co będzie kusić i będzie kuszone,
Co będzie kłamać ideału formy
Przez wszystkie swoje kształty i linie —
A wewnątrz samą szpetność mieścić będzie! —
Tę drogę wyście wszystkie przechodziły,
Która poczyna się od jasnej gwiazdy,
A kończy w brudnej, cuchnącej kałuży...

Joanna. Rzuciłeś na mnie wyrok potępienia
Nieodwołalny, srogi, bezlitosny;
Po nim już dla mnie niby nie zostało
Tylko z tym światem, który mię otacza,
A oburzenie, rozpacz we mnie budzi,
Brnąć razem w kale i zginąć w zgniliźnie.

Focyusz. Dobrze powiadasz. Wszyscy oddechamy
Jak zaraźliwem powietrzem, i właśnie
Mówię do ciebie także z tej przyczyny:
Będziesz jak inne, jak wszystkie! Dziś sama
Łudzisz się, nie znasz się i oszukujesz,
Lecz jeśli pragniesz obraz swój zobaczyć,
Przypatrz się innym, co cię otaczają:
Czem jesteś, one były — czem są, będziesz!

Joanna. Krzywdzisz swą piękną duszę, Focyuszu,
Kiedy używasz jej jako zwierciadła,
Które powtarza tylko ułomności
I wady świata.

Focyusz. A czy wiesz ty o tem,
Czy ja sam nieraz nie robiłem sobie,
Jak ty mi dzisiaj, podobnych refleksyj?
Czym nie żałował nieraz mej młodości,
Która nie miała swojej pory kwiatów,
Ni woni, ani tej lekkomyślności
Motylej, która błyszczy się tęczami
I w niebo wzlata na beztroskich skrzydłach?
Czym nie żałował, że ją zmarnowałem
Na smętnych myślach, w ponurej zadumie,
Na roztrząsaniu prawd niedocieczonych,
I na patrzeniu w słabości serc ludzkich?

Czym nieraz, z żalem ściskającym serce,
Nie wznosił oczów w górę i nie wołał:
Boże, ty musisz mi dać drugą młodość
Tam w niebie, bom jej nie miał tu na ziemi!...
Ale te żale na cóż mi się zdały?...
Komu raz oczy na świat się otworzą,
Ten, chce czy nie chce, wszystko widzieć musi,
I ślepym już się zrobić nie potrafi. —
Chcesz mnie doświadczyć? oto powiem tobie,
Co teraz widzę na dnie twojej duszy.

Joanna. Ach, gdybyś widział!... Więc powiedz, co widzisz!

Focyusz. Próżność!

Joanna. O, Focyusz!...

Focyusz. Nieinaczej, prożność!
Dopóki inna silniejsza namiętność
Władać nie zacznie, ona tam panuje,
Jej dzięki prędko zbędziesz się skrupułów,
Jakie z niewinnych lat jeszcze zostały,
Za cenę wdzięków, za posag bogaty
Wielkiego rodu kupisz sobie męża,
Z świetnem nazwiskiem, błyszczącego w świecie,
Z którego blaski spadną i na ciebie.

Joanna. A więc ty wierzysz, że Anastazego
Zdolnam poślubić?...

Focyusz. Poślubisz, poślubisz!

Joanna. Mylisz się strasznie! nie kocham go wcale...

Focyusz. Czyż ja mówiłem tutaj o miłości?...
I to pragnienie będzie nasycone,
Gdy przyjdzie kolej na nie; znajdziesz łatwo
Pokarm dla niego, a lepiej smakuje
Przecież nam wszystkim owoc zakazany.
Tak z wami dzieje się zawsze i wszędzie,
Że wasze skarby za blichtr oddajecie,
By potem szeląg zarobić choć wstydem!
Nie chciej wyłączać się z tej spólnej doli,
I wierz, że choć się nie przyznasz do tego,
Będziesz jak inne, będziesz tak jak wszystkie!
Lecz bądź mi zdrowa; zbliżają się ludzie,

Których spotkania ja wolę unikać.
(*Wychodzi prędko*).

Joanna (*sama*). Oto pociecha, jaką otrzymałam,
Gdy mi tak bardzo było jej potrzeba!...
O Focyuszu. przez myśl ci nie przejdzie,
Jaką ty ciężką krzywdę mi wyrządzasz!
(*Antonina i Anastazy, za nimi Kaligon, wchodzą z prawej strony*).

SCENA 3.

Joanna. Antonina. Anastazy. Kaligon.

Antonina (*w głębi do Kaligona*).
Każ przyprowadzić lektykę.
Kaligon. W tej chwili. (*Odchodzi głębią*).
Antonina. Do cesarzowej udamy się, książę,
Aby jej donieść o tem wydarzeniu,
Które ją równie jak i nas ucieszy.
(*Zbliżając się z Anastazym do Joanny*).
Od twego ojca właśnie powracamy,
A mówiliśmy z nim o twej przyszłości;
Ojciec stanowczo przyrzekł twoją rękę
Anastazemu.
Anastazy. Byłem tak szczęśliwy,
Że się spełniły dzisiaj najgorętsze
Moje pragnienia. Nic, jak tylko miłość
Była powodem, żem się po twą rękę
Sięgnąć odważył, chciej wierzyć, Joanno.
Joanna. O pani, czemu tak źle ty mnie życzysz?
Antonina. Milcz, nierozsądna! nie umiesz ocenić
Tych przychylności, którzy się starają
O twoje dobro. Winnaś wdzięczność księciu,
Że się uniżyć chce do twego stanu.
Oto Belizar, on resztę ci powie.
Pójdź, książę. (*Antonina i Anastazy wychodzą głębią. Belizaryusz wchodzi z prawej strony ze Służącym*).

SCENA 4.

Belizaryusz. Joanna. Sługa.

Belizaryusz (*do Sługi*). A więc widziałeś Focyusza?
Sługa. Pod krużgankami stał on na dziedzińcu
I pytał, komu gotują lektykę.
Ja go prosiłem, aby szedł na górę,
Powiedział: Dobrze, przyjdę tam za chwilę,
I nagle zniknął mi w cieniu z przed oczu.
Belizaryusz. Dlaczego zatem dotąd nie przychodzi?
Pójdź, zaprowadź mię tam, gdzie go widziałeś.
(*Joanna zbliża się*).
Za Focyuszem pospieszam, Joanno,
Którego pragnę tak dawno zobaczyć...
Cóżto, ty płaczesz?.. (*do Sługi*).
Idź naprzód, za chwilę
Za tobą pójdę. (*Sługa odchodzi*).
Belizaryusz. Co tobie, me dziecko?
Joanna. Prawdaż to, ojcze, że ty mnie chcesz oddać
Anastazemu?..
Belizaryusz. To łez twych przyczyną?
Joanna. Oddaj mu wszystkie skarby i majątki,
Których dziedzictwo jest dla mnie przekleństwem,
Niech niemi chciwość, jak pragnie, nasyci,
Ale mnie biednej jemu nie oddawaj!
Belizaryusz. Podług słów księcia i mej żony sądząc,
Postanowienie zrobiłem w tej myśli,
Że z twoją chęcią zgodny jest ten związek.
Joanna. Już dawno chęci i myśli twej córki
Są obojętne i obce dla ciebie;
Silniejsza miłość zajęła twe serce,
Tak że w niem niema dla mnie ni kącika.
Belizaryusz. Choć delikatny, bolesny twój wyrzut.
Czyż Antonina i ciebie nie kocha,
Nie życzy tobie najlepszego losu?
A twemu ojcu, któż osładza życie,
Jeśli nie ona?

Joanna. Gdybym mogła wierzyć!
Belizaryusz. Jakto, nie wierzysz? Przecież ja sam mówię.
Joanna. Wierzę, mój ojcze.
Belizaryusz. Więc widzisz, Joanno,
Że to dziwaczne tylko uprzedzenie.
Pozbądź się tego, proszę cię usilnie.
Teraz pomówmy tak jak ojciec z córką.
Ty nie chcesz księcia?
Joanna. Nie, o nie mój ojcze!
Belizaryusz. Lecz czemu? Wierzaj, własnym mym roz-
[sądkiem
Nie mogę zbadać, dlaczego ten związek
Wstręt w tobie budzi. Jeden tylko powód
Jest w takich razach stanowczy i ważny,
Jeżeli serce jest już czemś zajęte.
Więc wyznaj szczerze, otwarcie, nic nie taj —
Wszakże do ojca mówisz co cię kocha,
Czy może inne już jakie słonności?...
Joanna. Nie, nie, mój ojcze! — nie kocham nikogo,
I czuję, nigdy że kochać nie będę!
Belizaryusz. Albo nieprawdę mi mówisz, albo też
Sama się łudzisz...
Joanna. Nie wierzysz, mój ojcze,
W ustach dziewczyny dziwnem ci się zdaje
To zapewnienie? A jednak nie kłamię,
I to ci mówię, że gdybym dostrzegła
Tę iskrę w sercu się rozniecającą,
Użyję wszystkich mych sił, by ją zgasić.
Belizaryusz. Skąd to szczególne w tobie przedsięwzięcie?
Joanna. Cóż w tem dziwnego, że nie chcę znać uczuć,
Które w swym ogniu pochłaniają spokój,
Uczciwość, cnotę?... Gdzież tak silne serce,
Coby wstrzymało potok namiętności,
Gdy mu pozwoli dostać się do wnętrza,
I puści wodze?... Och, dosyć przykładów,
Co to jest miłość, miał świat na Dydonie,
I na Helenie i na Klitemnestrze!...
Miłość, rozkoszy osłonięta maską,

Prowadzi prostą drogą do nieszczęścia
Albo do zbrodni!... Nie, ja nie chcę znać jej!

Belizaryusz. Szlachetne serce masz, lecz przepełnione
Urojeniami młodzieńczej fantazyi,
Dlatego spuść się na tych, którzy myślą
O twojem dobru i lepiej świat znają.

Joanna. Ojcze! przerażasz mnie temi słowami...

Belizaryusz. Niepodobieństwem cofnąć dane słowo
Wobec tak słabych powodów z twej strony.

Joanna. Niema litości dla mnie w twojem sercu.
Biedna ja bardzo!

Belizaryusz. Uspokój się, dziecię,
Nie płacz!...

Joanna. Nieszczęsna! Nikt mnie nie chce pojąć,
Nikt moich bólów nie chce wyrozumieć,
I wszystkie serca są dla mnie zamknięte!

(*Wychodzi drzwiami na prawo; drzwiami głównemi wchodzi Focyusz; chwilę zatrzymuje się w głębi, patrząc na Belizaryusza*).

SCENA 5.

Focyusz. Belizaryusz.

Focyusz (*w głębi — d. s.*)
Sam jeden!... Matka ma i Anastazy
Do cesarskiego odeszli pałacu....
Boska Nemesis, dodaj moim ustom
Całej twej strasznej potęgi i siły! (*Zbliża się*).
Belizaryuszu!

Belizaryusz Witam cię, mój drogi,
Z całego serca. Cóż z tobą się dzieje?
Czy byłeś chory, czyś wyjeżdżał może?
Inaczej bowiem nie mogę zrozumieć
Obojętności twej dla przyjaciela,
Któryby pragnął nieraz się wynurzyć,
Albo zaczerpnąć rady w twym rozumie.

Focyusz. Gdy przyszła chwila, że jesteśmy sami,
Pozwól do twoich kolan się uniżyć,
I na tej ręce w bojach wyteranej,
Taki gorący złożyć pocałunek,
Jakim kochanek kochankę całuje!
Bo jest to rozkosz wielka, niezrównana,
Znaleźć jednego chociażby człowieka,
Który z swej skroni nie starł człowieczeństwa
Dostojnych znamion, w którym można widzieć
Obraz istoty ludzkiej nieskalany,
Jak ona wyszła niegdyś z ręki stwórcy!

Belizaryusz. Co czynisz? powstań, młody zapaleńcze!

Focyusz. O, nie nazywaj mię tak, proszę ciebie,
Bo tem znieważasz cnotę, zowiąc cześć jej
Dziełem szaleństwa!.. Pozwól niech powtórzę,
Że ciebie kocham, że cię czczę i wielbię!
(*Powstaje*). I nienawidzę dlatego tem mocniej
Tych wszystkich, którzy nie mają dla ciebie
Podobnych uczuć! — Belizaryuszu,
Powiedz mi, powiedz, czy wierzysz w mą przy-
[jaźń?
Czy wierzysz, że mam tyle uczciwości,
Żebym nie zdołał nikogo pokrzywdzić,
I łzy nikomu jednej nie wycisnąć,
Choćby to dla mnie był ktoś obojętny,
Obcy, nieznany?

Belizaryusz. Mam i miałem zawsze
To przekonanie, żeś prawym człowiekiem.

Focyusz. A więc uwierzysz temu co ci powiem,
Strasznej nowinie, którą dziś przynoszę.
Twa żona, matka zaś moja, niestety!
Która posiada całe twoje serce,
Najszlachetniejsze wszystkie twe uczucia,
Którą ty kochasz z młodzieńczym zapałem,
Zapominając i o tem, że jesień
Na jej urodzie i latach już cięży...

Belizaryusz. Więc cóż, cóż powiesz mi o Antoninie?..

Focyusz. Ta żona ciebie zdradza, Belizarze,
Jest ci niewierną, i plami twój honor
Przez niegodziwe miłostki z kochankiem.
Belizaryusz. Szalony! dosyć tego. Jedno słowo
Więcej z ust twoich, a drogo zapłacisz!
Focyusz. Nadstawiam pierś mą — i chętniebym oddał
Życie me, gdyby to mogło być fałszem!...
Ból, który czuję, nie mniejszy od twego...
Belizaryusz. Nie, to szalone jakieś urojenie!
Ona tak czuła, tak mię kochająca,
Na każdym kroku uprzejma i słodka...
Przecież pamiętam jej listów wyrazy —
Patrzyłem na nie temi tu oczyma —
Te oczy łudzić mię nie mogły, kiedy
Na białej karcie spostrzegałem ślady
Łez i westchnienia?... Tak, to głupi wymysł!
To kłamstwo, kłamstwo!
Focyusz. Łzy, westchnienia, słodycz,
Uśmiech na twarzy — to wszystko jest kłam-
[stwem,
Tylko me słowa nie są niem, niestety!
To co dla ciebie było tajemnicą,
Czego ślepota twojego uczucia
Nie dostrzegała, dla wszystkich jest widnym,
Wyraźnym czynem, i dziś już dwór cały,
Cała stolica prawie, od najwyższych
Począwszy osób, kończąc na gawiedzi,
Co po ulicach w próżniaczej gawędzie
Nicuje cudze błędy i nieszczęścia,
Wie, że zhańbione łoże Belizara!
Belizaryusz. Focyusz, pomyśl, że bierzesz na siebie
Odpowiedzialność straszną!...
Focyusz. Tak, o wszystkiem
Mogę przekonać ciebie, mam dowody
Jasne, niezbite — a ten z nich największy,
Że ja to mówię!
Belizaryusz. To byłoby straszne!
O moja miłość, mój honor, me szczęście!..

Czuję, że w piersiach mych rodzi się chaos
Szalonych uczuć... Więc kto jest kochankiem?
Powiedz mi, powiedz, kto jest jej kochankiem?

Focyusz. Ten niegodziwiec, któregoś obsypał
Dobrodziejstwami, któremuś pod nogi
Rzucił niebacznie perły swej miłości —
Teodozyusz. Nędznik, w którym niema
Oprócz zwierzęcych nic z ludzkich przymiotów.
Lecz nie on główną jest przyczyną winy,
Winowajczynią jest tu Antonina.
Ona to podczas twej nieobecności
Lubieżnem okiem na niego rzuciła,
I w swojej chuci grzesznej zapomniała
O obowiązkach, o twej i swej cześci.

Belizaryusz. Jak rozpalone żelazo twa mowa
Pali mi serce — ale mów, mów dalej!
Jak dawno trwa to?... mów, jestem ciekawy
Wszystkiego, tak jest, wszystkiego.

Focyusz. W dwa może
Lub trzy miesiące po twoim odjeździe.,.

Belizaryusz. Dość prędko!.. Była przez ten czas szczęśliwą,
Zachwyt rozkoszy jaśniał na jej twarzy,
Życzyła sobie, abym jak najpóźniej
Powracał, albo i zginął na wojnie!..
Gdzież widywali się?...

Focyusz. Tutaj, w twym domu.

Belizarynsz. Tutaj w mym domu!... o hańbo, o hańbo!
Czyliż jej cień mój, czyż moje wspomnienie,
Pozostawiane tu na każdym kroku,
Stanąć na oczach nie były powinny
I przerazić ją jakby krwawem widmem!
Lecz dalej.., ja ci przerywam... mów dalej
Co wiesz! sącz swoją truciznę w me serce!
Ona jest gorzką i zabijącą,
Lecz mnie upaja i wznieca pragnienie!

Focyusz. Oddała mu się z całem zaślepieniem,
Z całem szaleństwem namiętnej kobiety,

W której późniejsze lata nie zdołały
Tego płomienia palącego zgasić,
I której żądza coraz świeżych wrażeń
Urasta w miarę, jak krótszy przed sobą
Widzi kres życia i uciech młodości.

Belizaryusz. Bezwstydna!... a jam marzył tylko o niej,
Wszelkie pokusy odganiał pamięcią,
Że ona żyje tutaj i mnie kocha!...

Focyusz. Aby odwrócić wszelkie podejrzenie,
Na czas niedługi przed twojem przybyciem
Teodozemu kazała wyjechać·

Belizaryusz. Ach, tak, pojmuję! Ja byłem igraszką
Jej oszukaństwa, nikczemnej chytrości!
Wszystko więc fałszem: miłość, przywiązanie,
Szacunek — fałszem nawet te cielesne
Rozkosze, w których zatopiona ze mną
Myśli o innym!... Brzydzę się tem wszystkiem,
Pogardzam sobą, nią i całym światem!...

Focyusz. Gdybym mógł, życiem twój bólbym okupił,
I z gotowością sto razy je oddał,
Ażeby zmazać jej winy! — O przebacz,
Mnie także przebacz, zacny Belizarze,
Bo ta, co tobie tę boleść zadała,
Jest moją matką!... Straszne są jej zbrodnie,
Gdy syn być musiał jej oskarżycielem!
Z jakimże wstydem i upokorzeniem
Stanąłem tutaj, ażeby ci odkryć
Całą bezecność jej czynów, i mówić
Musiałem, że tą występną kobietą,
Która zatruwa i hańbi twe życie,
Jest moja matka!... A teraz w swej duszy
Wznieć najsilniejszą nienawiść, niech zemsty
Pragnienie przejdzie do szpiku twych kości!
Niech ci przed okiem cała przeszłość stanie,
Przypomnij sobie te godziny szczęścia,
Które twa pamięć w sobie przechowała
Jako najdroższe — wspomnij te rozkosze,
Które w wosk miękki zmieniały twe serce,

Wszystkie uczucia, które cię wiązały
Do ukochanej nad wszystko istoty —
Tym czarem napój do szaleństwa zmysły:
A potem spojrzyj wytrzeźwionem okiem
W ten czarny obraz hańby i zgryzoty,
W tę przepaść, która pożarła twe szczęście,
I przemierzywszy całą jej odległość
Od tego nieba, które było tylko
Szlachetnym szałem i złudzeniem duszy —
Jak ten co musiał zrozpaczyć o wszystkiem,
Bądź bez litości i bez miłosierdzia!
Ukarz ją za swój splugawiony honór,
Za potargane obowiązki żony,
Za tę pogardę, jaką okazała
Twojej szlachetnej miłości!... Do tego
Ja tobie będę dzielnym pomocnikiem.
Bo ja mam także do pomszczenia na niej
Niejedną krzywdę sobie wyrządzoną,
Kiedy mię synem zrobiła kobiety,
Na której imię wstyd pali me czoło,
Gdy odebrała mnie miłość do siebie,
Szacunek, wdzięczność — i mnie, swemu dziecku,
Kazała siebie sądzić, nienawidzić,
Pogardzać sobą — kiedy mnie skazała
Na to najsroższe z wszelkich ludzkich cierpień,
Bo rzecz najświętszą w świecie, z jej świętości
Obdarła w moich oczach i rzuciła
W błoto!

Belizaryusz (*klęka*). Uklęknij przy mnie, Focyuszu,
I poprzysiążmy sobie w imię Boga
Według win skarać tę zbrodniczą parę,
Że nie odwrócą nas od tego celu
Ni łzy ni groźby, ni przemoc i siła!

Focyusz (*klękając przy nim*).
Amen. Przysięgam tobie, Belizarze!

Belizaryusz. Wszystkie uczucia inne stłumię w duszy,
Najszlachetniejsze choćby one były,
I jak szkodliwe chwasty je wyniszczę,

A tylko jednem pragnieniem żyć będę,
Pragnieniem zemsty! Tak przysięgam Bogu
I tak przysięgam tobie, Focyuszu!

Focyusz. Amen. Niech niebo tej przysięgi słucha,
I wiarołomcę niechaj skarze całą
Swoją srogością!
(*Obaj powstają. Focyusz spoglądając w okno*).
Antonina wraca,
Widzę stojącą w bramie jej lektykę...
Ufasz mi?... co nam i jak działać trzeba
Już ułożyłem — zdaj więc wszystko na mnie.

Belizaryusz. Czyń co chcesz. (*Antonina wchodzi*).

SCENA 6.

Focyusz. Belizaryusz. Antonina.

Antonina (*w głębi*). Focyusz!... Obaj pomieszani!...
(*Zbliża się*). Co tobie? powiedz, drogi Belizarze....

Belizaryusz. Nikczemna, oddal się!... rąk mych nie kalaj
Swojem dotknięciem!...

Antonina. Ha! ja się domyślam...
Focyusz przed tobą mię spotwarzył, prawda?
Wiem, że wyrodek ten mię nienawidzi!
Dla wszystkich ludzi złowrogie uczucia
Natura w sercu mu zasiała — ale
Dla mnie powinien był zrobić wyjątek,
I nie popełniać zbrodni na swej matce.

Focyusz. Mam jeszcze drugą matkę, tam wysoko —
W niebiosach, którą więcej muszę cenić
I czcić goręcej od mej ziemskiej matki!
A gdy ją twoje obrażają czyny,
To bronić muszę jej praw i godności!
Gdybyś ty była jedną z tych zwyczajnych
Przestępczyń, gdyby kradzież lub zabójstwo
Splamiły twoje ręce, jabym uczuł
Litość nad tobą — i gdyby świat cały
Ciebie potępił, stanąłbym przy tobie,
Osłonił ciebie i rzekł: to ma matka!

Rzucajcie na nią kamieniem, ja będę
Bronić jej, płakać razem z nią i nad nią!
Lecz twój występek jest takiej natury,
Że choćby inni byli obojętni,
Choćby uśmiechem zbyli go dwójznacznym,
To we mnie, twojem dziecku, twoim synu,
Zbudzić on musi wszystkie Furye piekła!

Antonina. Mówcie wyraźnie, o co mnie skarżycie?

Belizaryusz. O wiarołomstwo, znieważenie ślubów
O oszukaństwo, zdradę, hipokryzyą,
O poplamienie mojego honoru,
O odebranie mi szczęścia, spokoju!...
W jednym występku jakież mnóstwo zbrodni
Może popełnić kobieta, i ile
Ran może zadać jednym niecnym czynem!

Antonina. Moja niewinność najlepszą obroną.

Focyusz. O, jeszcze kłamstwo!... Więc cię Teodozy
Przekona, gdy go przed ciebie przywiodę!

Antonina. On choć bezpieczny przed waszą wściekłością,
I nie stanie się niewinną ofiarą
Tego szaleństwa.

Focyusz. Jesteś w błędzie. Wiem ja,
Gdzie go mam szukać. Byłem dość przezorny,
By równocześnie was oboje dostać
W swe ręce. Wprzódy za nim twój posłaniec
Z miłosnym listem do niego zawita,
Stanę w Atenach i tu go sprowadzę.

Antonina. Na Boga! złego jemu nic nie czyńcie,
Niech ja ofiarą będę waszej złości,
Lecz jemu z głowy niechaj włos nie spadnie!

Belizaryusz. Jak drży o życie swojego kochanka!...
O, gdyby jeszcze został był w mej duszy
Cień wątpliwości najsłabszy, ten strach twój
Byłby go wygnał! — Dalej, Focyuszu,
Czyń co masz czynić — jestem przekonany.

Focyusz. Daj znak, niech tutaj twoja straż przybędzie.
(*Belizaryusz klaszcze. Wchodzą Żołnierze*).

SCENA 7.

Focyusz. Belizaryusz. Antonina. Straż.

Belizaryusz (*do Żołnierzy*).
Co Focyusz każe, macie wszystko spełnić.

Focyusz (*wskazując*).
Zaprowadzicie ją do pałacowych
Więzień, i głową swoją odpowiecie
Za jej ucieczkę.

Antonina. Ha! do tego stopnia
Wasza zuchwałość doszła... Belizarze,
Cofnij ten rokaz!

Belizaryusz (*do Żołnierzy*), Spełnijcie, co kazał!

Antonina. Hańba wam, nędzni siepacze kobiety!
(*Żołnierze wyprowadzają Antoninę*).

Focyusz. Zbierz, nieszczęśliwy wszystkie swoje siły,
Na mnie się zapatrz, którym zahartował
Tak dobrze serce do tej ciężkiej próby —
Męstwa, o męstwa, Belizaryuszu!
Pamiętaj o mnie i swojej przysiędze,
Bo ja tej chwili oddalić się muszę,
I wziąwszy garstkę zaufanych ludzi,
Spieszę do Aten, by przywieść kochanka.
Żegnaj mi przeto, i bądź mężnym, mężnym!
(*Odchodzi*).

Belizaryusz (*pada na krzesło*),
O moje szczęście, stracone na wieki!

AKT TRZECI.

Toż samo miejsce.

SCENA 1.

Belizaryusz i Wysłannik Focyusza (wchodzą).

Wysłannik. Panie, przysłany jestem przez Focyusza.
Belizaryusz. Od niego?... z czem, mów!..
Wysłannik. Wśród drogi mię wysłał,
By ci oświadczyć, że za kilka godzin
Jego powrotu możesz się spodziewać.
Belizaryusz. Cóż więcej?,..
Wysłannik. Nadto kazał ci powiedzieć,
Że przedsięwzięcie jego się udało,
Że wszystko, czego chciał, poszło pomyślnie
I jak najlepiej.
Belizaryusz. Dobrze. Możesz odejść.
(*Wysłannik odchodzi*).

SCENA 2.

Belizaryusz (sam, później) Sługa.

Belizaryusz. Za kilka godzin!... Gdyby można wstrzymać
Bieg czasu, a z nim i to wszystko razem
Co z sobą niesie!... Gdyby można zmienić
To, co jest i co jeszcze na mnie czeka,
W nieistniejące i niebyłe nigdy!...
Gdyby zapomnieć o tem wszystkiem można,
Lub choćby puścić w niepamięć!... O, jakiż
Spadłby mi ciężar z serca i sumienia!

Sądzić i karać — kogo?... tę co jeszcze
Tu, w mojem sercu, tkwi mi tak głęboko,
I której mimo wszelkich usiłowań
Nie mogę stamtąd wyrwać!... Biedny sędzia,
Od swej ofiary godniejszy litości,
Jeśli mu serce pęka, kiedy zadość
Sprawiedliwości czyni!... O, dlaczegóż
Nie jestem jeszcze w tem błogiem złudzeniu!
Czyliż nie lepiej być ślepym, niżeli
Po to otworzyć oczy, aby przepaść
Zobaczyć, w którą własnemi rękami
Potrzeba rzucić wszystko, co najdroższe
Jest dla człowieka? (*Wchodzi Sługa*).

Belizaryusz. Cóż tam?

Sługa. Cesarzowa
Przybyła panie do twego pałacu. (*Wychodzi*).

(*Belizaryusz idzie naprzeciw do drzwi głównych, któremi wchodzą Teodora i Anastazy*).

SCENA 3.

Belizaryusz. Teodora. Anastazy.

Teodora. Belizaryuszu, niegodnieś postąpił
Ze swoją żoną! Kazałeś rozgłosić,
Że wyjechała nagle, a tymczasem
Ty ją w więzieniu trzymasz, skąd dziś wreszcie
Tajemną drogą list od niej mię doszedł,
Pełen rozpaczy i kreślony ręką
Drżącą o życie!

Belizaryusz. Cokolwiek się stało,
I co się stanie, zasłużyła na to,
I sprawiedliwość tylko ją spotyka.

Teodora. Jesteś surowy jak Brutus, mój wodzu!
Lecz zapomniałeś widać, że w tem państwie
Nie w twoich rękach spoczywają szale
Sprawiedliwości ani jej miecz ostry.
Wiesz, że twa żona jest mą przyjaciołką,
I ja jej krzywdy zrobić nie pozwolę.

Belizaryusz. Więc czego żądasz, najjaśniejsza pani?
Teodora. Chcę ją tu widzieć.
Belizaryusz. Nie z własnej mej woli
Czynię to, ale z twojego rozkazu. (*Wychodzi*).

SCENA 4.

Teodora. Anastazy.

Teodora (*patrząc za Belizarem*).
Jakże podoba ci się taki człowiek,
Który się stroi w starorzymską cnotę,
I w naszych czasach bawi się w Katona?
Nie lubię ludzi takiego gatunku,
Są oni nędzni i śmieszni zarazem!
Anastazy. Pani, polecam tę sprawę gorąco
Twojej opiece także przez wzgląd na mnie.
Pamiętaj o tem, że gdy Antoninę
Spotka co złego, to moje małżeństwo
Z piękną Joanną jest bardzo wątpliwe.
Teodora. Choć Antonina może nazbyt śmiało
Postępowała, i dość nierozważnie
Przed światem nawet nie taiła swoich
Uczuć namiętnych dla Teodozego,
Nie wątpię jednak, że zrobię co pragnę.
Anastazy. Prawda nie może nas obowiązywać,
Gdy własna korzyść każe ją nam pokryć.
Teodora. Ten Belizaryusz ma serce, którego
Pozazdrościćby mogła mu kobieta,
Taka kobieta naturalnie, jaką
Wy w wyobraźni swej tworzyć lubicie,
Jakiemi przecież nie wszystkie jesteśmy
Na nasze szczęście.
Anastazy. O tobie najpierwszej
Można powiedzieć, że umysł nasz męski,
Że wola twoja i rozum przewyższa
Z nas niejednego. Na to ja też liczę,
I w tem pokładam zupełną nadzieję.

Teodora. Jak widzę, piękny mój panie, zdobywco
Tylu kobiecych serc, niedorównany
Wzorze poloru i dworskiej świetności,
To ten dopiero się wykłuwający
Pączek, naprawdę nęci twe pragnienie.
Ciekawam tylko, czegoś więcej chciwy,
Czy tego kwiatu, czy jego oprawy
Dyamentowej?

Anastazy. Nie sądź tak źle o mnie!
Piękność Joanny zbudziła me żądze,
I ten tak rzadki urok niewinności.

Teodora. Dla zepsutego twego podniebienia
Potrzeba świeżej i niezwykłej strawy —
Rozumiem. Jesteś już w ostatniem stadyum
Swego zawodu, kiedy chcesz się rzucić
Na taką zdobycz! Będziesz ją miał, ufaj.
Słuszną jest rzeczą, ażeby te skarby,
Które Belizar zebrał z naszą szkodą,
Do kogoś z naszej rodziny wróciły.
On mógłby sobie kiedyś za nie kupić
W swym przyszłym zięciu także sprzymierzeńca
Niebezpiecznego dla nas. W twych zaś rękach
One się wkrótce, choć tak wielkie, stopią,
I ty ich na nic złego nie użyjesz.

(*Głównemi drzwiami wchodzi Belizaryusz, za nim Antonina*).

SCENA 5.

Teodora, Anastazy. Belizaryusz. Antonina.

Belizaryusz (*w głębi, do Antoniny*).
Przed cesarzową zostałaś wezwana....

Antonina (*zbliża się prędko do Teodory*).
Więc ty, o pani, jesteś mą zbawczynią —
Nie darmo twojej błagałam pomocy!
I teraz znowu padam na kolana,
Zbaw mię od hańby i niechybnej śmierci!

Teodora. Nie miej obawy żadnej od tej chwili —
Pod mą opieką jesteś. Belizarze,
Nagrodzić musisz ten czyn nieszlachetny,
Do którego cię, nie wiem, nierozsądek
Czy złość popchnęła, przynosząca ujmę
Twojej osobie i charakterowi.
Uklęknij przy niej i proś przebaczenia.
Antonina. O nie, przebaczyć ja jemu nie mogę,
Nie żądaj, pani, tak wiele ode mnie!
Większą jest moja krzywda od litości,
I wszelkie we mnie zabiła uczucie.
Na mnie niewinną rzucił podejrzenie
Ciężkie i straszne, i na mocy błahych
Jakichś pozorów i występnej skargi
Wtrącił w więzienie, i zamyślał pewnie
Odebrać życie — i to mam przebaczyć!
Belizaryusz. Nie mów o skargach i pozorach błahych!
Któż cię to skarżył?... przecież syn twój własny,
Który być pewnym musiał twojej winy,
Kiedy uczynił prawie wbrew natury
Rzecz tak niezwykłą.
Antonina. Któryż synby zechciał
Oskarżać matkę, tylko syn wyrodny?
A wyrodnemu czyliż wierzyć można?
Czy zasługuje na wiarę ten człowiek,
Co przeszedł złością najgorszych zbrodniarzy?
Teodozego zrobił mym kochankiem!
Przecież mam świadków tylu, niech powiedzą,
Czy w tem choć cień jest prawdopodobieństwa?
Na całym dworze, czy kto słyszał o tem,
Wprzód nim to kłamstwo powstało w przewrotnej
Głowie Focyusza!...
Anastazy. Możemy zaświadczyć,
Nic podobnego, że nigdy nie było.
Dziwić się tylko potrzeba, że człowiek
Z tem doświadczeniem i z takim rozumem
Jak Belizaryusz, mógł tak ślepo ufać
Focyuszowi. Nie zaprzeczam jemu

Wielu przymiotów, lecz i to rzecz pewna,
Że Focyusz dziwak jest, że fantastyczny
Jest jego umysł, i że na świat patrzy
Jakiemś niezwykłem, chorobliwem okiem.
Stąd często widzi to, co w gruncie rzeczy
Imaginacyi tylko jest chimerą.

Belizaryusz. Gdyby tak było!...

Teodora. Lecz tak jest w istocie!

Belizaryusz. Gdybym mógł wierzyć, o gdybym mógł [wierzyć!...

Teodora. Czyliż ci niedość świadectwa twej żony
I obcych ludzi? cały świat powiada,
Że Antonina niewinna, ty jeden
Chcesz tylko temu przeczyć — to szaleństwo!

Antonina. Zakończmy, pani, tę przykrą rozmowę;
Wiary nie wzbudzę w upornym umyśle,
I nie dbam o to, bom już jest zraniona
Zanadto ciężko. Więc pozwól mi tylko,
Bym opuściła jak najprędzej dom ten,
Dokąd powracać nie myślę już nigdy.

Belizaryusz. Co? Antonino, ty chcesz mnie porzucić,
Chcesz się rozłączyć ze mną?...

Antonina. To rzecz prosta;
Gdyby nie wolność, wszakże śmierć nas miała
Rozłączyć z sobą...

Belizaryusz. Och, byłem szalony,
Byłem pijany z wielkiej mej boleści!
Cobądź czyniłem, nie zdawałem sobie
Sprawy z mych czynów i nie pomyślałem,
Jakie być muszą później ich następstwa,
I nigdy cała naga rzeczywistość
Nie stanęła mi jak teraz na oczach,
Że jabym ciebie mógł stracić, a potem
Że jabym nie mógł przeżyć twojej straty,
Tak jakby serca pół kto mi wykrajał
I ciała drugą połową żyć kazał!
Teraz dopiero ja się przekonywam,
Jak w głąb mej duszy zaszła twoja miłość,

Że ciebie stamtąd wyrwaćby nie można,
Nie burząc razem i jej fundamentów!...
Stracić cię — z tobą się rozłączyć — nigdy! —
Ciebie nie widzieć — to straszne!... O czemuż
Wcześniej tym głosem się nie odezwałaś,
Który mi dowieść mógł twej niewinności?

Teodora. Widzisz, jak smutne skutki nierozsądnej
Twojej zazdrości, której owocami
Są wasze wspólne cierpienia jedynie.
Lecz mam nadzieję, że ona przebaczy,
Widząc twą skruchę i żal niekłamany.
Więc jak mówiłam, uczyń, i u stóp jej
Proś przebaczenia.

Belizaryusz (*klęka przy Antoninie*).
To nie będzie karą,
Lecz ulgą dla mnie, i za to co złego
Mogłem uczynić, zostałem już srogo
Przez męki serca własnego skarany.
Patrz! jak twarz moja pobladła, jak oczy
Straciły blask swój i w dół się zapadły!
Dziesięć lat życia, mniej niż te dni kilka
Byłyby sił mych zużyły, bo czas ten
Był jednem tylko rozpamiętywaniem,
Bolesnem, gorzkiem, i więcej trującem
Niż wszystkie jady, które ciało gubią,
Żem stracił skarb mój najdroższy —
[twą miłość!...
Gniewu i zemsty krótkie były chwile,
Lecz nieskończenie długie chwile żalu,
Który w milczeniu tak żarł moje serce
Jak sęp zgłodniały!

Teodora. Bądź wspaniałomyślną,
Podaj mu rękę, Antonino!

Antonina. Zadość
Twemu wstawieniu się czyniąc, przebaczam —
Czy będę mogła tak prędko zapomnieć,
Nie wiem...

Belizaryusz. O dzięki, droga Antonino!
Znów odetchnęła swobodnie pierś moja!
Anastazy (*n. s.*) Dokądże chytrość kobiet nie dochodzi!
Niech kto chce przeczy, czyż można im ufać?
I czy nie trzeba iść za ich przykładem?
Teodora. Za całą wdzięczność wymagam od ciebie,
By Teodozy nic złego nie doznał.
Antonina. Twój honor kładzie ci ten obowiązek,
By nikt przez ciebie niewinnie nie cierpiał.
Belizaryusz. Bądźcie spokojne. W rękach Focyusza
Jest Teodozy, lecz z mego obłędu
Żadne złe skutki na niego nie spłyną.
Teodora. Focyuszowi wydać go rozkażę.
A teraz, wodzu, żona twa się uda
Do cesarskiego pałacu wraz ze mną.
Trzeba pokazać światu, że jest wolna,
Że na jej sławie niema żadnej plamy,
Że fałszem wszystko to co złe języki
Mogły rozsiewać o waszej niezgodzie.
Belizaryusz. Nowy to dowód twojej łaski, pani.
(*Przy ostatniej mowie Teodory Joanna weszła i zatrzymała się w głębi*).

SCENA 6.

Teodora. Anastazy. Belizaryusz. Antonina i Joanna.

Joanna (*n. s.*) Jej wybawienie będzie moją zgubą.
(*Zbliża się do Teodory*).
Przebacz mi, pani, że staję przed tobą,
I jedną chwilę daruj mi rozmowy.
Teodora. Mów, moje dziecię, chętnie cię wysłucham.
Joanna. Jestem sierotą, bo chociaż mam ojca,
Brak macierzyńskiej mi czułej opieki,
A męskie serca nie zawsze zdołają
Pojąć co dzieje się w duszy dziewczyny.
Ciebie więc wziąć chcę za mą opiekunkę,
Wzywam twej łaski i miłości dla mnie,

Bo będąc kraju tego monarchinią,
Jesteś przez Boga jakby przeznaczona
Na matkę wszystkich, a tembardziej sierot.

Teodora. Umiesz przemawiać do współczucia innych —
Mów, czego żądasz?

Joanna. Tego co najlichsza
Mogłaby żądać od ciebie poddanka:
Aby mi wolno było rozporządzić
Swym losem według mej duszy skłonności.

Antonina. Nikt przecie gwałtu nie chciał tobie zadać!

Joanna. O to cię błagam, abym mogła obrać
Zakonny żywot i wejść do klasztoru.

Antonina. Co mówisz?.. Znowu nierozsądny pomysł!
Belizaryuszu, czyż na to pozwolisz?

Belizaryusz. Nie dziś raz pierwszy słyszę, że przemawia
W podobny sposób. Z jej rozmaitych wyznań,
W różnych wypadkach i okolicznościach,
Mogłem przekonać się, że mimo młodość,
Mimo wysokie w świecie stanowisko,
Jej dusza nie lgnie do świata i jego
Znikomych uciech. A skoro powtarza
Ciągle toż samo, widzę, że to stałe
Postanowienie jej i powołanie.

Joanna. Masz słuszność, ojcze, i nic mię nie zdoła
Odwrócić z drogi tego powołania.
Wiem o zamysłach twoich, cesarzowo,
Wiem, żeś mię chciała widzieć żoną księcia,
I woli twojej byłabym posłuszna,
Gdyby mi jakiś głos w duszy nie mówił,
Że całkiem inne moje przeznaczenie.
Dla księcia żadnej nie będzie w tem ujmy
Ani obrazy, bo ja nie przyjmując
Świetnego losu, który z nim mię czekał,
Wszelkich światowych związków się wyrzekam.
Cóż myślisz, pani?.,. nic nie odpowiadasz?...

Teodora. W istocie sprawa ta nie jest tak łatwa!..
Pozwól mi chwilę rozmówić się z księciem.
(*Do Anastazego*). Cóż myślisz o tem?

Anastazy (*n. s.*) Przystań bez namysłu'
I weź ją z sobą. O to tylko chodzi,
By ją mieć w rękach. Resztę ci wyjaśnię
Późniejszym czasem.
Teodora. Skoro tego żądasz....
Anastazy. Nie wątp ni chwilę o dowcipnej myśli,
Która mi nagle zabłysnęła w głowie.
Ja szepnę słówko także Antoninie,
Obie mię potem będziecie podziwiać.
(*Odchodzi do Antoniny i rozmawia z nią*).
Teodora (*do Joanny*).
Książę się zgadza chociaż nie bez smutku,
Słusznym powodom twoim ulegając.
Wielka to szkoda, że chcesz świat pozbawić
Tylu cnót pięknych i wdzięków młodości,
Ale przy mocnem twem postanowieniu
Nie chcę próbować daremnej namowy.
Jak chciałaś, biorę cię więc pod opiekę,
I sama oddam cię na służbę Bogu.
Pożegnaj ojca, bo pójdziesz wraz ze mną
Do cesarskiego pałacu, by stamtąd
Przejść do klasztoru.
Joanna. O łaskawa pani,
Nie umiem godnie tobie podziękować
Za taką dobroć! — Ojcze, żegnam ciebie!
Nie przynosiłam ci dotychczas szczęścia,
I dni twych starych nie będę pociechą —
Nie wypełniłam mego obowiązku...
Lecz się nie gniewaj i nie czyń wyrzutów,
Że córka ciebie opuszcza, bo dla niej
Nic tu na świecie nie było dobrego.
A że jest słabem i trwożnem stworzeniem,
Idzie się ukryć do silnej fortecy
Pana na niebie, przed tych klęsk bojaźnią,
Które ją w życiu czekały. Błogosław
Twojemu dziecku, na tę drogę, ojcze!
Belizaryusz. Łzy moje niechaj będą ci dowodem,
Jak cię żałuję, i jak twoją wolę

Umiem szanować. O, bywaj mi zdrowa,
Bywaj szczęśliwa, nieziemska istoto,
Już w swej kolebce na to przeznaczona,
Ażeby tęsknić do innego świata!

Teodora. Więc ty, Joanno i ty Antonino,
Pójdziecie ze mną. Ty zaś, Belizarze,
Do progu domu chciej nam towarzyszyć.

(*Wszyscy wychodzą głównemi drzwiami, bocznemi wchodzą Marcellus i Buzes*).

SCENA 7.

Buzes. Marcellus.

Buzes. Poselstwo nasze bardzo jest drażliwe,
Pamiętaj o tem, kochany Marcelli,
I trzeba użyć całej przezorności,
A nadewszystko, by mniej ani więcej
Nic nie powiedzieć, nad to co konieczne
Do wybadania Belizaryusza.

Marcellus. A jabym myślał, że tu w politykę
Tak bardzo nam się bawić nie potrzeba.
Mówmy z nim jako z człowiekiem wojennym
Wojenni ludzie — poprostu a szczerze,
Bez obwijania niczego w bawełnę,
Powiedzmy jemu: ot, tego a tego
Pragną od ciebie — zgadzasz się, nie zgadzasz?
Odpowiedz jasno.

Buzes. Veto! nie pozwalam!
To najwyraźniej by się sprzeciwiało
Naszym mandatom i naszej instrukcyi.
Nam więcej nadto nic nie polecono,
Tylko ażeby zbadać terytoryum,
Rozumiesz: zbadać, wymacać, przewąchać,
Jak rzeczy stoją. A więc delikatnie,
Ostrożnie, zręcznie i z wszelką dyskrecyą
Do tego dzieła się bierzmy. Inaczej

Na szwank narazić moglibyśmy łatwo
Justyniana powagę. Rozumiesz?

Marcellus. Tak, niby trochę, lecz nie całkiem dobrze.
Lecz wiesz co, weź ty wszystko na swą głowę!
Bo ja się nie znam na tych subtelnościach,
Przyzwyczajony jestem zawsze bić się
Cięciem, nie sztychem.

Buzes. Dobrze. Więc ja będę
Za dwóch nas mówił, ty tylko potwierdzaj.

Marcellus. Niechże uściskam cię za tę przysługę!
W ten sposób możesz być całkiem bezpieczny,
Że nie popełnię nic niedorzecznego,
Z wyjątkiem chyba takiego wypadku,
Żebym potwierdził twoją niedorzeczność.
No, ale za to ręczy mi twa mądrość!

Buzes. Więc baczność! oto Belizaryusz idzie.

(Belizaryusz wraca).

SCENA 8.

Belizaryusz. Marcellus. Buzes.

Buzes. Witaj nam, wodzu.

Belizaryusz. Witajcie w mym domu!

Buzes. Widzisz nas obu w smutku pogrążonych...

Marcellus. Tak jest, jesteśmy obaj bardzo smutni!

Buzes. Wracamy właśnie z cesarskich pokojów,
Gdzie widzieliśmy, w jakie zamieszanie
Wprawiły cały dwór świeże nowiny...

Belizaryusz. O czem? Cóż znowu stało się nowego?

Buzes. Gońcy przynieśli tę wieść nieszczęśliwą,
Że Bułgarowie od pewnego czasu
Po prowincyach mordują i łupią,
I że, co gorsza, choć to jeszcze dotąd
Nie jest rzecz pewna, trzeba się obawiać,
Że na stolicę te hordy uderzą.

Belizaryusz. Zaiste, sprawa byłaby to trudna
I niebezpieczna!

Buzes. Tem niebezpieczniejsza,
Że w mieście mamy pełno różnych stronnictw
I malkontentów dużo, którzy pewnie
Byliby radzi schwycić tę sposobność,
I wewnątrz murów bunt podnieść.
Marcellus. Tak, wojna
I bunt! — to z jednej a to z drugiej strony!
Belizaryusz. Cóż cesarz mówi?
Buzes. Wydał już rozkazy,
Nakazał baczność, ale to niedosyć!
Jesteśmy w takiem strasznem położeniu,
Że zginiem pewnie, jeśli się nie znajdzie
Jaki wybawca...
Marcellus. Wybawca! — rozumiesz,
Belizaryuszu?...
Buzes. Mówię, taki człowiek,
Który jest zdolny wzbudzić ufność w wojsku,
I rozgrzać męstwo nawet wobec wrogów
Przeważającej liczby, który także
Serca mieszkańców mógłby sobie zjednać,
I swą powagą uciszyć stronnictwa.
Marcellus. Tak, tak, masz słuszność — takiego potrzeba!
Belizaryusz. Czyż cesarz mało ma podobnych ludzi?
Jest Witalian, są dwaj Helluowie,
I ty Buzesie, i ty Marcellusie!
Buzes. To wszystko nie jest to czego potrzeba.
Gdybyś ty, wodzu, był tyle szlachetny,
I z własnej chęci podjął się być zbawcą;
Gdybyś cesarza prosił o dowództwo,
Nie wspominając nic, że w tym przedmiocie
Coś mówiliśmy z tobą, to nie wątpię,
Że cesarz gotów zrobić ci tę łaskę.,
Belizaryusz. Zbyt cię daleko unosi twa przyjaźń.
Jestem na dworze niemile widziany
Cesarz już nie ma do mnie zaufania,
Niedawno przecie jego własna wola
Usunęła mnie od mojego wojska,
I na bezczynność zostałem skazany

Jak ten, którego sądzą nieudolnym,
Lub na którego miała spaść niełaska.

Buzes. Mylisz się, wodzu, nigdy nie był lepiej
Usposobiony dla ciebie monarcha.
A wiem to dobrze, bo po tysiąc razy
Miałem sposobność słyszeć, jak przyjaźnie,
Z jakiemi zawsze dla cię pochwałami
O twej osobie się odzywał.

Marcellus. Prawda!
Co Buzes mówi, możesz temu wierzyć,
Bo to jest mądry bardzo dyplomata,
Który chociażbyś mówił: nie! rozpozna,
Że w głębi duszy ty: tak! powiedziałeś.

Buzes. A więc cóż, wodzu?...

Belizaryusz. Gdyby cesarz żądał,
Ja z posłuszeństwem spełnię jego wolę.

Buzes. Byłoby lepiej, gdybyś sam się udał...

Belizaryusz. Tego nie mogę zrobić — odtrącony,
Sam się narzucać nie mogę.

Buzes. Lecz rozważ...

Belizaryusz. Nie, mój Buzesie!

Buzes. Lecz możemy liczyć
Na pewne, że nie odmówisz przyjęcia,
Gdybyśmy zręcznie tę myśl podsunęli
W cesarskiej radzie. Bo jak widzisz, wodzu,
O nas tu chodzi, byśmy nierozważnie
Gniewu cesarza na się nie ściągnęli,
Gdybyś się cofnął.

Belizaryusz. Mój miecz na usługi
Zawsze jest gotów tronu i ojczyzny!
O tem możecie cesarza zapewnić.

Marcellus. To nam wystarczy! Jak widzisz, Buzesie,
Belizaryusz nie odmawia, zatem
Możemy śmiało wrócić do pałacu
I cesarzowi donieść, że z swej missyi
Jak najpomyślniej się wywiązaliśmy.
Szlachetny wodzu, niechże cię uściskam.

Buzes. Co mówisz?... żadnej missyi tu nie było,
Lecz przyjacielska jedynie rozmowa...
Ale to prawda, że odejść musimy,
Bo na naradę cesarz nas zawezwał.
Bóg z tobą, wodzu! Powiem cesarzowi,
Jakiego w tobie ma wiernego sługę.
(*Buzes i Marcellus wychodzą*).

Belizaryusz (*sam*).
Gdy przyszła trwoga, przypomniano sobie,
Że tu miecz dzielny w swej pochwie rdzewieje!..
Dla mnie to będzie zbawienne lekarstwo
Na rany serca świeżo odebrane;
W chaosie wojny będę mógł zapomnieć,
Z mojego szczęścia ile utraciłem,
Gdy mą pociechą to tylko, że z losem,
Który mi przypadł, pogodzić się umiem.
(*Za sceną słychać głosy:*
Focyusz! niech żyje Focyusz! Focyusz!)

Belizaryusz. Focyusz! to on!.. Co znaczą te krzyki!..
(*Focyusz wchodzi prędko*).

SCENA 9.

Belizaryusz. Focyusz.

Focyusz. Cóż uczyniłeś, Belizaryuszu?
Zaledwiem stanął z powrotem w tem mieście,
Razem z ofiarą twojej słusznej zemsty,
Pełen nadziei, że tak szpetnym zbrodniom
Kara nareszcie będzie wymierzona,
Cóż zobaczyłem?... Oto Antoninę
W cesarskim wozie, z rozjaśnioną twarzą,
Z dumą na czole, rzucającą iskry
Z bezwstydnych źrenic na tłumy, co nizkie,
Idąc ulicą, biły jej pokłony!...
Cóż uczyniłeś?... pytam cię raz drugi!
Ja ci oddałem miecz sprawiedliwości,
Zrobiłem ciebie niby owem bóstwem,

Które rozsądza między złem a dobrem,
I w świat wprowadza ład i równowagę,
Biorąc pod puklerz swój skrzywdzoną cnotę!
A tyś przełamał ten miecz i odrzucił,
Odepchnął cnotę od siebie, i przeszedł
Na stronę zbrodni — i dał nowy przykład,
Jak się urąga bezkarnie występek
Najświętszym prawom ludzkiego sumienia!...
Pod twą opiekę oddałem mój honor,
Zdałem na ciebie mą połowę zemsty —
Sprawiedliwości winienbym powiedzieć —
Bom w tobie widział wyższe od swych prawa,
A tyś tę własność moją, mnie najdroższą
Stracił, zmarnował, jakby w ślepym szale
Gracz zapalony, co ostatnie mienie
Biednej sieroty postawił na kartę!...
Cóż uczyniłeś?... powiedz, gdy masz jeszcze
Słowa w swych ustach na odpowiedź dla mnie!..
O, jeśliś nie dbał o swą cześć, o cnotę,
Gdyś obojętnie patrzył na występek,
Gdy twe sumienie nie zna już różnicy
Pomiędzy dobrem a złem, toś przynajmniej
O swej przysiędze winien był pamiętać,
O tej przysiędze uroczystej, strasznej,
Którą złożyłeś tutaj, na kolanach,
W obliczu Boga!

Belizaryusz. Kto na złą rzecz przysiągł,
Maże część grzechu, gdy nie dotrzymuje.

Focyusz. Więc ty przysiągłeś na złą rzecz!.. O nieba!

Belizaryusz. Tak jest, mój synu — ona jest niewinną!

Focyusz. Ona niewinną!.. Ha, to chyba piekło
Jest zbiorem samych przeczystych aniołów!
Któż ci dowody dał jej niewinności?

Belizaryusz. Z jej ust nabrałem o tem przekonania,
I cesarzowa mi to potwierdziła.
To ty myliłeś się w swych podejrzeniach,
Ty wziąłeś pozór za prawdę, o której
Prócz ciebie więcej nikt z ludzi nie wiedział.

Focyusz. Ha, Teodora!.·. byłem tego pewny.
Wiesz, co zadaniem jest owych aniołów
Upadłych, których niebo odrzuciło?
Oto do złego kusić inne dusze,
I na manowce sprowadzać występku,
By nie dostały się do tego raju,
Co dla nich samych na wieki zamknięty!
Toż samo czyni także Teodora!...
Ta wyuzdana hetera, co ciałem
Swojem kupczyła, ta nędzna hecarka,
Co w cyrku była igraszką motłochu,
Gdy niepojętem losów przeznaczeniem
Na szczyt najwyższy społeczeństwa wyszła,
Na tej ludzkości teraz mścić się pragnie,
Która ją niegdyś wyzuła ze wstydu,
I długo gniotła pogardą do ziemi.
Gdy przemierzyła całą otchłań zbrodni,
Gdy się kąpała w najbrudniejszym kale,
Wszystkich radaby widzieć w tej przepaści!
Cnota, szlachetność, wspaniałość umysłu,
To są te rzeczy, których nienawidzi,
To jest to niebo dla niej niedostępne,
Którego wszystkich pozbawićby chciała!...
Lecz jeszcze jeden znalazł się z śmiertelnych,
Przed którym blednąć musiała jej duma —
To Belizaryusz! On nie dał się spodlić,
Ni kroku z prawej nie ustąpił drogi,
Stał niewzruszony w swojej szlachetności
Jak skała... Taką gwiazdę trzeba zgasić,
Bo przy jej blasku mdleje światło słońca,
Bo może drugiem być słońcem na niebie,
Tam, gdzie jest tylko miejsce dla jednego!
Trzeba go zrobić nikczemnym i małym,
Aby nad poziom ludzki nie wyrastał,
By tak jak inni godzien był pogardy!...
Więc w jego sercu trzeba było znaleźć
Jednę z tych ludzkich słabości, od których
Nikt nie jest wolny — słabość małą, drobną,

Lecz zawsze słabość! — tę Achillesową
Piętę, do której gdy się cios wymierzy,
Ciało w Styksowej wodzie ukąpane
Polegnie trupem tak jak każde inne...
Znalazła takie miejsce w twojem sercu,
O nieszczęśliwy! — i pogardza tobą
Tak jak innymi, i oddała ciebie
Na pastwę wzgardy dla całego świata!

Belizaryusz. Przestań! — Chociażby błąd był w mym [postępku,
Ja tę kobietę kocham tak dalece,
Że jestem gotów poprzestać na cząstce
Choćby najmniejszej, jakiej mi udzieli
Ze swego serca — choćby na złudzeniu,
Choćby na fałszu miłości — i kiedy
Ona mi powie, że mnie kocha, jestem
Szczęśliwy z tego, to mnie zadawalnia,
I nie chcę badać, prawda to czy kłamstwo?
Bo udawanie uczucia jest przecież
Już jakąś cząstką jego, i czemś więcej
Niż przyznawanie, że go niema wcale.

Focyusz. O nieszczęśliwy! chciałem ciebie wyrwać
Z tego odmętu, podnieść cię do góry,
Lecz ty samochcąc dążysz do swej zguby!
(*Wchodzi Antonina z Żołnierzami*).

SCENA 10.

Focyusz. Belizaryusz. Antonina. Żołnierze.

Antonina (*do Żołnierzy — wskazując Focyusza*)
Oto go macie! wypełnijcie rozkaz,
Jaki wydała cesarzowa!

Focyusz. Prędko
Bierzesz swój odwet!.. lecz się spodziewałem,
Że to nastąpi.
(*Żołnierze otaczają Focyusza. Do Belizara*)
Patrzysz teraz niemy,

Nie możesz znaleźć ni jednego słowa,
Aby zapobiedz temu, co się dzieje.
Gdy popełniłeś jedno złe, na drugie
Przyzwolić musisz...

Antonina. Cesarzowa każe,
Teodozego byś wydał w tej chwili...

Focyusz. Wszakże wiesz dobrze, jak on dla mnie drogi;
Nic mi go w świecie, nawet śmierć nie wydrze.

Antonina. Natenczas my go odbierzemy sami,
A ty za upór zostaniesz skarany!

Focyusz. Daremnie trudzić się tylko będziecie;
Choćbyście całe miasto rozburzyli,
Nie zostawiając jednego kamienia
Na swojem miejscu, wy go nie znajdziecie.

Antonina. Ha, zobaczymy!
(*Daje znak Żołnierzom, by szli za nią i sama zmierza ku drzwiom. Za sceną słychać głosy*: »Niechaj żyje Focyusz!«)
Co to za krzyki!... Wstrzymajmy się chwilę!
(*Wchodzą*: *Justynian*, *Teodora*, *Buzes*, *Marcellus i Orszak cesarski*).

SCENA 11.

Justynian. Teodora. Belizaryusz. Buzes. Marcellus. Orszak. (W głębi) Antonina. Focyusz i Żołnierze.

Justynian. Stało się! w głowę naszą grom uderzył!
Już Bułgarowie oblegli stolicę —
W mieście gwałt, przestrach, trwoga, zamieszanie!
Ty jeden, wodzu, możesz nas ocalić...
Bierz z mojej ręki naczelne dowództwo,
I bądź Kamillem drugim dla drugiego
Rzymu! Jeżelibyś tego uczynić
Nie chciał dla mojej korony i tronu,
Dla przyjaciela to uczyń, co w chwili
Niebezpieczeństwa o pomoc cię prosi;
O, nie wątp o tem, że mimo pozorów,
Co mogły ufność twoją do mnie zachwiać,

W mem sercu zawsze jesteś zapisany
Jako najmilszy przyjaciel i zawsze
Chowam w niem dla cię najlepsze uczucia!

Belizaryusz (*klękając*)
Panie, dość tobie rozkazać, bym spełnił
Twoje życzenia! Łaską to jest dla mnie,
Gdy mi pozwalasz ojczyźnie i tobie
Oddać przysługę, na jaką mię stanie.

Justynian (*podnosi go*). Dzięki, szlachetny Belizaryuszu,
Nie do mych kolan, lecz pójdź do mych piersi!

Teodora. Niech próżna trwoga precz teraz ustąpi,
A hasłem naszem jedynem niech będzie:
Śmierć lub zwycięstwo! Niema innej drogi,
Niema wyboru! Wszak o tron walczymy!
Każdy kto ujrzy jasność tego światła,
Musi umierać — więc śmierć nie jest hańbą!
Lecz dnia takiego nie chciałabym dożyć,
W którymby spadła purpura z mych barków,
Ni tej godziny, w którejby mię ludzie
Mogli spotykać, czci mi nie oddając
Jako swej pani! Niewola, upadek
I poniżenie idą za tchórzostwem,
I upadlają każdego człowieka,
A cóż dopiero mówić o monarsze,
Który jest niczem i mniej niż nędzarzem,
Gdy się o jeden tylko stopień zniży
Z tej wysokości, na której stał przedtem!...
Więc gdy śmierć z jednej, hańba z drugiej [strony,
Jeśli zwycięzstwo w ich środku nie stanie,
To nam wypada tylko śmierć wybierać,
Dla której tron jest najpiękniejszem łożem!

Justynian. Jesteś jak lwica wspaniała i mężna,
Nie chcę w odwadze dać ci się zawstydzić!

Głosy (*za sceną*). Niech żyje Focyusz!

Justynian. Co znaczy ten okrzyk?
Już kilka razy słyszałem go dzisiaj
Po różnych stronach stolicy.

Dworzanin (*wchodzi*). Cesarzu,
Przy bramie tego pałacu zebrane
Tłumy mieszkańców proszą o przyjęcie
Ich wysłanników.
Justynian. Powiedz, że wejść mogą.
(*Dworzanin wychodzi*).
Dzisiaj nie można niczego odmawiać.
(*Wchodzi kilku Obywateli*).

SCENA 12.

Justynian. Teodora. Belizaryusz. Buzes. Marcellus. Orszak. Obywatele. (*W głębi*) *Antonina. Focyusz i Żołnierze.*

I Obywatel. Wielki cesarzu, łaskawy monarcho!
Obywatele zebrani na placu,
W tej trwodze, jaka na nas wszystkich padła,
Błagają ciebie przez me usta, abyś
Dowództwo oddał Belizaryuszowi,
Bo w nim jedynie pokładają ufność,
Że zdoła klęskę od miasta odwrócić
Justynian. Czego żądają, to już uczyniłem,
I Belizaryusz jest naczelnym wodzem.
I Obywatel. Dzięki ci, panie. Ale jeszcze drugą
Mam zanieść prośbę, Do tej chwili miasto
Nieprzyjaciela byłoby już łupem,
Gdyby nie męstwo i wielka przytomność
Focyusza...
Justynian. O tem jeszcze nie słyszałem.
I Obywatel. Właśnie Bułgarzy pod zachodnią bramę
Byli podbiegli, kiedy on z nielicznym
Poczetem zbrojnych przez tę bramę wjeżdżał.
Nie było żadnej straży w owem miejscu,
I brama jeszcze nie była zamknięta,
Nic łatwiejszego nie było dla wrogów,
Jak przez nią rzucić się do środka miasta.
Wtedy to Focyusz ze swoją drużyną

I z niewieloma mieszkańcami, którym
Umiał odwagi dodać, na nich wpada,
Rozbija, zmusza do prędkiej ucieczki,
I w jednej chwili bramę tarasuje.
Tym czynem takie wzbudził podziwienie
We wszystkich sercach, że go za wybawcę
Stolicy mają, a że już oddawna
Miłość powszechną także sobie zyskał
Przez swą szlachetność, łagodność i rozum,
Więc wszyscy jego chcą widzieć na czele
Obrońców wespół z Belizaryuszem,
I oto treść jest naszej drugiej prośby.

Justynian. I tej uczynię zadość. Gdzie jest Focyusz?

Antonina (*zbliża się*).

Panie, w tej chwili on do mnie należy...

Justynian. Prywatne zajścia muszą dziś ustąpić
Publicznym sprawom. Zbliż się, Focyuszu.
(*Focyusz zbliża się, uklęka przed Cesarzem*).
Mianuję ciebie konsulem kolegą
Belizaryusza. (*Focyusz powstaje*).

Antonina (*n. s.*). O, mój Teodozy,
Jesteś zgubiony!... o, ja nieszczęśliwa!
(*Wybiega głębią, załamując ręce*).

I Obywatel. Niech żyje cesarz! Teraz kiedy miasto
Ma na swem czele tych obu dowódzców,
Do krwi ostatniej kropli walczyć będzie!

Belizaryusz. Przysięgam na ten miecz, że wprzód na
[marach
Ujrzysz mię, panie, niźli pokonanym!

Teodora. Dalej do dzieła, na mury, na wieże!
Niech żyje cesarz! śmierć tym barbarzyńcom!
(*Wychodzą wszyscy, prócz Focyusza*).

Focyusz (*sam*). O, opatrzności! więc moje zamysły
W twojej mądrości znalazły poparcie,
Kiedyś mi władzę oddała do ręki.
Mocy, godności nie pragnąłem nigdy,
Nie uważałem ich za godne życzeń,
Ni za cel, który mógłby nęcić duszę.

Lecz widzę, że to jest boskie narzędzie
W dłoni, co użyć go na dobre pragnie.
(*Wchodzi Lucyusz*).

SCENA 13.

Focyusz. Lucyusz.

Lucyusz. O panie, pozwól mi wynurzyć radość,
Jaką uczułem, usłyszawszy nagle
O wyniesieniu...
Focyusz. Nie czas teraz na to,
Drogi Lucyuszu. Najprzód to mi powiedz,
Co uczyniłeś z Teodozym, czyli
Wszystko, jak chciałem, dało się wykonać.
Lucyusz. Jak najzupełniej, zamknąłem go w ruinach
Starego cyrku, tak jak rozkazałeś,
I do twej woli stosownie, spełniłem
To tak tajemnie, że z obecnych ludzi
Nikt się osoby więźnia nie domyślał,
I nikt, z wyjątkiem mnie, nie wie dokładnie,
W którem on miejscu został uwięziony.
Oto klucz wieży.
Focyusz. Dzięki ci, Lucyuszu.
Wiem, że w twej piersi jest ta tajemnica
Równie bezpieczną jak i w mojej własnej. —
O Belizarze! teraz cię powiodę,
Czy chcesz czy nie chcesz, tam gdzie moja wola,
Wyrwę cię z tego nikczemnego świata,
I nie pozwolę upaść twej wielkości!
(*Obaj wychodzą*).

AKT CZWARTY.

Plac za murami miejskimi. Dwa namioty bliżej widzów, kilka innych w głębi. Noc.

SCENA 1.

Focyusz. Marcellus i Lucyusz (stoją bliżej widzów na boku). Belizaryusz (w zbroi i z dobytym mieczem wchodzi na czele Żołnierzy i zatrzymuje się w głębi).

Belizaryusz (*do Żołnierzy*).

Bracia żołnierze! z ust waszego wodza
Należą wam się dzięki i pochwała
Waszego męstwa i niepokonanej
Tylą trudami waszej wytrwałości.
Za tych cnót sprawą hordy barbarzyńców,
Które przyniosła tutaj żądza łupów
I krwi pragnienie, zostały od murów
Naszego miasta dzielnie odepchnięte.
Dziś już możemy uważać zwycięstwo
Za zapewnione dla naszych sztandarów,
Bo z tłumu wrogów ledwie pozostały
Strwożone resztki, które nasza pogoń
Rozpędzi łatwo lub do szczętu zniszczy.
Tak więc niedługo wawrzynem okryte
U stopni tronu złożymy chorągwie
I temu, który powierzył nam całość
Swojego ludu, tronu i religii,
Będziemy mogli ze szlachetną dumą
Powiedzieć: oto przynosim zwycięstwo,
Tryumf i sławę, spełniliśmy dobrze
Swoją powinność, a ty i ojczyzna
Możecie dumni być ze swoich dzieci!

Żołnierze. Cześć tobie, wodzu! Żyj nam, Belizarze!
Belizaryusz (*zbliża się*).
Tak, Focyuszu, mam błogą nadzieję,
Że dziś dokończym naszego zadania,
I ta noc pewnie będzie już ostatnią,
W której spokojny sen mieszkańców grodu
Przerywa trwoga lub wojenna surma.
Wróg swe obozy cofnął od stolicy,
Straciwszy widać nadzieję zwycięstwa;
Lecz nazbyt ufać nigdy nie należy,
I na wpół drogi nigdy nie ustawać.
Dlatego teraz z moją częścią wojska
Za tropem pójdę Bułgarów, ażeby
Albo do reszty wytępić te hordy,
Lub w razie gdyby to był jaki podstęp,
Uprzedzić chytre nieprzyjaciół plany.
Ty tu zostaniesz, by w żadnym wypadku
Ogołocone nie zostało miasto,
I narażone nie było na napaść
Niespodziewaną.
Focyusz. Spełnię, czego żądasz.
Belizaryusz. Za kilka godzin znów się zobaczymy,
A kiedy głosy kotłów usłyszycie,
I rozwinięte ujrzycie sztandary,
Wiedzcie, że do was wracamy z zwycięstwem.
Bywaj zdrów, synu! Z tylu niebezpieczeństw
Wyszliśmy cało przy pomocy Boga,
Że teraz także żyję tą nadzieją,
Że wkrótce znowu uściskam twą rękę,
I dzielne serce twoje znów uczuję
Przy mojem sercu.
Focyusz. Niech Bóg będzie z tobą!
Belizaryusz. Za mną, żołnierze, z jednakowem sercem,
Czy nas zwycięstwo łatwe czy śmierć czeka!
(*Wychodzi, za nim Żołnierze*).

SCENA 2.

Focyusz. Marcellus. Lucyusz.

Focyusz. Czy widzieliście ten zapał młodzieńczy
Po jego twarzy szlachetnej rozlany?
Szczęśliwy człowiek! jakże mu zazdroszczę!
Lucyusz. Tak jest, konsulu. Belizar wśród bitwy
I z mieczem w ręku zdaje się odmładzać.
Focyusz. O, to jest człowiek, któryby powinien,
Gdy zechce, innych i do piekła zawieść!
Lucyusz. To prawda, wodzu. My go też kochamy,
I dwóch znam tylko ludzi, co umieją
W ten sposób władać swych bliźnich sercami.
Jednym to on jest, drugim ty, Focyuszu.
Przynajmniej mogę o sobie powiedzieć,
Że mnie do ciebie jakaś niepojęta
Przyciąga siła, jakby do magnesu
Żelazo. Gotów też jestem za tobą,
Baczny na każde najmniejsze skinienie,
Iść wszędzie jako pies za swoim panem.
Bo widzę w tobie coś niezwyczajnego,
Coś co mi mówi, żeś ty wielki człowiek.
Focyusz. Błąd twój sprostować muszę, Lucyuszu.
Mylisz się, zowiąc mię wielkim człowiekiem.
Wielkimi ludźmi są ci, co umieją
Nad swojem sercem panować — ci którzy
Są jako słońce, co równo przyświeca
Złym jak i dobrym, co widzi tej ziemi
Wszystkie największe szpetności, a jednak
Niemi nie gorszy się, i idzie dalej,
Majestatyczne, wspaniałe swą drogą,
Jak gdyby na niej nic nie napotkało,
Coby niegodne było jego blasku...
Tak, wielki człowiek — to jest Belizaryusz!
Wszak widzieliście na jego obliczu
Tę świetną łunę wnętrznego natchnienia,

Tego zapału, co serce podnosi
Pod same nieba — a przecież sam Bóg wie,
Ile w tem sercu ran i ile bólów...
On to zapomnieć umiał — on jest wielki!

Lucyusz. Któż kiedy widział większe przywiązanie
Od tego, jakie ty mu okazujesz!

Focyusz. Myślę, że także i wy, moi bracia,
Podobne macie dla niego uczucia...

Marcellus. Tak, nieinaczej! I duszą i ciałem
Doń należymy.

Focyusz. Dlatego was także
Do najtajniejszych przypuściłem planów,
I powierzyłem wam wszystkie zamiary,
Które wykonać Belizar zamyśla.
Ciebie, Marcellu, jako duszę szczerą,
Prawą, otwartą, prawdziwie żołnierską,
Znam już od dawna; o tobie, Lucyuszu,
Wiem, że go kochasz nietylko jak żołnierz
Swojego wodza, ale jak syn ojca.

Lucyusz. Nie omyliłeś się, tak sądząc o nas.
Marcellus. To święta prawda, takimi jesteśmy.
Focyusz. Uważaliście, co Belizar mówił?
Lucyusz. Kiedy?...
Marcellus. Nie jestem pewny, o czem myślisz.
Focyusz. Wtenczas gdy dawał nam hasło, po którem
Możemy powrót jego poznać, kiedy
Mówił, że kotłów głos i rozwinięte
Sztandary będą oznaką zwycięstwa...
Marcellus. Prawda, tak mówił, przypominam sobie.
Focyusz. Otóż, o ile to mogło być jawnem,
Czy wiecie, jakie to miało znaczenie?
Marcellus. Myślę, że takie, o jakiem on mówił.
Focyusz. Trzeba wam było wtenczas na twarz jego
Tak patrzeć, jako ja na nią patrzyłem,
A bylibyście lepiej odgadnęli
Tych słów prawdziwą treść. To miało znaczyć,
Że kiedy wróci, dopełniwszy dzieła,

Które dokończyć uważa za świętą
Swoją powinność, to ta chwila także
Będzie zarazem godziną spełnienia
Jego tajemnych zamysłów.

Marcellus. To jasne
Jak słońce!

Lucyusz. Prawda, o tem musiał myśleć.

Focyusz. Więc, przyjaciele, bądźmy w pogotowiu!
Za kilka godzin, z pierwszą dnia jutrzenką,
Spełnimy dzieło, które u potomnych
Zasłuży sobie może na cześć wieczną.

Marcellus. Więc to już jutro, a raczej to dzisiaj...

Focyusz. Czy czujesz trwogę?...

Marcellus. Nie, jak mi Bóg miły!

Focyusz. Ja także o nią nie chcę cię posądzać. —
Lucyuszu, kilku weź z sobą żołnierzy
I idź do mojej matki, której powiesz,
Że jak kilkakroć już tego żądała,
Tu z Teodozym może przyjść się widzieć.
(*d. s.*) I to należy także do tych rzeczy,
Które się muszą przed krokiem stanowczym
Załatwić.

Lucyusz. Dobrze. Tej chwili odchodzę.

Focyusz. Zaczekaj. Jeszcze jedno. Oto klucz jest
Od wieży, w której siedzi Teodozy.
Weź go do siebie, abyś, gdy ci powiem,
Mógł więźnia tutaj dostawić natychmiast.
A gdzie jest Hektor?

Lucyusz, Zajął stanowisko
Dzisiejszej nocy przy świętym Jakóbie,
Stąd niedaleko,

Focyusz. Dobrze. Idź, Lucyuszu.
(*Lucyusz wychodzi*).

SCENA 3.

Focyusz. Marcellus..

Focyusz. Drogi Marcelli, tobie zaś powierzę
Jedno z poleceń pewnie najważniejszych.
Idź do okrętu, który w porcie czeka
Przygotowany do naszej podróży,
Tam nad załogą obejmiesz dowództwo,
I będziesz dawał baczenie na wszystko,
Coby się mogło dziać dokoła ciebie.
Gdybyś znak zdrady choć najmniejszy spostrzegł,
Lub coś coby się zdało podejrzanem,
W tej chwili masz mię o tem zawiadomić.
Marcellus. Mówisz o zdradzie?.. czyli co przeczuwasz?,..
Focyusz. Nic, Bogu dzięki. Chyba nadzwyczajny
Jaki wypadek mógłby to uczynić.
Znajdziesz tam pewnie już Witaliana,
Jakoteż Piotra Helluo starszego;
Pozdrów ich obu. Niech będą cierpliwi,
Za kilka godzin będziemy na morzu.
(*Za scenę słychać wołanie warty*: Kto idzie!)
Marcellus. Ktoś tutaj idzie. (*Wchodzi Hektor*).

SCENA 4.

Focyusz. Marcellus. Hektor.

Focyusz, Toś ty jest, Hektorze?
Hektor. Tak jest, konsulu.
Marcellus. Czyli się co stało?
Widzę, żeś zdyszał się, centuryonie.
Hektor. Rzecz niezwyczajna w istocie. Kiedyśmy
Stanęli obok świętego Jakóba,
Blizko pałacu, co dawnymi czasy
Letniem mieszkaniem bywał cesarzowej,
Usłyszeliśmy po niejakiej chwili
Krzyki: na pomoc! na pomoc! — a głos to

Młodej kobiety był. Potem niedługo
Kiedyśmy oczy zwrócili w tę stronę,
Na drugiem piętrze baszty ujrzeliśmy
Jakąś osobę ubraną w bieliźnie,
Która spostrzegłszy, że ją uważamy,
Tem głośniej jeszcze: na pomoc! wołała,
I zdawała się obiema rękami
Trzymać za kratę, od której ją jakiś
Drugi cień, pewnie mężczyzny, oderwać
Chciał całą siłą.

Focyusz. Czy głos ten poznałeś?...

Hektor. Nie. Ale głos to był rozdzierający
Najtwardsze serce. Nie wiedząc co robić,
Przybiegłem tutaj po twoje rozkazy,
Bo tam widocznie coś złego się dzieje.

Focyusz. Dobrze zrobiłeś. Prowadź mię w to miejsce.
Bądź zdrów, Marcelli, i spiesz, gdziem po-
[wiedział.

(*Wychodzi prędko z Hektorem*).

Marcellus (*sam*). Mam teraz z sobą kłopot nie na żarty!
Gdybym ja wiedział, że posiadam rozum,
Wiedziałbym, czyli źle czy dobrze robię.
Przywyczajony zaś będąc do tego,
Że nigdy ufać nie mogę swej głowie,
Niepewny jestem, czym rozsądnie zrobił,
Dając się wciągnąć w Belizara plany.
Mówiąc tak szczerze, coś mi się wydaje,
Żem się zanadto uniósł szlachetnością.
Rzecz to wątpliwa... pono niebezpieczna...
Hm! gdy raz stanę na okręcie nogą,
Trudno się wrócić.,. a więc iść czy nie iść?
To jest dylemma prawdziwie dla jakiej
Dyplomatycznej głowy, nie dla mojej!

(*Wchodzi Buzes*).

SCENA 5.

Marcellus. Buzes.

Buzes. To ty, Marcelli, jeśli się nie mylę.
No, dobry wieczór. Nad czemże tak dumasz?
Marcellus (*ściskając go za rękę*),
Jak z nieba spadłeś mi, drogi Buzesie!
Twej obecności tu nie przypuszczałem,
Bo wszakże z gwardyą jesteś przy cesarzu.
Buzes. Można na chwilę opuścić i pałac,
By się dowiedzieć, co słychać w obozie.
Monarcha wszędzie powinien mieć uszy.
Marcellus. Rozumiem. Zawsze jesteś mądry, Buzes!
Z tej też przyczyny powierzają tobie
Takie zlecenia, do których potrzeba
Delikatnego rozumu. Na honor!
Ja cię podziwiam, Buzesie, ja tobie
Nic nie zazdroszczę tylko twojej głowy.
Buzes. No, no daj pokój, boś mię gotów popsuć!
Marcellus. Jak rzekłem, niebo cię tutaj zesłało·
Buzes. Cóż chcesz ode mnie?
Marcellus. Rady, rady, rady!
Buzes. No, to rzecz jeszcze nie jest taka droga,
Choć dobra rada czasem krocie warta.
Marcellus. Ślicznieś powiedział! Otóż właśnie chciałbym,
Pewną wątpliwość abyś mi rozjaśnił.
Lecz naprzód muszę cię prosić o sekret,
O tajemnicę największą, bo mówiąc
Pomiędzy nami, ja na to przysiągłem.
Buzes. Przysiągłeś!... ho, ho, gruba jakaś sprawa!
Marcellus. Gruba? powiadasz,.. ha, tem gorzej dla mnie!
Co chce niech będzie, muszę ci wyjawić,
Bo wierzaj, cięży mi to jakby kamień,
A własną głową ni rusz! nie potrafię
Temu poradzić. Więc chciej mi powiedzieć,

Ale tak szczerze i po przyjacielsku,
Czy dobrze zrobię, jeżeli...

Buzes. Jeżeli —
No, i cóż dalej?...

Marcellus. Ale tajemnica,
Pamiętaj, Buzes! — wszakże ja przysiągłem...

Buzes (*n. s.*) Ha, zobaczymy, tu się na coś kroi!
(*gł.*) Mówże otwarcie, bo przecież inaczej
Nie będę mógł ci dać rady.

Marcellus. Masz słuszność.
Oświeć mię zatem, czy ja dobrze zrobię,
Czy nie popełnię coś nierozsądnego,
Gdy z Belizarem do Italii pójdę.,.

Buzes. Co? z Belizarem?... do Italii... poco?...

Marcellus. Belizar królem ma zostać Italii,
A my, co będziem mu towarzyszyli,
W miarę godności i naszej zasługi
Tytuły, stopnie i wielkie bogactwa
W nagrodę naszych trudów dostaniemy.
To jest rzecz cała. No, cóż na to mówisz?

Buzes. Czy ci wiadomo, że cesarską bronią
Zawojowana została Italia,
I że tak dobrze jak każdy kraj inny
Dzisiaj własnością jest Justyniana?
Z czego wypada, że to przedsięwzięcie,
O którem mówisz, i każde podobne
Najwyraźniejszą w świecie pachnie zdradą —
A zdrada pachnie — wiesz czem? pachnie
[stryczkiem.

Marcellus. Toś mi dopiero dobrze otwarł oczy!
Ja nie patrzyłem się na to z tej strony.,.

Buzes. Kiedyż zbrodniczy ten czyn ma się spełnić?

Marcellus. Za kilka godzin, skoro tylko z pola
Belizar wróci.

Buzes. Więc wszystko gotowe?

Marcellus. Tak pono... okręt stoi na kotwicy...
Lecz cóż mi powiesz? cóż ja mam uczynić?

Buzes. Najlepsza rada będzie tutaj taka:
Wielkie bogactwa, tytuły i stopnie
Nabyte zdradą, wybić sobie z głowy,
Ze szczerą skruchą w piersi się uderzyć,
I zamiast chodzić na okręt zdradziecki,
Iść do cesarza i wszystko mu wyznać.
No, spiesz się prędko! ten czas bardzo drogi.
Marcellus. To twoja rada! Pójdźmy więc, mój zbawco!
(*Wychodzą razem*).

SCENA 6.

Wchodzi Focyusz (*prowadząc za rękę*) *Joannę — za nimi Anastazy* (*otoczony Żołnierzami*). *Hektor.*

Anastazy. Gdzie nas wiedziecie! — pomnij, Focyuszu,
Żeś użył gwałtu, za który odpowiesz!
Focyusz. Milcz, ty nędzniku!
(*Żołnierze z Anastazym zostają w głębi. Focyusz przyprowadza Joannę bliżej namiotu*).
Więc to ty, nieszczęsna!..
Słyszałem, że cię dano do klasztoru,
A jednak kiedy mi tu doniesiono,
Że tam kobieta jakaś jest zamknięta
I o ratunek woła, nie wiem czemu,
Tyś mi stanęła odrazu na myśli.
Joanna. Bóg mię i ludzie, wszyscy opuścili —
Zostałam pchnięta w przepaść straszną, straszną,
Straszną!
Focyusz. Uspokój się. Tu nikt nie słyszy,
Powiedz mi wszystko, co się z tobą stało,
Jakim sposobem znalazł się wraz z tobą
Ten człowiek?
Joanna. Czemuż wprzódy nie umarłam!...
Okropnych rzeczy wymagasz ode mnie!
Focyusz. Mów, mów, Joanno!
Joanna. Użyto podstępu
Niegodziwego, jaki się mógł zrodzić

W mózgu szatana lecz nie w ludzkiem sercu...
Gdy myślę o tem, odchodzę od zmysłów.

Focyusz. Kończ, kończ! — ja muszę widzieć wszystko,
[wszystko!

Joanna. Ha, słuchaj! — zbiorę wszystkie moje siły...
Zaprowadzono mię do tego domu,
I powiedziano, że jestem w klasztorze, —
Dom był obszerny, pusty, i miał okna
Zakratowane — uwierzyłam temu.
Czas jakiś byłam sama... nad wieczorem
Przyszedł ten człowiek... Nie było nikogo
W całym tym domu, tylko ja, on drugi...
O swej miłości zaczął mi znów mówić,
Ja nie słuchałam — ale byłam sama,
I byłam w jego mocy...

Focyusz. Nieszczęśliwa!
A więc ten nędznik!...

Joanna. Miej litość nade mną!...
Wszystko, już wszystko tobie powiedziałam —
Jak na spowiedzi... Znasz całą mą nędzę,
Całe nieszczęście!... O, jabym wolała
W oczach całego świata z moją hańbą
Stać pod pręgierzem — tylko nie przed tobą,
Przed tobą tylko jednym nie, Focyuszu!

Focyusz (*odchodzi od niej szybko i zbliża się do Anastazego*). Ty musisz umrzeć!

Anastazy. Tak do mnie przemawiasz,
Jakbym zbrodniarzem był, a ty mym sędzią!

Focyusz. Jedno i drugie jest tutaj w istocie!

Anastazy. Z rąk cesarzowej z wiedzą twojej matki
Ja otrzymałem Joannę, a kiedy
Po dobrej woli nie chciała być żoną,
Użyć podstępu miałem słuszne prawo.
Lecz zresztą po co ta tragiczna scena,
I poco tobie ta rola obrońcy
Gwałconej niby niewinności, która
Bez twej pomocy całkiem się obędzie.

Focyusz. Podły szalbierzu! brak mi cierpliwości
Słuchać cię dłużej! Masz, na coś zasłużył,
(*Anastazy dobywa miecza. Focyusz rzuca się na niego gwałtownie*).
I w grobie z sobą schowaj swój czyn niecny!
(*Zabija Anastazego, kładzie miecz do pochwy i mówi do Żołnierzy*).
Precz stąd wynieście to ciało! (*Żołnierze wynoszą*).

Focyusz. To wszystko
Co mogłem zrobić dla ciebie, nieszczęsna —
Więcej uczynić sam Bóg już nie zdoła.
Zabiłem jego, lecz wierzaj, on także
Zabił cię — chyba że chcesz zmartwychpowstać
Inną niż byłaś...

Joanna. O biada mi, biada!
A przecież całą mą winą nieszczęście...
Nawet myśl złego we mnie nie postała,
A piętno na mnie spoczęło występku!

Focyusz. Niestety! prawdę mówisz. Są nieszczęścia,
Co w skutkach swoich równają się zbrodni.
Dlaczego tak jest? — Któż to może wiedzieć,
Kto może zbadać, czemu ten niebieski,
Najsprawiedliwszy sędzia tak krzyczącą
Niesprawiedliwość popełnia?... Gdy ręka
Swawolna rzuci kwiat lilii w błoto,
Cóż zawiniła ta śnieżna lilia,
Że po niej depczę z pogardą, gdy przedtem
Jej czysta białość w zachwyt mię wprawiała?
Kiedy na plecach garb komu urośnie,
Czemuż me oczy na biednym kalece
Nie mogą znaleźć równej przyjemności
Jako na kształtach foremnej postaci?
Czemu go malarz za swój wzór nie weźmie?
Któż temu winien? Nie on, lecz nieszczęście.
Są fatalności na świecie, o które
Trzebaby spytać się samego Boga.

Joanna. Jakaż się przepaść otwarła przede mną...
Więc tem czem byłam, nie jestem już więcej,

I odtąd tylko tam — tam spadać będę,
Coraz to głębiej....

Focyusz (*d. s.*). Muszkuły w mem sercu
Tak się ściągają i kurczą, jak gdybym
Miał umrzeć z tego. (*Gł.*) Hektorze, zaprowadź
Belizaryusza córkę do okrętu.
Niech tam zostanie do mojego przyjścia.
Z centuryonem udasz się, Joanno,
On zaprowadzi cię w bezpieczne miejsce.

Joanna. Wszystko mi jedno, gdzie mi iść każecie —
Dla mnie już niema domu ni ojczyzny —
Gdzie pójdę, wszędzie czeka mię nieszczęście.

Hektor. Pójdź ze mną, pani.

Joanna. Idę, — idę — idę.

(*Joanna, Hektor i Żołnierze wychodzą*).

SCENA 7.

Focyusz (*później*) *Lucyusz.*

Focyusz (*wchodzi do namiotu i rzuca się na krzesło obok stołu stojące, zakrywając oczy rękami*).
Płyńcie, łzy moje, płyńcie w obfitości,
Strumieniem waszym niechaj się wyleje
Mojego serca cała straszna boleść!
Płaczcie, me oczy, kiedyście widziały,
Że najpiękniejsze dzieło stworzyciela
Tak szkaradnemu uległo zniszczeniu,
Że spadła gwiazda z wysokości nieba,
By się roztrzaskać w czarne, brudne sztuki
O twardą skałę ziemskiej fatalności!...
Jeśliby sztukmistrz, co utworzył posąg
Piękny, cudowny, istne arcydzieło,
Zachwycające swoich form urokiem,
Zrobione w chwili szczęśliwej natchnienia,
Zobaczył nagle, że go świętokradzka
Strzaskała ręka w bezkształne kawałki:
W rozpaczy, z jękiem rzuciłby się na nie,

I łzami oblał swą sławę straconą!....
Jaż nie mam płakać, gdy to arcydzieło
Nie było z gliny martwej, nie z kamienia,
Lecz ze krwi, z ciała, z nieśmiertelnej duszy —
Z materyału boskiego, z którego
Lepi swe twory dłoń samego Stwórcy,
By je czemś większem, doskonalszem zrobić
Od milionów tych olbrzymich światów,
Nad naszą głową wiszących bez ducha!

(*Po chwili*).

Poco ci mędrcy w swojej dumnej myśli
Stworzyli inny świat na tym padole,
Pełnym nędz wszelkich, brudu i zgnilizny?
I gdzie jesteście wy, nadludzkie mocy,
Wieczystą władzę w swych rękach dzierżące,
Że pozwalacie się tej nikczemności
Pod waszem okiem tak bujnie rozpleniać?
Przyjdźcie, przypatrzcie się waszemu dziełu,
I zniszczcie je — niech dłużej was nie hańbi!

Lucyusz (*wchodzi*).

Konsulu, dane spełniłem zlecenie,
Stąd kilka kroków matka twoja czeka.

Focyusz (*wstaje*).

W złą przyszła chwilę. — Powiedz jej, niech przyjdzie.
Zaraz, poczekaj... niech zbiorę swe myśli....
Oderwałem je zanadto od ziemi,
Tak żem zapomniał o najbliższych sprawach.
Mówisz, że moja matka tutaj... Poco
Ona tu przyszła?... dlaczegom ją wezwał?...
A, wiem już! — tak jest, potrzeba jej tutaj —
Wiem, niechaj przyjdzie! (*Lucyusz wychodzi*).
To wszystko w mej duszy
Sprawia okropny chaos — i te myśli
I te uczucia brzmią przerażająco,
Jak na dniu sądnym archaniołów trąby.

(*Wchodzi Antonina*).

SCENA 8.

Focyusz. Antonina.

Antonina. Dzięki ci, synu! — wielkiej dziś doznałam
Od ciebie łaski, i większej zaiste
Od mej nadziei.
Focyusz. Dziwna to jest łaska!
Antonina. Dziwna, powiadasz?... czemu ją tak zowiesz?..
Focyusz. Bo wyszła z serca pełnego goryczy,
Nasyconego niechęcią i jadem,
I uczuciami wszystkiemi, z których się
Niezwykło nigdy rodzić nic dobrego.
Antonina. Takie uczucia czemże wywołałam?
Wszak każdy inny człowiek na mem miejscu
Nie byłby czynił inaczej ode mnie.
Wiedziałam przecież o twej nienawiści,
O tem, że jesteś dla mnie wieczną groźbą,
Gotową stanąć w poprzek mego szczęścia
Słowem i czynem. Więc byłam zmuszona
Równą nienawiść obudzić w mem sercu,
I postępować z tobą jak z mym wrogiem.
Żem używała fałszu i chytrości
Względem mojego męża, cóż dziwnego?
I czemże innem mogłabym osłonić,
Co się w mem sercu działo? I to kłamstwo
Czyż dobrodziejstwem dla niego nie było?
Czyż jego szczęścia mu nie zapewniało?
Czyliż jest stratą to, o czem nie wiemy,
Że nam zginęło?
Focyusz. O, przewrotności pełne jest twe serce!
Lecz jednej jeszcze zapomniałaś zbrodni,
I najmniej winnej, najsłabszej ofiary.
Czy w swem sumieniu także za Joannę
Zdołasz wynaleźć usprawiedliwienie?
Bo się domyślasz, jaki los ją spotkał?
Antonina. Zbytniej czułości nie mogłam mieć dla niej,
Dla niej co zawsze mi wstręt i tajemną
Okazywała pogardę.

Focyusz. Dlatego
Ty ją na pastwę dałaś Teodorze,
By sobie kupić za taką ofiarę
Potężną przyjaźń, i zapewnić sobie
Osłonę dla swych czynów i bezkarność!
O matko! jam twe sumienie przetrząsał
Jak skąpiec swoje złoto, jam je badał
Z taką skrzętnością, z jaką zapalony
Do swej nauki badacz może śledzić
Najmniejsze włókno w ludzkim organizmie —
I nie znalazłem w niem jednego nerwu,
Któryby nie był zepsuciem skażony!
Tam gdzie już w źródle woda jest zatruta,
Tam cały strumień będzie jadowity,
I jedna grzeszna, występna namiętność
Zaraża sobą całą ludzką duszę!

Antonina. Przestań! — kiedyś mi przyjść tutaj pozwolił
Na co innego chcę użyć tej łaski,
Nie na słuchanie twego potępienia.
O Focyuszu, nie żądam od ciebie,
Abyś przebaczył mi moje występki,
I szlachetności twego serca wzywam
Do przebaczenia temu, co zawinił
Mniej od twej matki O, powiedz mi prawdę,
Czy Teodozy żyje jeszcze?...

Focyusz. Żyje.

Antonina. Żyje!... o dzięki!... i będzie żyć, będzie?
Nieprawdaż, ty go nie pozbawisz życia?
A jeśli kiedy miałeś takie myśli,
Jeżeli jeszcze masz je, to powstrzymaj
Ich wykonanie na czas bodaj krótki!
Ten czas przyniesie ci może rozwagę,
Może rozmyślisz się, żebyś źle zrobił,
Niesprawiedliwie, karząc jego śmiercią,
I może wszystko wyda się twym oczom
Niż dziś inaczej!

Focyusz. O zwłokę ci chodzi —
Rozumiem ja to, dzisiaj mnie łagodzisz

Pokorną prośbą, pełna tej nadziei,
Że wkrótce znowu taki czas powróci,
Gdzie siła przejdzie z moich rąk do twoich,
Gdzie znowu będę tem, czem wprzódy byłem,
To jest człowiekiem bez władzy, znaczenia.
Wszak cię odgadłem? Lecz się nie obawiaj,
On tak jak dotąd żyć będzie bezpieczny;
Zanadto nędznym dla mnie jego żywot,
Ażebym pragnął jego dni ukrócić.

Antonina. Jeśli tak myślisz, oddaj go w me ręce.

Focyusz. Tego nie zrobię.

Antonina. Czemu?

Focyusz. Mam swe plany.

Antonina. A więc jest fałszem co mi powiedziałeś —
Ty chcesz go zgubić!...

Focyusz. Nie, powtarzam jeszcze.
Chyba jeżeli nie będzie chciał spełnić,
Czego zażądam od niego....

Antonina. O, spełni,
Bądź tego pewny!

Focyusz. A ty jesteś pewną?....

Antonina. Czemużby nie miał wszystkiego uczynić,
Co w jego mocy, byle się ratować!

Focyusz. To prawda — ja też taksamo myślałem.
Cóżby nie zrobił taki jak on nędznik,
Byle ujść z życiem! Czyż jest choćby jedno
Głębsze, szlachetne uczucie, któreby
Wyżej mógł cenić od swojej całości?
Ty go zawstydzasz, matko, pod tym względem!
Przyszłaś tu do mnie, do swojego wroga,
W którym pragnienia rozpalałaś zemsty,
Przyszłaś tu sama, bezbronna, wśród nocy...,
Któż ci zaręczał, że ty stąd powrócisz?
Nikt. Lecz ty przyszłaś. I cóż ci dodało
Tyle odwagi, prawie bohaterstwa,
Wejść jakby w klatkę głodnego tygrysa?
Chęć zobaczenia swojego kochanka.
Wszelkie obawy zniknęły dla ciebie,

Niebezpieczeństwa wszystkie ustąpiły,
Bo od nich miłość twa była silniejsza —
Dla niej na wszystko ty się naraziłaś!
Lecz on, o wierzaj, onby nie uczynił
Nic podobnego, bo aby być zdolnym
Do poświęcenia równego twojemu,
Trzeba mieć serce jak ty niepoprawne,
I tak zagrzęzłe w sieciach namiętności
Jak twoje — trzeba być tak zaślepioną,
Tak rozszalałą w żądzy, jak ty jesteś!....
To bohaterstwo, które w innym razie
Byłoby cnotą, nowym jest dowodem,
Że niema dla cię żadnego ratunku!

Antonina. O, gdy tak dobrze poznałeś me serce,
Zlituj się nad niem, i zrób o co błagam!
A najprzód, by mą trwogę uspokoić,
Pozwól, ażebym mogła z nim się widzieć,
I przekonała się na własne oczy,
Żeś nie oszukał mię i mówił prawdę.

Focyusz. Jeżelim przystał na to, byś tu przyszła,
Musiałem także być przygotowany
Na to widzenie z nim tobie pozwolić.

Antonina. Jesteś szlachetny! Więc gdzież go zobaczę?

Focyusz. Tam, w tym namiocie.

Antonina. Dobrze.

Focyusz. Wejdź do środka,
A ja tymczasem każę go sprowadzić.
Czekaj cierpliwie, póki nie nadejdzie,
Choćby zdawało ci się, że zbyt długo,
Bo dość daleko jest stąd Teodozy.

Antonina. Wszakże cierpliwość moja się opłaci!
(*n. s.*) O, chcę go widzieć, aby się przekonać,
Że jeszcze żyje, i że będzie można
W ten lub w ów sposób dni jego ratować.

(*Wchodzi do dalszego namiotu, który Focyusz za nią zasuwa*).

Focyusz. Tak już nadeszła ostateczna chwila!....
Lucyuszu! (*Wchodzi Lucyusz*).

SCENA 9.

Focyusz. Lucyusz.

Focyusz, Która godzina jest teraz?

Lucyusz. Już blizko rano.

Focyusz. Już blizko.... Czy jeszcze
Od Belizara niema wiadomości?

Lucyusz. Dotąd ni znaków ani wieści niema,
Choć według tego, co sam zapowiedział,
Jużby powinien niedługo powracać.

Focyusz. Wejdź na tę basztę, a skoro zobaczysz
Najpierwsze jego powrotu oznaki,
Natychmiast pójdziesz po Teodozego
I tu sprowadzisz go.

Lucyusz. Dobrze, konsulu.
A ty gdzie będziesz?

Focyusz. Ja tu czekać będę.
Lecz słuchaj: więzień niema żadnej broni?

Lucyusz. Tak jest, że niema, to rzecz naturalna.

Focyusz. Daj mi ten miecz swój, będziesz mógł dla siebie
Wziąć inny.

Lucyusz. Panie, wszak swój masz przy boku....

Focyusz. Będzie mi może potrzeba drugiego,
Daj go. A teraz idź i dobrze patrzaj. —
(*Lucyusz wychodzi*).
Mój własny może skruszyłaby litość,
(*do miecza Lucyusza, kładząc go na stole w namiocie*).
Ty, nic wspólnego nie masz z moją matką!

AKT PIĄTY.

Toż samo miejsce. Ranek.

SCENA 1.

Focyusz (*siedzi w namiocie głęboko zamyślony*) *Lucyusz* (*wchodzi prędko*).

Lucyusz (*wchodząc*).
Belizar wraca! konsulu, konsulu!

Focyusz (*zrywa się*).
Co to?... kto tu jest?... (*Prowadząc ręką po czole*).
Przecież się nareszcie
Ta noc skończyła, i słoneczne świty
Z mej wyobraźni spłoszyły tysiące
Myśli i widem czarnych i posępnych.
Idźcie precz, duszę moją uwolnijcie,
Niechaj jej dłużej wasz ciężar nie gniecie,
Wy zmory, serca mego krew pijące!

Lucyusz. To ja, konsulu....

Focyusz. To ty, Lucyuszu —
Cóż mi mówiłeś?

Lucyusz. Belizaryusz wraca,
Widziałem z wieży jego rozwinięte
Sztandary. Słyszysz? już i trąb odgłosy
Słychać zdaleka.

Focyusz. Masz słuszność. A teraz
Teodozego mi przywiedź!

Lucyusz. W tej chwili.
Lecz jeszcze jednę mam wiadomość. Hektor
Wrócił z okrętu.

Focyusz. Powiedz mu po drodze,
Niech tutaj przyjdzie.
Lucyusz. Dobrze, mój konsulu.
(*Wychodzi, wchodzi Hektor*).

SCENA 2.

Focyusz. Hektor.

Focyusz. Cóż, centuryonie? czy zaprowadziłeś
Tę nieszczęśliwą?
Hektor. Tak jest, jak kazałeś.
Focyusz. Czy co mówiła, czy była spokojną,
Czyli płakała może?....
Hektor. Nie, nic z tego!
Ani płakała, ani też mówiła,
Przez całą drogę szła tak machinalnie
Jakby lunatyk, ze spuszczoną głową,
Dokoła siebie ni raz nie spojrzawszy.
Gdyśmy na okręt przyszli, poszła ze mną
Do tej kajuty, którą jej wybrałem,
Również jednego nie wyrzekłszy słowa,
I tam usiadła na łóżku tak ciężko,
Jak gdyby władzy nie było w jej członkach,
Z załamanemi rękami i z głową
Zawsze zwieszoną.
Focyusz. Pojmuję tę rozpacz!
Hektor. Przez chwilę przy niej zostałem w nadziei,
Że może da mi jakie polecenie,
Lub że usłyszę jakie jej żądanie.
Nie powiedziała nic i najmniejszego
Nie dała znaku... A ja na nią patrząc,
I widząc straszną tę sztywność jej ciała,
Widząc te oczy suche, które jednak
Tak łez pragnęły, jak ziemia spieczona
Ustawicznymi słońca promieniami
Może dżdżu pragnąć, sam już nie wiedziałem,
Czy mam przed sobą żyjącą istotę,
Czy martwy posąg.

Focyusz. Płacz nad nią, Hektorze!
Ona jest godną łez z ócz milionów,
A jej nieszczęście tak wielkie, że dla niej
Niema nadziei już do samej śmierci! —
Czyli spotkałeś tam już Marcellusa?
Hektor. Nie, panie, nigdzie z nim się nie widziałem;
Choć prawda, żem ja mojemi oczami
Ledwie przed sobą mógł świat rozpoznawać.

SCENA 3.

Focyusz. Hektor. (*Wchodzą*) *Lucyusz i Teodozy* (*pod strażą*).

Lucyusz. Przyprowadziłem więźnia.
Focyusz. W samą porę.
Słyszycie? coraz bliżej slychać trąby
Belizaryusza.
Lucyusz. Będzie tu najpóźniej
Za pół godziny.
Focyusz. Zostawcie nas samych,
I straż ze sobą zabierz, Lucyuszu,
Nie potrzebuję nikogo.
Lucyusz. W blizkości
Będziemy panie na twoje rozkazy.
Focyusz. Dobrze. (*Lucyusz, Hektor i Straż wychodzą*).

SCENA 4.

Focyusz. Teodozy.

Focyusz. Zbliż się tu. Jesteś w mojej mocy
I wiesz, że taki spełniłeś występek,
Za który mógłbym odebrać ci życie.
Teodozy. O panie, srogim nie będziesz tak dla mnie!
Cokolwiek złego mogłem był uczynić,
Część winy przekaż na karb mego wieku
Lekkomyślnego, na karb tej pokusy,
Jaką ma rozkosz dla młodego serca!

Któżby się łatwo oparł tej ponęcie?
Zwłaszcza gdy ona stawała przede mną
W tak ujmującym i niezwykłym kształcie,
Kiedy kobieta wysokiego stopnia,
I otoczona blaskiem i przepychem
Ofiarowała mi dotąd nieznane
Szczęście miłości! O, daruj mi życie!
Jestem tak młody, świat tyle powabu
Ma dla mnie, tyle w nim widzę nadziei,
Tak strasznem byłoby dla mnie umierać,
Gdy wiem i czuję, że na długie lata
Sił i zasobów życia we mnie starczy!
I miałbym wszystko tak prędko pożegnać,
Wszystko utracić, gdy tyle słodyczy
I przyjemności świata na mnie czeka!...
O, ta myśl sama przejmuje mnie drżeniem,
Truchleję z trwogi na samo wspomnienie,
Że lodowata ręka śmierci może
W jednej mię chwili strącić do mogiły!

Focyusz. Widzę, że trudno byłoby oderwać
Ciebie od życia, jak głodną hyenę
Od jej zdobyczy. Dobrze, jestem gotów
Darować tobie...

Teodozy. O wspaniałomyślny
Mój dobroczyńco!

Focyusz. Od ciebie zależy,
Czy żyć chcesz, czyli umierać....

Teodozy. O, żyć chcę!

Focyusz. W tym razie musisz wprzódy to wypełnić,
Co ci rozkażę...

Teodozy. Rozkazuj mi wszystko,
Bylebyś tylko nie kazał mi umrzeć!

Focyusz. Widzisz ten miecz tu?... Weź go i tam pójdziesz....

Teodozy. Tam, do namiotu?...

Focyusz. Tak jest.

Teodozy. I cóż dalej?...

Focyusz. Co dalej?... Jesteś silny — twoje ramię
Jak u atlety, który lwy rozdziera —
Kogo tam znajdziesz w namiocie — zabijesz!...
Teodozy. A potem będę wolny?...
Focyusz. Będziesz wolny,
Przysięgam na to!
Teodozy. Dobrze, więc zabiję!
(*Idzie ku namiotowi*).
Focyusz. Wstrzymaj się jeszcze!... Mogłoby ci braknąć
Odwagi, kiedy, kto tam jest, zobaczysz....
Teodozy. Któż tam jest taki?...
Focyusz. Kobieta....
Teodozy. Kobieta!...
Wszystko mi jedno, kiedy za tę cenę
Kupię me życie!
Focyusz. Dopowiem ci więcej:
Tam jest kobieta, która cię kochała....
Teodozy. Co?... Antonina!...
Focyusz. Ona.
Teodozy. Ją mam zabić!....
Focyusz, to straszne!... Ona jest nietylko
Moją kochanką, ale twoją matką....
I ty mi każesz?...
Focyusz. Ha! właśnie dlatego,
Że łączy w sobie takie dwa przymioty,
Że jest mą matką, a twoją kochanką,
Musi umierać....
Teodozy. To jest nad me siły —
Miecz mój bezwładny spadnie nad tem łonem,
Które mi rajskie dawało uciechy!
Focyusz. To łono szpetnej zbrodni jest siedliskiem,
To łono samo ze siebie wydało
Występków swoich surowego sędzię!
Wahasz się.. pomnij!....
Teodozy. Och, jesteś okrutny!
Focyusz. Dla was obojga chwile policzone —
Prędko, decyduj się — śmierć jej lub twoja —
Co wolisz?....

Teodozy. Umrę więc, kiedy nie spełnię!...

Focyusz. Umrzesz, bez wszelkiej wątpliwości umrzesz,
Umrzesz tu zaraz...

Teodozy. Ha, niechaj więc będzie!
(*Wbiega do namiotu, do którego weszła przedtem Antonina*).

SCENA 5.

Focyusz (*sam*).

Focyusz. Nędznik!... O gdyby ona taką matką
Dla mnie być chciała, jaką jest kochanką,
Tysiącbym razy oddał moje życie,
Gdybym w ten sposób mógł dla niej wyjednać
Nie dni jej całość, lecz uśmiech wesoły,
Zadowolnienia jednę krótką chwilę!....
O, gdyby można uciec stąd daleko,
Tak aby uszu moich nie dochodził
Ten głos straszliwy, który lada chwilę
Słyszeć tu będę!... Cóżby to pomogło?...
Wszak go już słyszę w piekielnym hałasie,
Jaki wydaje ma zbolała dusza,
Wprzód nim ofiara moja zawołała:
Litości! — Boże i na jakież męki
Ty mię skazałeś! gdy wyrokiem losów
Musiałem serce wyzuć z miłosierdzia,
I zrobić z niego więcej niż głaz zimny,
By zadość stało się sprawiedliwości,
Bym, przecinając pasmo życia, przeciął
Zarazem pasmo zbrodni tej istoty,
Która mnie miała najdroższą być w życiu!....
O matko, jeśli stanąwszy tam w górze,
Pomyślisz, że ten mój czyn nie jest dziełem
Miłości — matko, tą myślą potępisz
Na wieki wieków nieszczęsnego syna!

Antonina (*za sceną*).
Co czynisz?... Focyusz, mój Focyusz na pomoc!...
On mnie zabija!....

Focyusz. Och, z tem przekonaniem
Błogiem umieraj, że twój syn udziału
Nie miał w twej śmierci!
(*Pada zemdlony. Lucyusz i Hektor wbiegają*).

SCENA 6.

Focyusz. Lucyusz. Hektor.

Lucyusz. Co tu się stało!... czy słyszałeś krzyki?...
Gdzie konsul?
Hektor. Patrzaj, tam leży....
Lucyusz. Zemdlony,
Czy też umarły! Konsulu! Focyuszu!...
Jeszcze nic złego, czuję jego oddech. (*Podnosi go*)
Zbierz siły, drogi nasz panie i wodzu!
Focyusz. Ha! cóż to było?... To wy, przyjaciele...
Nie wiem zaiste, co się ze mną stało.
Lucyusz. Leżałeś tutaj zemdlały na ziemi,
Kiedyśmy przyszli, słysząc jakieś głosy,
Jakby o pomoc wołające....
Focyusz. Prawda —
Z tego namiotu i ja krzyk słyszałem.
(*Zbliża się i odsłania namiot*).
Och, patrzcie! krwawe odbyło się dzieło,
Belizaryusza żonę tu zabito!
Zabił ją Teodozy.... Czy widzicie,
Jak tam przy końcu naszego obozu
Ucieka blady i skrwawiony?,..
Hektor. Panie,
Pójdziemy w pogoń za tym nikczemnikiem,
I dostawimy go tutaj....
Focyusz. Zostańcie!
Co tutaj zaszło między tymi ludźmi,
Nam się do tego mieszać nie należy,
Bo to są sprawy delikatnych uczuć,
Na które sądu nikt znaleźć nie może,
Kto w głębi serca ludzkiego nie czyta.

(*Zasłania namiot — n. s.*)
Tak więc wyciąłem z duszy Belizara
Ten wrzód, co soki najzdrowsze pochłaniał;
Uwolniłem ją od tych pęt żelaznych,
Od ołowianej kuli, która na dół
Jej lot ciągnęła, i tem dla niej była,
Czem jest u szyi tonącego kamień —
Teraz rozwinie swoje skrzydła w górę!
(*Słychać głos trąb z blizka*).

Lucyusz. Już do obozu wchodzi Belizaryusz.

Focyusz. Zamilczcie o tem, coście tu widzieli.
(*D. s.*) To tajemnicą zostanie dla niego,
Jak długo tylko będzie mogło zostać.
(*Gł.*) A teraz samych nas tu pozostawcie,
O ważnych rzeczach mamy z nim pomówić.
(*Lucyusz i Hektor wychodzą*).
Kiedy z nim skończę, pomyślę o końcu,
Jaki ze sobą zrobić mi potrzeba!
(*Wchodzi Belizaryusz w zbroi*).

SCENA 7.

Focyusz. Belizaryusz.

Belizaryusz. Podaj mi rękę, drogi Focyuszu,
I ukończonej powinszuj mi wojny.
Ale co tobie, czemuś taki blady?

Focyusz. To nic — wzruszenie i noc przepędzona
W oczekiwaniu bezsennem, przyczyną
Może być tylko tej mojej bladości...

Belizaryusz. Teraz już trudy szczęśliwie skończone,
I będziem mogli używać spokoju.
Dalej! nie traćmy nadaremnie czasu,
Daj rozkaz wojsku swojemu do marszu,
Zwiń swe namioty i wróćmy do miasta,
By jak najprędzej złożyć cesarzowi
Trofea, zdobycz i świetne zwycięstwo.
Cóż? o czem myślisz i czemu się wahasz?

Focyusz. Belizaryuszu, inna twoja droga,
Nie przed cesarski pałac...
Belizaryusz. Co ty mówisz?
Focyusz. Gotowy okręt czeka ciebie w porcie,
Na tym okręcie załoga i ludzie,
Co cię kochają, pełni poświęcenia,
Choćby śmierć ponieść dla twojego dobra.
Belizaryusz. Ja nie rozumiem, Focyusz, o czem mówisz...
Focyusz. Kiedyś niedawno pokonał Italię,
Wisygotowie zwyciężeni chcieli,
Poznawszy wielkość twojej pięknej duszy,
Dać ci koronę i zrobić cię królem...
Belizaryusz. Więc cóż?... wiadomo ci, com wtedy zrobił.
Focyusz. Ty odrzuciłeś wtedy tę koronę,
I przez szlachetność spełniłeś błąd wielki...
Belizaryusz. Inaczej czyniąc, nie byłbym szlachetnym —
Wszak sam to mówisz.
Focyusz. Byłeś nim nad zbytek,
Byłeś szlachetnym aż do nierozsądku!
Lecz dziś, gdyś poznał, jak cię nagrodzono,
Gdy ciebie, syna pierwszego ojczyzny,
Na bok zepchnięto, pogardzono prawie,
Ten błąd naprawić dziś masz obowiązek!
Belizaryusz. Więc czegóż żądasz? bym do Włoch po-
[wrócił,
I wziął koronę, która nie jest moją?...
Focyusz. Tak, to jest twoją świętą powinnością!
W tym celu wszystko już przygotowałem,
Bez twojej wiedzy, lecz w twojem imieniu,
Bo byłem pewny, że się na to zgodzisz.
Belizaryusz. Źle obliczyłeś i źle mnie poznałeś!
Ja nie dopuszczę się podobnej zdrady —
Nie, nigdy!
Focyusz. Musisz teraz na to przystać,
Choćby to było i wbrew twojej woli.
Cofnąć się dzisiaj byłoby zapóźno,
Zbyt wielu ludzi jest wtajemniczonych,
Marcellus, Lucyusz obaj Helluowie,

Witalian, oprócz wielu jeszcze innych,
Wszyscy są pewni, że co ja robiłem,
To się z twojego robiło natchnienia.

Belizaryusz. Och, Focyusz, Focyusz! cóż ty uczyniłeś?
Wszakże to spisek, co mnie może zgubić!

Focyusz. Tak, nie masz teraz innego wyboru,
Tylko być królem, lub jak nędzny zdrajca
Zostać skarany. Dalej, Belizarze!
Czyliż się możesz wahać jednę chwilę?
Okręt gotowy i zastęp przyjaciół,
Co cię powiodą na brzegi Italii,
A tam na pierwszą wieść o twym zamiarze,
Cały kraj rzuci się pod twoje nogi,
Witając w tobie zbawcę i monarchę!

Belizaryusz. Szalony jesteś! Choćbym miał stąd prosto
Iść do cesarza i wszystko wyjawić,
I przebaczenia błagać na kolanach
Za twe szaleństwo, to jeszcze nie zrobię
Czego ty żądasz, bo nie chcę imienia
Ani przeszłości mojej splamić hańbą,
O jakiej dzieje ludzkie nie słyszały!

Focyusz. O Belizarze! mylisz się, gdy sądzisz,
Żem miał na celu twoją miłość własną
I dogodzenie twemu samolubstwu.
Mnie nie chodziło o to, aby widzieć
Na twojej skroni błyszczące się złoto,
W twych skrzyniach skarby, dumę samowładcy
Na twojem czole. Ja chciałem cię przenieść
Na inną ziemię, gdzieby twe przymioty
Urodzajniejszy miały grunt dla siebie,
Niż ten świat tutaj, co pełen zgnilizny
Do grobu idzie w zawczesnej starości.
Zostawmy tutaj tę nędzną ruinę,
Dla której niema już więcej nadziei
Ani ratunku — niech w gruzy zapadnie,
I w nich zagrzebie to wszystko, co życia
Niema już w sobie i co znikczemniało!
Tam, na tej ziemi, którą odświeżyły

Dzikie lecz czerstwe barbarzyńców ludy,
Możesz nowego świata zostać twórcą,
W którym panować będzie sprawiedliwość,
Cnota i dzielność!... tam możesz szczęśliwym
Uczynić cały naród, który będzie
Błogosławić cię w setnem pokoleniu!
Tam ty być możesz wielkim Belizarem,
Gdy tu i ciebie ogólna zaraza
Wcześniej czy później pochwyci — i zginiesz
Tak jak tysiące i słabych i nędznych!

Belizaryusz. Choć to co mówisz może być szlachetnem,
Mądrem i wielkiem, jednak ja nie mogę
Celu dobrego złą drogą dochodzić.
Ja jestem tylko sługą i żołnierzem
Justyniana, i mnie nie jest wolno,
Mój obowiązek na to nie pozwala,
Bym losem jego krajów rozporządzał.
Proszę więc, Focyusz, przestań o tem myśleć.

Focyusz. Po dobrej woli gdy nie chcesz posłuchać,
Na okręt ciebie choć gwałtem zawiodę.
Wiesz, że tu jesteś śród mego obozu...
(*Wchodzą śpiesznie Lucyusz i Hektor*).

SCENA 8.

Focyusz. Belizaryusz. Lucyusz. Hektor.

Lucyusz. Konsulu, nie wiem, co to ma oznaczać,
Lecz cesarz z gwardyą w nasz obóz przychodzi.

Focyusz (*do Belizara*).
Czy słyszysz?... Plany nasze są zdradzone!
Ni jednej chwili niema już namysłu —
Śmierć lub więzienie dozgonne cię czeka —
Pójdź, pójdź, za chwilę będzie już zapóźno!

Belizaryusz. Tu czekać będę na to co się stanie,
Choćby to wyrok miał być jak najcięższy.
Nie uciekałem nigdy z pola bitwy,

Tembardziej teraz pogardzam ucieczką,
Gdzie nie o życie, lecz o honor chodzi.

Focyusz. O nieszczęśliwy!

(*Wchodzą: Justynian. Teodora i Buzes z Żołnierzami*).

SCENA 9.

Focyusz. Belizaryusz. Lucyusz. Justynian. Teodora. Buzes. Żołnierze. Hektor.

Justynian (*wskazując na Belizaryusza*).
Dalej, tego zdrajcę
Uwięź, Buzesie!

(*Buzes i Żołnierze zbliżają się do Belizara*).
Więc tak, nikczemniku,
Odpowiedziałeś memu zaufaniu!
Już raz bezkarnie uszła ci twa zdrada,
Którą skarałem łagodniej niż ojciec,
Kiedy swawolę swego syna karci,
Na tem przestając, żem ciebie odwołał
I nieszkodliwym uczynił Italii.
Mej cierpliwości przebrałeś już miarę,
Pod topór kata oddasz dzisiaj głowę.

Teodora. Nędzny robaku, skąd ci przyszła śmiałość
Sięgać po własność twojego monarchy,
Co cię natchnęło tą głupią próżnością,
Żeś chciał się równać z tymi, których sługą
Być powinieneś!

(*Wyrywa mu miecz z pochwy i rzuca go na ziemię*).
Nogami podepczę
Ten miecz twój, zdradą splamiony haniebną!
Twój pan go oddał w twe niegodne ręce,
Byś strzegł i bronił jego państw całości,
A tyś obrócić go chciał przeciw niemu!...
Takbym i ciebie chciała mieć pod nogą
I deptać głowę twą, by się przekonać,
Czy jest dość silna, aby mogła unieść
Ciężar korony — ty, niedoszły królu!

SCENA 10.

Focyusz. Belizaryusz. Justynian. Teodora. Buzes. Lucyusz. (Wchodzą) Marcellus i Żołnierze (którzy na marach niosą ciało Joanny). Hektor.

Justynian. Cóż tam, Marcelli?
Marcellus. Jak kazałeś, panie,
Okręt zajęty w imieniu cesarskiem.
Wszystkich spiskowców znaleźliśmy na nim,
A oprócz tego i rzecz niespodzianą,
Że własnym oczom nie chcieliśmy wierzyć,
Bo w jednej z kajut u belki wisiało
Ciało Joanny, córki Belizara,
Zimne i martwe.
Belizaryusz. Ha! gdzie moja córka!..
Teodora. Kto na niej spełnił tę zbrodnię, i jakim
Mogła się dostać na okręt sposobem?
Marcellus. Focyusz tam ją kazał zaprowadzić,
I jak się z zeznań świadków dowiedziałem,
Ona to sama śmierć sobie zadała,
Na swojej własnej wieszając się szarfie.
Przyczyny tego trudno się domyśleć,
Bo nic przed skonem swoim nie mówiła,
Oprócz wyrazów często powtarzanych,
Które zaledwie słyszeć było można,
A które chyba jeden Buzes pojmie,
Tak mi się zdają bardzo zagadkowe,
Bo wciąż, jak rzekłem, tylko powtarzała:
Hańba, o hańba!
Belizaryusz. Puszczajcie mnie do niej!
Chcieliście kary na mnie, to jest kara
Straszniejsza niźli najcięższe tortury!
(*Rzuca się obok mar*).
O córko, córko, jedyne me dziecię,
Kto ciebie popchnął do takiego czynu?
Wstań i mnie powiedz, bym wiedział, na kogo
Żądać od nieba wiecznego przekleństwa!

O córko, czemuż z bólem wyznać muszę,
Że w mych cierpieniach odbierasz dopiero
Dowody mojej ku tobie miłości!
(*Upada na zwłoki Joanny*).

Focyusz (*klęka przy nich*).
Biedna dziewico! jeśli jednym z duchów,
Który podszepnął ci myśl samobójstwa,
Ja także byłem, to teraz twa dusza,
Gdy się dostała do jasnego nieba,
Pewnie tam słów mych wyczyta znaczenie.
(*Wstaje*) Wam a szczególnie tobie, Teodoro,
Nie potrzebuję objaśniać tych rzeczy,
Choć jak się później zapewne dowiecie,
Miałem w nich udział. Lecz w imieniu prawdy
Tobie, cesarzu, muszę to powiedzieć,
Że nie ten winnym jest zdrady i spisku,
Którego o to oskarżasz.

Justynian. Więc któż to?

Focyusz. Ja. Spytaj o to wszystkich uwięzionych,
Lub takich zdrajców jak Marcellus, czyli
Belizar kiedy mówił o tem z nimi,
Czy jedno słowo z jego ust słyszeli,
Któreby mogło posłużyć za dowód,
Że on się choćby domyślał tej sprawy.

Justynian (*do Marcella*).
I cóż ty na to?

Marcellus. Prawdą jest, cesarzu,
Co mówi Focyusz. Muszę to potwierdzić,
Choć tak z przekąsem o mnie się wyraził.

Lucyusz. Nigdy Belizar do nas nic nie mówił,
Lecz zawsze Focysz — przysiężemy na to.

Focyusz (*do Lucyusza*).
Dzięki ci, prawy jesteś i szlachetny! —
Co więcej, dodać jeszcze mi potrzeba,
W ostatniej chwili, gdym mu wszystko odkrył,
Belizar oparł się temu stanowczo,
I tej odmowie jego masz zawdzięczyć,
Że nie udało się me przedsięwzięcie.

Justynian. Gdy tak jest, jego uwalniam od śmierci,
Tylko skazuję na dobr konfiskatę
I na wygnanie — a na ciebie spadnie
Cała surowość kary, przeznaczonej
Dla takich zdrajców.

Focyusz. Chętnie oddam życie,
Jest ono dla mnie zużytą odzieżą,
Którąbym pragnął zrzucić jak najprędzej.
Będziesz pomszczony, cesarzu — jednakże
Nie w twoje ręce dam dni moich resztki.
(*Zbliża się do namiotu i otwiera go*).
O matko moja, gdy śmierć przejednała
Duszę twą z Bogiem, gdy ją oczyściła
Z plam ułomności ziemskiej, niechaj złożę
Na twoich nogach zimnych pocałunek
Czci i miłości synowskiej.

Teodora (*do Justyniana*) Czy widzisz?...
Co to ma znaczyć?... Wszak to Antonina
We krwi zbroczona!
(*Zbliża się z Justynianem do namiotu*).
Ha, to nowa zbrodnia!
Belizaryusza żona jest zabita!...
Wstań, Belizarze, patrz, co tu się stało!

Belizaryusz (*podnosi się, spogląda na ciało Aatoniny, a potem dzikim wzrokiem rzuca na Focyusza*).
Ha, kto to zrobił?... Odpowiedz mi, Focyusz!

Focyusz (*do Lucyusza i Hektora*).
Powiedźcie temu dwakroć nieszczęsnemu!

Lucyusz. Panie, tę zbrodnię spełnił Teodozy,
Widzieliśmy go, kiedy stąd uciekał
Z skrwawionym mieczem...

Focyusz. Jesteś spokojniejszy,
Nieprawdaż? — nic ci nie będzie wyrzucać
Twoje sumienie. I jam jest spokojny,
I gotów spojrzeć w twarz memu sędziemu.
(*Cichszym głosem, zwrócony do ciała Antoniny*).
Matko, kto spełnił czyn memu podobny,
Ten musiał naprzód sobie przygotować

W śmierci lekarstwo na ból swego serca.
Nic ci, o matko, nie chcę zostać dłużny —
Życie za życie!
(*Przebija się*).
A teraz tam pójdę
Odszukać ciebie w doskonalszym kształcie,
Pewny miłości twej i przebaczenia!
(*Umiera*).

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA w KIELCACH
BIBLIOTEKA
66.072

Biblioteka WSP Kielce
0179274